ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400

NR 3 (170) MARZEC 2013

CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)

Wrak z głębin.

Lotniczy unikat na dnie Bałtyku

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

9 771505 610056 03

www.odkrywca.pl

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

MARZEC 2013

POSZUKIWANIA

3 **Wybuchowy weekend z „Odkrywcą"**
VIII Konferencja popularnonaukowa, Bydgoszcz 17-19 maja 2013

4 **Konferencje z „Odkrywcą": jedyna taka wędrówka w przeszłość**
Michał Cetnarowski

6 **Bałtyckie odkrycie**
Piotr Maszkowski

8 **Sowiogórski przełom**
Piotr Maszkowski

12 **Ostatnia tajemnica Gontowej – prawdziwa krzyżówka**
Łukasz Orlicki

14 **Sztolnia Książęca**
Krzysztof Krzyżanowski, Dariusz Wójcik

17 **Misja Brytyjska w Węglińcu**
Anglicy za Ziemiach Zachodnich
Janusz Skowroński

22 **Tunel pod Wisłą?**
Leszek Adamczewski

26 **Izraelski trop łódzkiego skarbu**
Ten skarb padł ofiarą wojny. Dwukrotnie. Pierwszy raz pod koniec 1939 roku, kiedy został ukryty przez bogatą rodzinę żydowskich kupców w jednej z łódzkich kamienic. Drugi raz w czerwcu 1967 roku podczas konfliktu izraelsko-arabskiego, gdy prawowity właściciel próbował go odzyskać. Oto niezwykła historia, jak globalna sytuacja polityczna, miała wpływ na lokalnie prowadzone poszukiwania.
Piotr Maszkowski

30 **Muszę odszczekać!**
Wojtek Stojak

31 **Krwawe batalie pod Dębowym Gajem**
Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz.3)
Szymon Wrzesiński

TAJEMNICE HISTORII

36 **Kaci – Operacja „Lawina" cz. 3**

41 **Śladami brytyjskiej misji „Freston"**
W nocy z 26 na 27 grudnia 1944 roku na ziemiach okupowanej Polski wylądowali członkowie brytyjskiej misji wojskowej „Freston". Zrzucono ich na obszar Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Prawdopodobnie miała to być jedna z trzech misji, jednak pozostałych dwóch nigdy nie zrealizowano. Co dziwne, Komenda Główna AK wyraźnie nie chciała tego zrzutu. Nie ma też pewności, czy Brytyjczycy powiadomili o niej Sowietów. Najprawdopodobniej nie. Dlaczego?
Dariusz Pietrucha

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

48 **Legenda nie całkiem prawdziwej pustyni (cz.1)**
Tomasz Rzeczycki

52 **Łowicz, w poszukiwaniu miasta etapowego**
Stanisław Kaliński

KOLEKCJONERSTWO

58 **Francuski Medal Pamiątkowy Górnego Śląska 1920-1922**
Grzegorz Grześkowiak

61 **Znaki dumnej pokory**
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

64 **Zagadki Werkgruppe Drei-Herrscher-Berge**
Jerzy Sadowski

BATALIE I POTYCZKI

68 **Wzorem sarmackich wojowniczek...**
Zapomniane bohaterki Powstania Styczniowego
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości marca w Księgarni Odkrywcy**

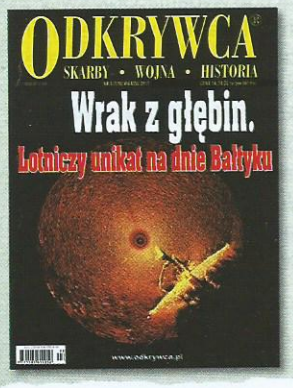

Okładka:
Zdjęcie wraku, który spoczywa na głębokości ok. 30 metrów.
Zdjęcie: ORP „Arctowski"/ Marynarka Wojenna, Marian Kluczyński/Marynarka Wojenna

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

W zaproszeniu do lektury październikowego wydania „Odkrywcy" wspominałam o niedawnej obecności Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego na terenie tzw. Łączki warszawskiego Cmentarza Powązkowskiego, gdzie IPN oraz Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa prowadzi prace ekshumacyjne mające na celu identyfikację pochowanych tam ofiar komunistycznego terroru z lat 1944-1956. W przedsięwzięciu naukowo-badawczym, obok ww. instytucji, udział biorą też Ministerstwo Sprawiedliwości, Miasto Stołeczne Warszawa oraz specjaliści z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, Zakładu Medycyny Sądowej z Wrocławia i Instytutu Ekspertyz Sądowych z Krakowa. Wyjątkowe znaczenie dla zbiorowej pamięci historycznej obarczonej latami wymuszonej niepamięci i późniejszych zaniechań, prac ekshumacyjno-archeologicznych prowadzonych na Powązkach skłania do szczególnego skupienia uwagi na ich rezultatach. I nie chodzi tutaj jedynie o uwagę okazjonalną – chociaż okazja w postaci przypadającego 1 marca Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych jest jak najbardziej aktualna. Warto więc podkreślić, że w sierpniu i wrześniu 2012 r. ekshumowano szczątki 117 straconych w mokotowskim więzieniu osób, spośród których do grudnia udało się zidentyfikować 3 osoby: por. AK Edmunda Bukowskiego, kpt. Stanisława Łukasika – żołnierza AK i Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość oraz Eugeniusza Smolińskiego, specjalistę materiałów wybuchowych KG AK straconych w latach 1949-50. Tuż przed zamknięciem tego numeru „Odkrywcy" IPN poinformował o kolejnych identyfikacjach, są to: por. AK i Zrzeszenia WIN Tadeusz Pelak; Bolesław Budelewski, żołnierz AK i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego; Stanisław Abramowski, żołnierz AK, Zrzeszenia WIN i Narodowych Sił Zbrojnych oraz kawaler orderu Virtuti Militari Stanisław Kasznica, podpułkownik i ostatni komendant Narodowych Sił Zbrojnych. Kolejne etapy prac ekshumacyjnych przewidziane są w kwietniu br., a we wrześniu rozpoczną się czynności na warszawskim Służewie. Identyfikacje ofiar terroru komunistycznego możliwe są dzięki badaniom DNA prowadzonym w ramach Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów powstałej na szczecińskim Pomorskim Uniwersytecie Medycznym. To jedyna możliwa droga do przywrócenia tożsamości zamordowanym ofiarom zabijanym i chowanym w bestialski sposób z intencją ich pohańbienia również po śmierci – co uwypukla dr. Krzysztof Szwagrzyk – pełnomocnik Prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, wskazując na przebranie zwłok w mundury Wehrmachtu i „katyńską metodę strzału w tył głowy". Odbieranie godności bohaterom Polskiego Państwa Podziemnego i żołnierzom powojennego podziemia niepodległościowego było działaniem wielokierunkowym, prowadzonym nie tylko w latach nasilonego terroru i represji. Propaganda i edukacja historyczna realizowała te cele w różnym natężeniu właściwie przez wszystkie lata trwania PRL.

Pamiętacie może film „Skąpani w ogniu" w reżyserii J. Passendorfera, powstały wg scenariusza (i prozy) Wojciecha Żukrowskiego… Lato 1945 roku, początki osadnictwa na Ziemiach Zachodnich, okolice Wlenia, polskie wojsko z sowieckim oficerem, bezpieka, Wehrwolf i bandy NSZ. Właśnie bandy – oczywiście współpracujące z niedobitkami SS. Jest tam taka scena, w której polski żołnierz mówi o złapaniu ośmiu SS-manów, oficer poprawia go i mówi: – *sześciu*. – *Nie* – odpowiada żołnierz: – *ośmiu, bo dwóch to z NSZ*. No właśnie, film powstał w 1964 r., nie mówiło się już raczej o „plugawych karłach reakcji", było po Październiku '56, ale jad można było sączyć subtelniej. I niestety, skutecznie. NSZ i podziemie niepodległościowe w świadomości bardzo wielu ludzi ukształtowanych w systemie oświaty i propagandy władzy ludowej miało (ma?) opinię siły tyleż tajemniczej co podejrzanej. Chcę wierzyć, że wraz z przywracaniem tożsamości żołnierzom powojennego podziemia, przywracany pamięci i wiedzy będzie też kształt, rola i oblicze niepodległościowych organizacji wojskowych, poszerzana świadomość ich na ogół tragicznych losów, wyborów i uwikłania w historię napisaną przez architektów powojennego świata. Dzisiaj jednak trzeba, jak chciał Pan Cogito Zbigniewa Herberta *„ustalić imiona wszystkich tych co zginęli w walce z władzą nieludzką, zawołać po imieniu, opatrzyć na drogę…"*. Cytatem tym opatrzyła Małgorzata Szejnert swoją książkę o dramacie polskich bohaterach tamtego czasu „Śród żywych duchów" – polecałam już, wiem. I polecam ponownie.

Podobnie jak artykuły ściśle związane z podnoszoną tematyką z bieżącego wydania „Odkrywcy": „Kaci" trzecia część cyklu pióra Łukasza Orlickiego oraz Dariusza Pietruchy „Śladami brytyjskiej misji „Freston" – wnikliwe, oparte o żmudną pracę dokumentalistyczno-dziennikarską, rozszerzające wiedzę o wydarzeniach i faktach szerzej nieznanych bądź wręcz skrywanych. „Odkrywca" towarzyszy też Sowiogórskiej Grupie Poszukiwawczej w jej ostatnich sukcesach w kompleksie „Riese", wędruje z Tomaszem Rzeczyckim po piaskach błędowskich tropem „Lisa Pustyni", poszukuje z Leszkiem Adamczewskim toruńskiego tunelu wiślanego, a ze Stanisławem Kalińskim przekonuje, że Łowicz to nie tylko historia bitwy nad Bzurą. No i jeszcze gratka dla miłośników lotnictwa – odkryty na dnie Bałtyku przez Marynarkę Wojenną wrak dwusilnikowego samolotu – prawdopodobnie Junkersa Ju 88 – jego wydobycie byłoby nie byle jaką sensacją – czy to możliwe? Przeczytajcie co w „Odkrywcy" mówią o tym eksperci podwodnej eksploracji.

Zapraszam do lektury!

Izabela Kwiecińska

Bydgoszcz 17-19 maja 2013 r.

VIII Konferencja popularnonaukowa

„Wybuchowy weekend z »Odkrywcą«"

Przygotowania do naszej majowej konferencji nabrały rozpędu, pora więc na kolejną partię informacji na jej temat. Jak już wiecie, w tym roku widzimy się w Bydgoszczy. Pierwszy raz spotkamy się w tak dużym mieście, a jak duże miasto, to duża różnorodność obiektów wartych zobaczenia. Niestety, nasz czas jak zwykle jest ograniczony. Wybór między tym co oferuje nam Bydgoszcz i okolice był bardzo trudny. Tradycyjnie już staraliśmy się wybrać dla Was bardzo różnorodne obiekty. Ale po kolei. Zaczynamy w piątkowe popołudnie prelekcjami i prezentacjami miejsc, które zobaczymy, a także wykładami poszerzonymi o dodatkowe obiekty. Każdy z Was będzie mógł zadać szczegółowe pytania każdemu z prelegentów. Serdecznie zachęcamy i zapraszamy do dyskusji. Na piątek zaplanowaliśmy także zwiedzanie Muzeum Wojsk Lądowych. Ze względu na prace remontowe wewnątrz, będziemy mogli zapoznać się z ekspozycją zewnętrzną, która specjalnie dla „Odkrywców" zostanie wzbogacona dodatkowymi, unikatowymi eksponatami. Dzień zakończymy wspólną kolacją.

Sobota, to jak zwykle dzień pełen wrażeń związanych z trasą objazdową i zwiedzaniem intrygujących miejsc i ciekawych obiektów. Wybraliśmy dla Was:

» zespół pałacowo-parkowy w Ostromecku. Jest to kompleks dwóch pałaców: większy (1832-48), to klasycystyczna rezydencja Jakuba Martina Schoenborna – dzieło arch. K. F. Schinkla; mniejszy (z XVIII w.), to rokokowa dwukondygnacyjna rezydencja Pawła Michała Mostowskiego, wojewody pomorskiego. Okalają je parki w stylu angielskim i francuskim z pięknym starodrzewem. Całość leży na skraju doliny Wisły.

» Centrum Militarne Krąpiewo – tajny obiekt wojskowy 86092 z okresu „zimnej wojny". Zbudowany w 1982 r. na rozkaz Dowództwa Układu Warszawskiego. Trudno powiedzieć, jakie przeznaczenie miał obiekt. Po tym, co jest pod ziemią i pozostałościami na powierzchni ziemi można się domyślać, że była to stacja nadawczo-odbiorcza lub stacja łączności troposferycznej. Podobne obiekty znajdują się w Lipiance, k. Torunia, we wsi Suchowo k. Kalisza Pomorskiego, w Chocianowie, w Łężycach k. Gdyni.

» Wał obronny Wojska Polskiego Kruszyn-Osówiec, którego pozostałości znajdują się na zachodnich rubieżach Bydgoszczy. Wał został zbudowany przez Wojsko Polskie w okresie międzywojennym. Zespół umocnień składa się z żelbetonowych schronów dla stanowisk ogniowych broni ciężkiej piechoty oraz punktów dowodzenia i łączności wraz z okopami. 1-2 IX 1939 r. bydgoska 15. Dywizja Piechoty Wielkopolskiej odpierała tu skutecznie ataki Wehrmachtu (grupy operacyjnej „Netze"). 3 września polska armia opuściła pozycje wskutek odgórnego rozkazu Naczelnego Wodza.

» Niemiecki poligon rakietowy we wsi Kabat, na którym w czasie II wojny światowej przeprowadzano testy nad nową bronią rakietową. Na granicy poligonu znajduje się Szwedzka Góra – największa wydma w Puszczy Bydgoskiej. Z jej wierzchołka, na wysokości 116 m, doskonale widoczny jest cały poligon. Na poligonie pozostała jedynie betonowa wieża, która stanowiła główny cel strzelecki dla utworzonego tu po wojnie poligony lotniczego.

» Radiowe Centrum Nadawcze, znajdujące się tuż obok poligonu, wybudowano w 1991 r. po katastrofie masztu w Konstantynowie. Jest to stacja nadawcza fal długich o częstotliwości 225 kHz, mająca za zadanie nadawanie Programu Pierwszego Polskiego Radia. Będziecie mogli zapoznać się z działaniem tego nadajnika.

Dzień pełen wrażeń zamkniemy wspólnym grillem. Mamy jednak nadzieję, że na tym nie zakończycie poznawania atrakcji Bydgoszczy. W tym roku bowiem znowu mamy możliwość uczestniczenia w Nocy Muzeów. A jest ich w Bydgoszczy kilka. Zachęcamy Was do wizyty w Muzeum Okręgowym im. Leona Wyczółkowskiego, czy też Muzeów: Oświaty, Fotografii, Dyplomacji, Kanału Bydgoskiego czy jedynego w Polsce Muzeum Mydła i Historii Brudu.

Ostatni dzień naszej konferencji – niedzielę – przeznaczyliśmy na zwiedzanie tylko jednego obiektu, ale za to jakiego! Zabierzemy Was do dawnego zakładu zbrojeniowego Dynamit AG Vorm Alfred Nobel & CO Bromberg (fabryka DAG) leżącego na zamkniętym terenie Zakładów Chemicznych „Zachem". Trasa udostępniona nam przez Exploseum będzie rozszerzona o obiekty niedostępne przy rutynowym zwiedzaniu. Mamy nadzieję na 100% Waszej satysfakcji. Pamiętajcie o odpowiednim obuwiu, ubraniu (można się ubrudzić) i latarkach.

Ważne informacje organizacyjno-logistyczne

Zarezerwowaliśmy dla potrzeb VIII Konferencji Hotel „Zawisza", dysponujący odpowiednią liczbą miejsc noclegowych, salą konferencyjną, parkingiem oraz miejscem na sobotniego grilla. Wszystkie pokoje są z łazienkami, a cały obiekt, po niedawnym remoncie, w pełni nowoczesny. Cena noclegu wynosi 80 zł od osoby. W cenę wliczone jest śniadanie.

Koszt tegorocznej akredytacji wynosi 162,36 zł brutto (w tym 23%VAT) za osobę.

Zgłoszenia będziemy przyjmować, wzorem roku ubiegłego, za pośrednictwem formularza elektronicznego. Ponieważ rozpoczęcie sprzedaży akredytacji planujemy na kwiecień, dokładne informacje na ten temat podamy w następnym numerze „Odkrywcy". W numerze kwietniowym podamy również sposób, w jaki będzie można zarezerwować nocleg w Hotelu „Zawisza". W innych obiektach robicie to zgodnie z ich procedurami.

Zawsze najnowsze i najaktualniejsze informacje będą zamieszczane na naszej stronie www.odkrywca.pl lub możecie do nas napisać na adres konferencja@odkrywca.pl

Do Waszej dyspozycji są także telefony: 71 329 71 71, 71 328 83 71

Serdecznie zapraszamy nowych uczestników i stałych bywalców naszych Konferencji. Weekend z „Odkrywcą" to weekend niepowtarzalny.

Byliśmy na północy, południu, wschodzie i zachodzie. Zwiedzaliśmy podziemne sztolnie, niedostępne na co dzień komnaty zamkowe, fortyfikacje, których lokalizacja znana jest tylko pasjonatom. Konferencje popularnonaukowe „Odkrywcy" przez lata stały się rozpoznawalną marką i wydarzeniem, które rokrocznie jednoczy miłośników historii z całej Polski.

KONKURS ODKRYWCY

Konferencje z „Odkrywcą": jedyna taka wędrówka w przeszłość

TEKST: MICHAŁ CETNAROWSKI

Nic tak nie podnosi emocji, jak odrobina rywalizacji... Przygotowując się zatem do VIII Konferencji „Odkrywcy" w Bydgoszczy, zorganizowaliśmy dla Was specjalny konkurs. Główna nagroda to bezpłatna akredytacja na VIII Konferencję dla zwycięzcy wraz z osobą towarzyszącą. Jest zatem o co walczyć. Dedykujemy też z tej okazji dziewięć dodatkowych „nagród pocieszenia", w postaci losowo wybranych zestawów z prezentacjami z naszych dotychczasowych spotkań. Odpowiedzi na pytania konkursowe można znaleźć w naszych sprawozdaniach z poszczególnych wyjazdów. Zapraszamy zatem do przeszukiwania swoich archiwów „Odkrywcy" oraz do wspólnej zabawy!

Pierwsza Konferencja – „Zamek Książ w kompleksie »Riese«" – dziś już stała się historią i obrosła legendami. Obecnie szykujemy się do ósmego już spotkania z pasjonatami tajemnic przeszłości, skupionymi wokół magazynu „Odkrywca". Co wydarzyło się przez te lata, jakie miejsca odwiedziliśmy, ile udało się nam dowiedzieć? Przygotowania do ósmej Konferencji w Bydgoszczy, która zwyczajowo odbędzie się w połowie maja, są dobrą chwilą, by jeszcze raz wybrać się w podróż i przypomnieć sobie, ile miejsc udało się nam zobaczyć do tej pory. A jest co wspominać...

Piątki to zwyczajowo dzień dojazdu uczestników, akredytacji i serii wykładów, szczegółowo wprowadzających w historię i „legendę" odwiedzanych obiektów. To także czas pierwszego wieczornego ogniska, podczas którego, niejako „w kuluarach", można oddać się mniej oficjalnym dyskusjom i integracji, zwłaszcza że przez lata część uczestników, którzy są z nami od początku, zdążyła się już zaprzyjaźnić. Jeśli jednak ktoś nastawiałby się na jakieś „biesiadne ekscesy", to wyprowadzamy go z błędu. Soboty zaczynamy już wczesnym rankiem i od razu wyruszamy w trasę, by spotkać się z tym, co pasjonuje nas wszystkich najbardziej: z historią. Na Książu „przeczesaliśmy" dokładnie całuteńki zamek, odwiedzając miejsca na co dzień zamknięte i nieprzeznaczone do zwiedzania. Widzieliśmy m.in. piwnice zamkowe oraz działające w podziemiach laboratorium sejsmologiczne Instytutu Geofizyki PAN. Na wyższych kondygnacjach udostępniono nam do zwiedzania wyjątkową kuchnię Hochbergów, strychy czy wieżę widokową. Później wyjechaliśmy w plener, zwiedzać sztolnie Walimia. Dzień skończył grill na jednym z zamkowych tarasów...

W następnym roku 2007 spotkaliśmy się także na zamku, tyle że już innym, choć nie mniej atrakcyjnym. Zamek Czocha kryje przecież niejedną tajemnicę, o czym naocznie mogliśmy się przekonać, oprowadzani po jego zakamarkach przez profesjonalnych przewodników... a także „buszując" po nim samemu. Na czas Konferencji bowiem zamkowe korytarze stanęły dla nas otworem. W tych historycznych pomieszczeniach mieściły się także noclegi uczestników. Po opuszczeniu podziemi, sali tortur oraz tajnych przejść, ruszyliśmy w teren, odwiedzając m.in. sztolnię w Leśnej, zamek w Świeciu, zaporę w Złotnikach. A także mniej znaną Odlewnię Metali „Baworowo", którą w 1939 r. zmieniono w zakład zbrojeniowy. Podobnych smaczków było więcej, a dzień dopełnił... prawdziwy zamkowy bal z orkiestrą i wyborną kolacją, zorganizowany z okazji wydania setnego numeru „Odkrywcy". Komu było mało adrenaliny, podczas dnia następnego, w niedzielę, na zakończenie Konferencji mógł zjechać na linie z zamkowej wieży czy spróbować swojego szczęścia z detektorem na specjalnie przeznaczonym do badań terenie.

Po raz trzeci spotkaliśmy się, by eksplorować podziemia Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, często goszczącego na łamach „Odkrywcy". Ponad 30 km podziemnych korytarzy i przejść, ulokowanych na głębokości od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów, to niezwykły przykład XX-wiecznych fortyfikacji. Wędrując wilgotnymi tunelami, oświetlanymi jedynie latarkami, w stałej temperaturze ok. 8°C, mogliśmy się przekonać, ile prawdy jest w mitach dotyczących MRU oraz jakie tajemnice czekają jeszcze na swoich odkrywców. Wędrówka podziemnymi ciągami komunikacyjnymi ma niepowtarzalny klimat i na tych, którzy po raz pierwszy znaleźli się w korytarzach MRU wywarła piorunujące wrażenie. Po opuszczeniu unikatowych fortyfikacji, skierowaliśmy się do pobliskiego zamku, żeby „tradycji stało się zadość". Tym razem był to otoczony fosą zamek obronny z czasów Kazimierza Wielkiego, znajdujący się w Międzyrzeczu. Remontowany od wielu lat obiekt był niedostępny dla zwiedzających – dla uczestników Konferencji jak zwykle uczyniono wyjątek... Plan dnia dopełniło zwiedzanie starych budynków szpitala psychiatrycznego w Międzyrzeczu-Obrzycach, w którym w czasie wojny Niemcy dokonywali wstrząsającego zabiegu „humanitarnej eutanazji".

Miejsce IV Konferencji – Mazury – wybrano nieprzypadkowo. To przecież tu znajdują się m.in. pozostałości tajnej kwatery Hitlera. Naszą bazą wypadową był tym razem urokliwy ośrodek w Wilkasach, usytuowany na brzegu jeziora Niegocin. Wyjątkowo zwiedzanie rozpoczęliśmy już od piątku, przekładając cykl wykładów. A to dlatego, że na Mazurach program był wyjątkowo napięty. Od początku towarzyszyły nam obawy, czy uda się go nam zrealizować. Jak się na szczęście okazało – niepotrzebne. Zwiedzanie objęło m.in. XIX-wieczny

most obrotowy na kanale Łuczańskim, wejście na 120-metrową giżycką wieżę ciśnień z usytuowanym na szczycie tarasem i klimatyczną kawiarnią oraz wizytę w Twierdzy Boyen. A także, rzecz jasna, słynny „Wilczy Szaniec" i cały kompleks mazurskich kwater w Mamerkach i Gierłoży. Wykłady o historii regionu odbyły się już po powrocie z terenu, w sobotni wieczór, zakończony ogniskiem i długimi, nocnymi rozmowami. Ostatni dzień Konferencji, to dzień wyborów. Oferta obejmowała: rejs statkiem po Jeziorze Niegocin, albo eksplorację zamkniętego lotniska w Wilamowie. Zdecydowana większość uczestników wybrała… rejs. Otoczenie wody widać spodobało się na tyle, że na miejsce kolejnej konferencji, już piątej, wybraliśmy Świnoujście i pobliskie wyspy.

Wkrótce okazało się, że wody mieliśmy pod dostatkiem… Jeśli bowiem w czasie wcześniejszych spotkań mogliśmy cieszyć się dość przychylną aurą, to tym razem, w zasadzie nieustannie towarzyszył nam deszcz. Na szczęście dla wytrawnych eksploratorów taka okoliczność to najczęściej dodatkowe wyzwanie. Nastroje wzmocniło wspólne piątkowe spotkanie w miejscowym kasynie wojskowym, gdzie z okazji V edycji Konferencji odbyła się loteria dla „Konferencyjnych Weteranów", czyli tych, którzy uczestniczyli we wszystkich edycjach naszej imprezy. Każdy los był nagrodzony. Następnego dnia, w towarzyszącym nam nieustannie deszczu, rozpoczęło się zwiedzanie. Na pierwszy ogień poszedł Fort Gerhardta na wschodnim brzegu Świny, następnie najwyższa na wybrzeżu latarnia morska o 320 schodach i 68 m wysokości, stanowisko dowodzenia baterii Göben i baterii zaporowej Warszów oraz m.in. Zalesie nieopodal Międzyzdrojów, gdzie w czasie II wojny światowej Niemcy testowali wielokomorowe działa segmentowe. W niedzielę wyprawę zakończyła wizyta w osławionym ośrodku badawczym Peenemünde, już po niemieckiej stronie granicy.

Kolejna Konferencja to powrót na Dolny Śląsk i wizyta w kompleksie „Riese", który mimo wieloletniej eksploracji wciąż rozpala umysły i kusi nierozwiązanymi zagadkami. Ostatnia Konferencja, to wizyta na wschodzie – w Przemyślu. Umieszczone na głównych turystycznych szlakach miasto pokazało nam swoje mniej znane historyczne oblicze. Okazało się, że pasjonaci zgłębiania przeszłości mogą tu znaleźć wiele dla siebie. Jak choćby pozostałości jednej z największych w Europie twierdz, której załoga swoje najkrwawsze walki toczyła w czasach Wielkiej Wojny i po trwającym aż 170 dni oblężeniu została poddana przez Austriaków wojskom rosyjskim. Ciekawą cechą Przemyśla i okolic jest także to, że poszczególne lokalizacje warte odwiedzenia znajdują się tu na różnych wysokościach… tak że wędrówkę poznawczą można połączyć z niezłym „wyciskiem" kondycyjnym.

Tak było do tej pory. Na kolejną wyprawę, już w maju tego roku, zapraszamy Was tym razem do centrum kraju, do Bydgoszczy, na „Wybuchowy weekend z »Odkrywcą«". Przez lata nasze konferencje stały się ważnym wydarzeniem, wyjątkowym w skali całego kraju, wytyczającym nowe standardy przy organizacji tego typu przedsięwzięć. Nie byłoby to oczywiście możliwe bez naszych współpracowników, których jest za dużo, aby wymienić ich wszystkich w tak krótkim tekście, którym jednak raz jeszcze składamy gorące podziękowania. Oraz bez Was, drodzy Czytelnicy i Uczestnicy, których napędza ta sama pasja poznawania historii i chęć podróżowania. Nie tylko w przestrzeni, ale też w czasie… Pozostaje nam życzyć sobie i Wam, żebyśmy mogli realizować tę pasję przez wiele następnych lat – i kolejnych konferencji!

KONFERENCYJNY KONKURS SMS-owy

Aby zagrać o nagrody, od 10 marca do 31 marca 2013 r. wyślij SMS z odpowiedziami na poniżej zamieszczone pytania. W treści wiadomości wpisz w kolejności numery kolejnych poprawnych odpowiedzi (np. 1A 2B 3C itd.). SMS należy wysłać pod numer 7368 (opłata wynosi 3,69 zł z VAT). Usługa jest dostępna we wszystkich sieciach GSM.

Nagrodą główną w konkursie jest bezpłatna akredytacja na VIII Konferencję „Odkrywcy" w Bydgoszczy dla zwycięzcy wraz z osobą towarzyszącą. UWAGA: koszty pobytu (nocleg + wyżywienie) oraz dojazdu uczestnik musi pokryć samodzielnie. Do wygrania jest także dziewięć „nagród pocieszenia": losowo wybranych zestawów z prezentacjami z naszych dotychczasowych spotkań.

Nagrody zostaną przekazane zwycięzcom kurierem lub pocztą po opublikowaniu listy nagrodzonych. Pełny regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl.

PYTANIA KONKURSOWE

I. W którym roku odbyła się pierwsza Konferencja „Odkrywcy"?
1A 2002.
1B 2006.
1C 2007.

II. Nazwy: „York", „Scharnhorst", „Gneisenau" oraz „Lützow", których kryptonimy nosiły grupy uczestników podczas III Konferencji, związane są z:
2A Twierdzą Kłodzko.
2B Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym.
2C Twierdzą Modlin.

III. Kompleks „Riese", zwiedzany podczas VI Konferencji w 2011 r., znajduje się na:
3A Pomorzu.
3B Mazurach.
3C Dolnym Śląsku.

IV. Loteria dla „Konferencyjnych Weteranów" miała miejsce podczas Konferencji:
4A „Przemyślana wyprawa z Odkrywcą", 2012 r.
4B „Zamek Czocha – Twierdza Tajemnic", 2007 r.
4C „Świnoujście – 44 Wyspy Odkrywców", 2010 r.

V. W którym roku oglądaliśmy siedzibę Hitlera w „Wilczym Szańcu":
5A 2009.
5B 2011.
5C 2007.

VI. Umocnienia Linii Mołotowa – pasa radzieckich fortyfikacji z okresu II wojny światowej – przechodzą m.in. przez:
6A Warszawę.
6B Radom.
6C Przemyśl.

VII. W jakim miejscu odbył się bal z okazji wydania setnego numeru „Odkrywcy":
7A Świnoujście.
7B Wilkasy.
7C Zamek Czocha.

VIII. Bydgoszcz, miejsce tegorocznej VIII Konferencji „Odkrywcy", ze względu na dynamiczny rozwój infrastruktury miejskiej w XIX wieku nazywano:
8A „Małym Berlinem".
8B „Małym Rzymem".
8C „Małą Moskwą".

Bałtyckie odkrycie

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ORP „ARCTOWSKI"/MARYNARKA WOJENNA, MARIAN KLUCZYŃSKI/ MARYNARKA WOJENNA

Z pewnością jest to jedno z ważniejszych odkryć lotniczych, jakie miało miejsce na Bałtyku w ostatnim czasie. Na dnie morza Marynarka Wojenna zlokalizowała zachowany w stosunkowo dobrym stanie wrak dwusilnikowego samolotu pochodzącego z okresu II wojny światowej. Spoczywa on na względnie niewielkiej głębokości, lecz wciąż nie wiadomo, czy uda się go wydobyć.

Jesienią minionego roku okręt hydrograficzny Marynarki Wojennej ORP „Arctowski", podczas jednego z rutynowych rejsów badał dno, przy pomocy znajdującej się na pokładzie aparatury pomiarowej. Zadaniem jednostki było lokalizowanie i nanoszenie na mapy ewentualnych przeszkód, mogących się pojawić na jednym z uaktualnianych szlaków morskich. Zadanie to nie miało się różnić specjalnie od wcześniej wykonywanych, jednak w pewnym momencie, na wysokości wschodniego Wybrzeża, został namierzony zalegający na dnie obiekt, stanowiący potencjalne zagrożenie dla żeglugi. Odnotowana wówczas została dokładnie jego pozycja oraz głębokość, lecz odkrycie wymagało doprecyzowania. Kilka tygodni później, na początku grudnia 2012 roku, okręt powrócił, by zidentyfikować dokładnie znalezisko, m.in. przy pomocy echosondy wielowiązkowej MBES i sonaru holowanego Klein. Interpretacja uzyskanego wówczas obrazu graficznego badanego obszaru, nie budziła wątpliwości. Na dnie spoczywał pozbawiony części ogonowej wrak dwusilnikowego samolotu, którego rozpiętość skrzydeł wynosiła ok. 20 metrów. W związku z tym, że we wnętrzu wraku mógł znajdować się zagrażający bezpieczeństwu żeglugi ładunek, w połowie stycznia br. rejon, w którym znajduje się maszyna został spenetrowany przy pomocy zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego ROV. Dzięki zamontowanym na pokładzie kamerom i stosunkowo dobrej, jak na Bałtyk, przejrzystości wody, Marynarka Wojenna uzyskała materiał audiowizualny, pozwalający na ocenę stanu zachowania samolotu oraz jego najbliższego otoczenia. Miesiąc później, w połowie lutego br., inspekcję wraku z pokładu okrętu ORP „Piast" przeprowadzili nurkowie Marynarki Wojennej z Brzegowej Grupy Ratowniczej 3. Flotylli Okrętów. Zalegająca na dnie maszyna, jak również jej otoczenie zostało dokładnie spenetrowane i ponownie sfilmowane. Zostały też wykonane dokładne pomiary oraz spisano widoczne numery z tabliczek znamionowych i kadłuba. Niestety, stan zachowania, w porównaniu z zarejestrowanym cztery tygodnie wcześniej obrazem, wykazał pewne różnice. Na wraku samolotu pojawiły się widoczne uszkodzenia poszycia. Okazało się również, że stopień jego skorodowania jest większy niż się to wcześniej wydawało.

Wziąwszy pod uwagę dotychczasowe ustalenia i udostępnione przez Marynarkę Wojenną materiały, moż-

Na początku lata 2012 roku Muzeum Historii Wojskowości Bundeswehry prowadziło u wybrzeży Rugii akcję wydobycia na powierzchnię wraku samolotu, początkowo identyfikowanego jako bombowiec nurkujący Junkers Ju-87 Stuka. Mimo że stan jego zachowania był wstępnie określany jako dobry, dość szybko okazało się, że nie będzie możliwe podjęcie go w całości. W efekcie na powierzchnię trafiły jedynie szczątki maszyny. Co ciekawe, po ich identyfikacji okazało się, że pochodzą z dwusilnikowego Junkersa Ju 88, a więc konstrukcji diametralnie odmiennej niż pierwotnie zakładana.

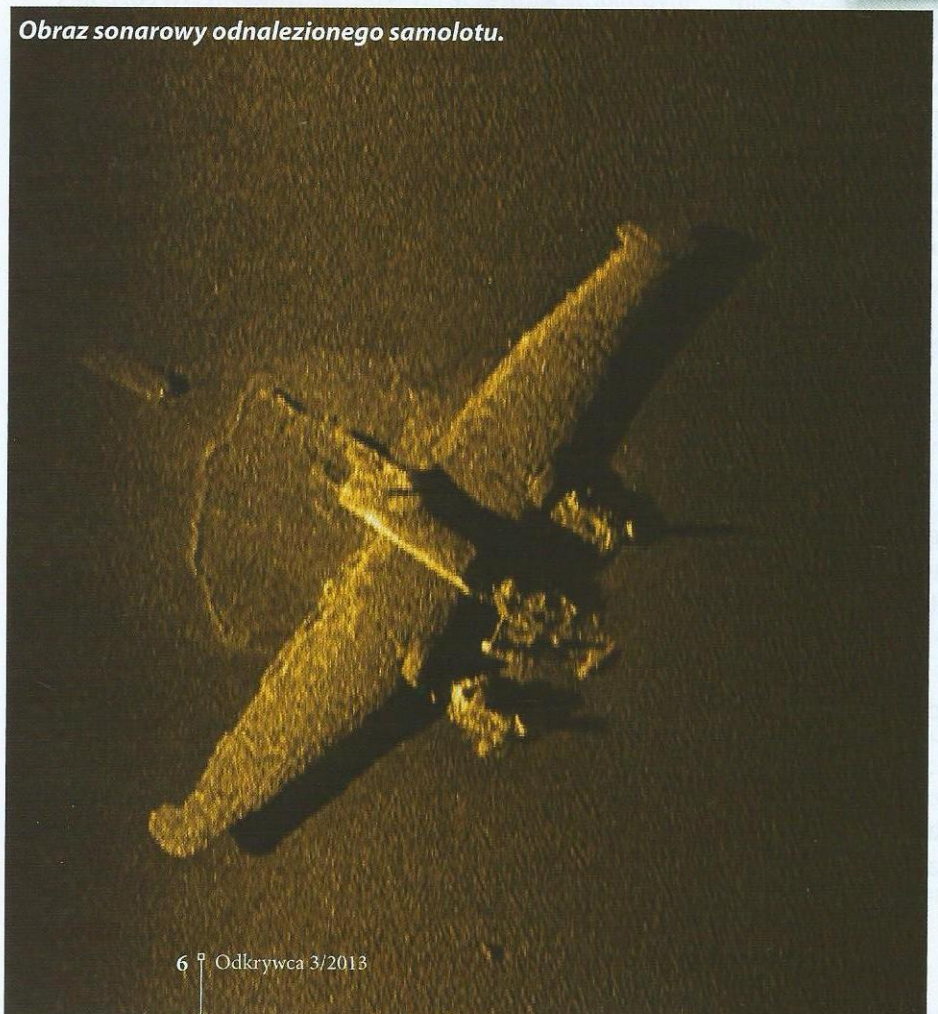

Obraz sonarowy odnalezionego samolotu.

na pokusić się o kilka wniosków, które niedługo zapewne zostaną uszczegółowione. Według wstępnie dokonanej identyfikacji, w oparciu o materiały graficzne i pomiary wraku, istnieje przypuszczenie, że maszyną odnalezioną na dnie Bałtyku jest wielozadaniowy samolot niemiecki z okresu II wojny światowej Junkers Ju 88. Rzecznik prasowy dowódcy Marynarki Wojennej kmdr por. Bartosz Zajda zastrzega jednak, że ostatecznie informacja ta może zostać potwierdzona wyłącznie po analizie odnalezionych przez dokonujących inspekcji nurków Marynarki Wojennej dowodów – m.in. tabliczek znamionowych, tudzież charakterystycznych dla tej konstrukcji podzespołów.

Wrak samolotu zalega na stosunkowo niewielkiej głębokości ok. 30 m od powierzchni morza i jest nieosieciowany, co może sugerować, że znajduje się z dala od uczęszczanych przez rybaków rejonów. Jego stan i ułożenie na dnie, wskazują na prawdopodobne okoliczności katastrofy. Niewykluczone, że pilot utrzymując ograniczoną sterowność, w sytuacji awaryjnej (usterka techniczna, uszkodzenie w wyniku działań bojowych) próbował posadzić maszynę na powierzchni morza. Podczas wodowania naruszona została konstrukcja kadłuba, co spowodowało w konsekwencji odpadnięcie części ogonowej i być może widoczne uszkodzenia kabiny i części nosowej. Ze względu na brak informacji o odnalezieniu ludzkich szczątków, obecnie niemożliwe jest ustalenie losów załogi. Niewiadomy na razie jest także czas, kiedy zdarzenie mogło mieć miejsce.

Jerzy Janczukowicz. Prezes Gdańskiego Klubu Płetwonurków „Rekin", legenda polskiej eksploracji podwodnej.

Pilnie śledzę wszelkie doniesienia związane z tym odkryciem, bo w naszych warunkach jest rzeczywiście wyjątkowe. Mimo, że do wiadomości podano jedynie niezwykle ogólną informację o lokalizacji wraku, mam przeczucie i jednocześnie obawy, że już obecnie nieformalne grupy nurków także na niego polują. Powinien to być również sygnał dla Marynarki Wojennej, by jak najszybciej podjąć konkretne działania w tej sprawie.

Według mnie akcja wydobycia tego wraku jest wykonalna, pod warunkiem, że przeprowadzą ją fachowcy. Choć stopień trudności może być znaczny, to przy dobraniu odpowiedniej metody, ma szanse zakończyć się powodzeniem. Głębokość ok. 30 m, na której spoczywa wrak, znacznie to powinna ułatwić, gdyż nurkowanie w tych warunkach nie wymaga specjalistycznego przygotowania. Zwracam jednak uwagę, że będzie to sukces mniej niż połowiczny. Znacznie większy problem wiąże się bowiem z zabezpieczeniem wraku po wydobyciu oraz jego renowacją. Według mnie będą w stanie przeprowadzić je zaledwie trzy placówki muzealne w naszym kraju, które mogłyby pokusić się o rekonstrukcję tej niewątpliwie unikalnej nawet w skali światowej maszyny. Dla Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, powstającego Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, czy Muzeum Lotnictwa z Krakowa powinien to być wystarczający bodziec, by podjąć się takiego wyzwania. Być może warto byłoby dla takiego celu połączyć siły, jak i zaangażować do współpracy, choćby Fundację Polskie Orły, posiadającą doświadczenie z odbudowy wyciągniętego przeze mnie z jeziora Trzebuń Messerschmitta Me 109.

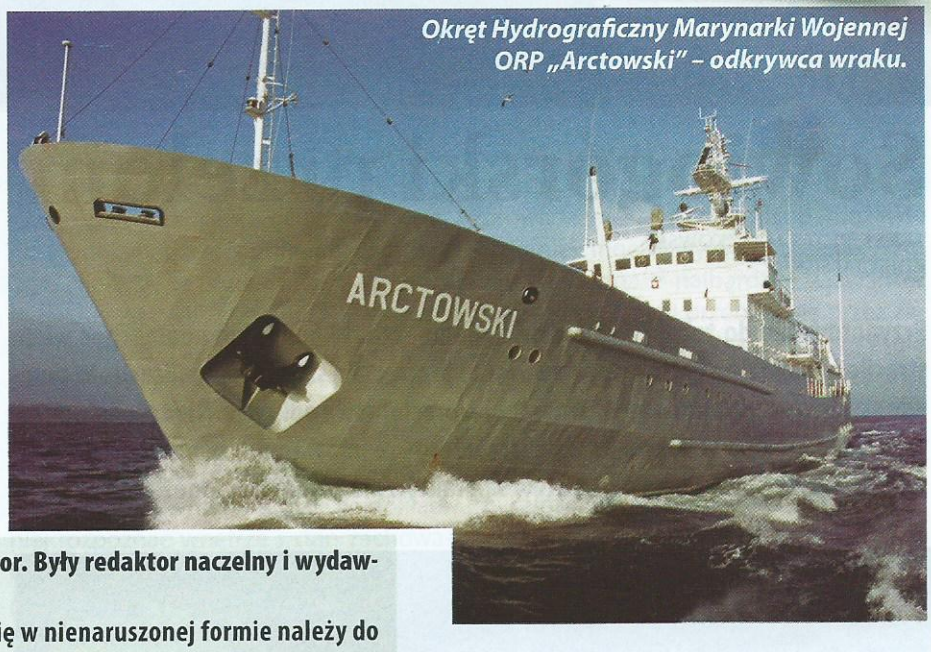

Okręt Hydrograficzny Marynarki Wojennej ORP „Arctowski" – odkrywca wraku.

Aleksander Ostasz. Płetwonurek i eksplorator. Były redaktor naczelny i wydawca miesięcznika „Nurkowanie".

Odkrycie wraku samolotu, który zachował się w nienaruszonej formie należy do rzadkości. Nie oznacza to jednak, że jego konstrukcja jest na tyle stabilna, by możliwe było bezproblemowe wydobycie. Zapewne jest to wykonalne, jednak będzie wymagało olbrzymiego nakładu sił i środków, by akcję tego typu przeprowadzić skutecznie. Najpewniejszą metodą byłaby niezwykle kosztowna próba podniesienia wraku wraz z fragmentem dna, na którym zalega. Kolejną kwestią jest odpowiednie jego zabezpieczenie i konserwacja, by zatrzymać procesy rozpadu po wydobyciu na powierzchnię. Następnym etapem, zależnym oczywiście od stanu zachowania, byłoby przeprowadzenie szerokiego zakresu prac restauratorskich. Każde z wymienionych działań wiązałoby się z gigantycznymi kosztami, które wydają się być obecnie poza możliwościami finansowymi dostępnymi w naszym kraju. Przypominam sobie, że ok. 10 lat temu brałem udział w podobnym odkryciu. Byliśmy wówczas jednak zgodni, że lepiej zostawić wrak w morzu.

Choć Marynarka Wojenna posiada możliwości techniczne pozwalające na wydobycie wraku samolotu, ewentualna decyzja o przeprowadzeniu takiej akcji zależeć będzie od wielu czynników. W związku z tym wciąż jest za wcześnie, by móc określić, nie tylko kiedy mogłoby to nastąpić, ale czy w ogóle będzie miało miejsce. Jedną z oczywistych przeszkód są niewątpliwie wysokie koszty przedsięwzięcia.

Z pewnością więc do tematu wrócimy w jednym z kolejnych numerów. Wówczas będziemy mogli zaprezentować zapewne znacznie pełniejsze informacje.

Wydrążony i obudowany szyb prowadzący bezpośrednio do sztolni.

Sowiogórski przełom

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: SGP

Przygotowania do tej akcji zajęły dwa długie lata. W końcu się udało, choć wielu straciło już nadzieję, iż tak zaawansowane prace mają szansę na realizację. W połowie stycznia br. w Górach Sowich nastąpiło przełomowe odkrycie. Nie tyle jednak rewolucjonizuje ono wiedzę o kompleksie „Riese", co udowadnia, że obecne możliwości eksploracji podziemnych obiektów są praktycznie nieograniczone…

Prace prowadzone były także po zapadnięciu zmroku.

Motorem napędowym eksploracji pozostałości po niemieckim przedsięwzięciu budowlanym „Riese" w Górach Sowich, jest wiara, czy też głębokie przekonanie, o istnieniu nieznanych do tej pory sztolni, o dużo wyższym stopniu wykończenia niż ten, który znamy obecnie. Mimo wielu prób odnalezienia takich wyrobisk, podejmowanych praktycznie od zakończenia wojny, wszystkie kończyły się fiaskiem. Jednak kolejnych generacji tropicieli tajemnic „Olbrzyma", to nie zniechęcało. Nadzieja bowiem umiera ostatnia.

Od lat 70. XX wieku do bezinwazyjnych badań podziemi zaprzęgnięto chyba wszelkie dostępne obecnie metody geofizycznej detekcji gruntu. Ich efektywność w warunkach sowiogórskich ostatecznie okazała się stosunkowo ograniczona. Jednak uzyskanych w odczytach anomalii długo nie dało się skutecznie weryfikować. Aż do drugiej połowy pierwszej dekady XXI wieku. Wówczas pojawiły się pierwsze próby zastosowania potężnych wiertnic, których zasięg sięgał niedostępnych dotychczas głębokości. Niewątpliwie był to przełom, gdyż wprowadzane do odwiertów mikro kamery pozwalały zaj-

rzeć tam, gdzie dotychczas nie było to możliwe. Od tego czasu udało się zweryfikować wiele hipotez, a także zainicjować zakrojone na szeroką skalę projekty, jak choćby trwające od półtora roku prace przy kompleksie Gontowa (o szczegółach na stronie 12 pisze Łukasz Orlicki) oraz ostatnio na słynnym Soboniu.

Teoretycznie historia ta zaczęła się w 2010 r. podczas III Zlotu Eksploratorów w Walimiu, zorganizowanym przez Sowiogórską Grupę Poszukiwawczą oraz tamtejsze Centrum Kultury i Turystyki („Odkrywca" nr 11/2010). Wykonany wówczas potężną wiertnicą odwiert na zboczu góry Soboń i wprowadzona do jego wnętrza kamera, potwierdziły istnienie za zawałem w sztolni nr 3 kompleksu o tej samej nazwie, drożnego odcinka niedostępnego dotąd wyrobiska. Był to punkt zwrotny w badaniach tego obiektu „Riese", budzącego wśród eksploratorów chyba największe emocje („Odkrywca" nr 10/2011 i nr 4/2008).

Pierwsze tropy

– Myślę, że początek tej sprawy nie jest kwestią ostatnich 3 lat, a co najmniej 40. Nasza inicjatywa była konsekwencją i spuścizną prowadzonych wówczas, i przez kolejne dekady, prób eksploracji tego miejsca – mówi Dariusz Tomalkiewicz, wiceprezes SGP. *– Nie da się jednak ukryć, że przeprowadzony pozyskaną przez nas wiertnią odwiert, był najważniejszym bodźcem do podjęcia próby fizycznego dotarcia do wnętrza namierzonej sztolni. Bez tego potwierdzenia nasza inicjatywa nie wyszłaby zapewne poza ramy projektu, gdyż zabrakłoby odpowiedniej mobilizacji* – dodaje. Cofnijmy się zatem na chwilę do lat 70., na które przypadają początki metodycznych badań „Riese". W drugiej połowie wspomnianej dekady jeden z pionierów eksploracji Gór Sowich Piotr Kruszyński, wraz ze swoją grupą badawczą, inwentaryzował również dostępne wyrobiska kompleksu Soboń. W przedłużeniu sztolni nr 3 natrafił na sztucznie, w jego opinii, wywołane zawały, których część udało mu się na odcinku ok. 18 metrów pokonać. Dalej jednak nie był w stanie się przedostać, chociaż o kontynuacji zawalonej sztolni świadczyć miały m.in. prowadzące za zawał tory wąskotorówki oraz przewody instalacji elektrycznej. Przez kolejne 40 lat ten trop i niewiadoma co znajduje się dalej, rozpalała wyobraźnię kolejnych generacji tropicieli tajemnic „Olbrzyma".

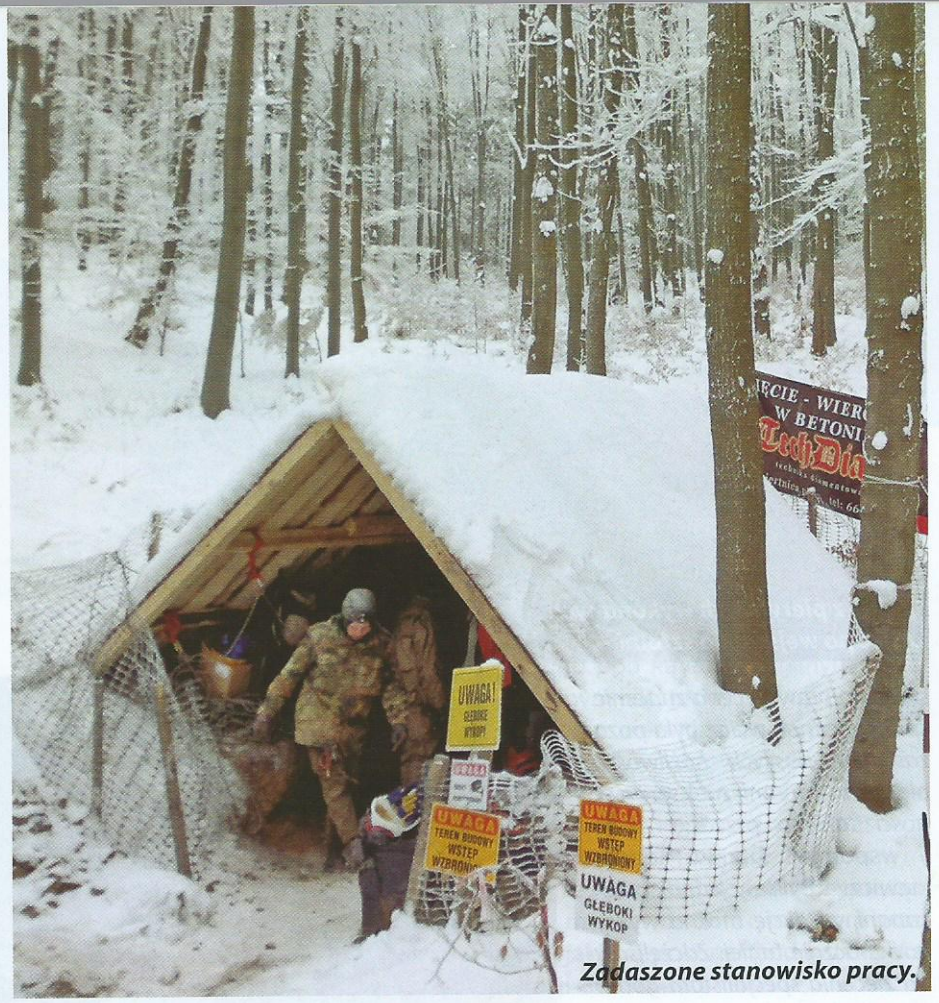

Zadaszone stanowisko pracy.

W tym czasie parę grup podjęło się kilku mniej lub bardziej oficjalnych prób, zarówno przekopania zawału, jak i dostania się do wnętrza przez drążony od góry szyb. Niestety, bezskutecznie.

Przygotowania

Wykonany w 2010 r. nad sztolnią nr 3 odwiert, był pierwszym z serii przeprowadzonych w ciągu kolejnych dwóch lat. W tym czasie wykorzystano również kilka typów mikro kamer, aby jak najdokładniej rozpoznać wnętrze i stan zachowania sztolni. Równolegle zrodził się pomysł przedostania się do środka. Zważywszy jednak na kilka wcześniej podjętych, lecz zakończonych fiaskiem prób, należało zweryfikować dotychczasowe metody, i do planowanej akcji podejść odmiennie.

Przygotowania Sowiogórska Grupa Poszukiwawcza, inicjatorzy i wykonawcy akcji, rozpoczęła od uzyskania wszelkich możliwych pozwoleń, a wiele ich było wymaganych. Wbrew krążącym wśród części eksploratorów obiegowym opiniom o niemożliwości efektywnej współpracy z instytucjami zarządzającymi terenem, okazała się ona nie tylko realna, więcej, od zawiadujących obszarem Lasów Państwowych, jak i Gminy Walim Grupa uzyskała znaczne wsparcie akcji. Warunkiem formalnym było jednak przeprowadzenie prac w sposób możliwie najmniej ingerujący w otoczenie. Tym samym, jedna z najbardziej zaawansowanych koncepcji przebicia się przez zawał od strony wejścia do sztolni nr 3 nie mogła zostać zrealizowana z przyczyn proceduralnych. Nieco skomplikowało to proces przygotowań, bowiem znalazł się już sponsor skłonny sfinansować w całości prace, planując w zamian adaptację obiektu na cele turystyczne. To jednak wiązałoby się z szerokim frontem robót, budową dróg i infrastruktury całkowicie zmieniających dotychczas trudno dostępny i dziki zakątek Gór Sowich. W związku z tym nie pozostało nic innego, jak poszukać alternatywnego rozwiązania. Najmniej inwazyjną metodą spełniającą wymogi formalne pozostało więc wykucie szybu w miejscu odwiertu i dostanie się do sztolni od góry. Było jednak „małe" ale... Operacja taka przy ograniczonych możliwościach finansowych SGP, wydawała się mało realna, ze względu na horrendalne koszty. *– Na początku znaleźliśmy firmę, która zażyczyła sobie abstrakcyjnej kwoty 100 tysięcy złotych. Inna chciała się podjąć zlecenia za... 40 ty-*

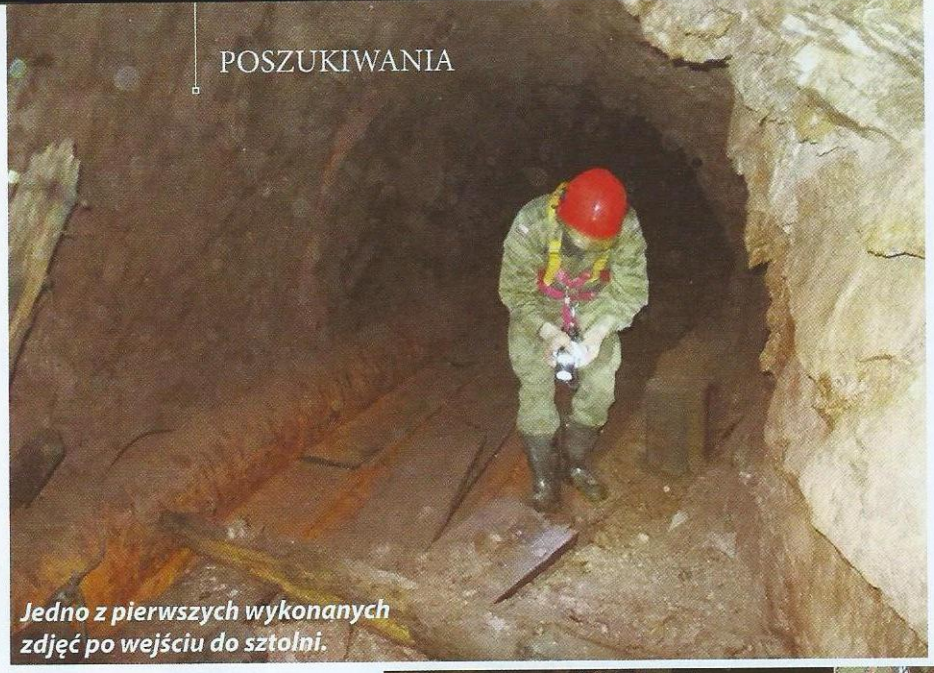

Jedno z pierwszych wykonanych zdjęć po wejściu do sztolni.

sięcy. Co prawda cena znacznie spadła, jednak wciąż była poza zasięgiem naszych możliwości, ale też i ekonomicznej sensowności takiego przedsięwzięcia – wspomina Dariusz Tomalkiewicz. – *Byliśmy jednak przekonani, że akcję można wykonać znacznie taniej. Zaczęliśmy od zlecenia specjalistom górniczym wykonania projektu szybu i sposobu jego wykucia. Następnie koordynowaliśmy działania tak, by przedsięwzięcie mogło zostać zrealizowane. Dysponowaliśmy sporym potencjałem w postaci doświadczenia i zapału do pracy naszych członków, zaprzyjaźnionych grup, takich jak Sudecka Grupa Eksploracyjna, a także wielu niezrzeszonych pasjonatów eksploracji. Pozyskaliśmy do współpracy sponsorów, dzięki czemu udało się zgromadzić skromny budżet, a także zorganizować niezbędne do prac tego typu zaplecze techniczne* – dodaje Piotr Kałuża prezes SGP. Dopięcie całości zajęło mnóstwo czasu i energii, jednak udało się. 10 listopada 2012 roku, a więc nieco dwa lata od wykonania pierwszego odwiertu, eksploratorzy przystąpili do pracy.

Fragment torowiska i lutni.

Pracowite weekendy

Na początek ponownie do akcji zaprzęgnięto potężną wiertnicę. – *Zaczęliśmy od przeprowadzenia kilkunastu odwiertów na głębokość ok. 4 m, wykonanych obok siebie w obrębie 1,5×1,5 m. Uzyskaną w ten sposób rozkruszoną warstwę skał wybraliśmy przy pomocy sprowadzonej na miejsce koparki* – opowiada Darek Tomalkiewicz. – *Następnie obudowaliśmy zgodnie z projektem powstały otwór, i przystąpiliśmy do jego systematycznego pogłębiania. Rozpoczęła się dla nas najcięższa faza prac – kruszenie skał młotami pneumatycznymi. Powstały w ten sposób urobek wydobywany był na powierzchnię wiadrami. Pracowaliśmy od rana do wieczora, najczęściej w weekendy, systemem zmianowym. Głównie siłami naszej grupy, lecz aktywnie wspomagali nas również członkowie zaprzyjaźnionej Sudeckiej Grupy Eksploracyjnej, jak również niezrzeszeni pasjonaci z całej Polski, którzy zadeklarowali chęć pomocy i uczestnictwa w naszym przedsięwzięciu.*

Całość działań była sporym wyzwaniem logistycznym, gdyż miejsce drążenia szybu znajdowało się w terenie górzystym, pośrodku gęstego lasu. Jedynymi pojazdami, którymi można było dowozić na górę ludzi, sprzęt oraz materiały, były samochody terenowe. Na miejscu zaś trzeba było zorganizować wszystko absolutnie od podstaw, choćby skromne zaplecze z miejscem do odpoczynku i ogrzania się, zapewnić dowóz ciepłych posiłków, niezbędnych agregatów prądotwórczych, oświetlenia itp. Co gorsza, na noc wszystko trzeba było zabezpieczyć, a w niedzielę po zakończeniu prac, zwieźć na dół. Tymczasem dni były coraz krótsze, a szyb w miarę postępu prac stawiał coraz większy opór. Dawało o sobie znać zmęczenie i pewne znużenie przedłużającą się akcją. Również jesienna, a później zimowa aura nie ułatwiała zadania eksploratorom pracującym pod gołym niebem.

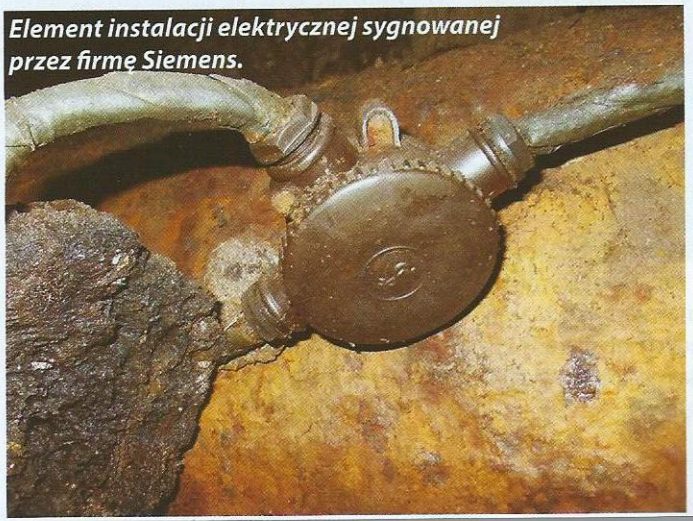

Element instalacji elektrycznej sygnowanej przez firmę Siemens.

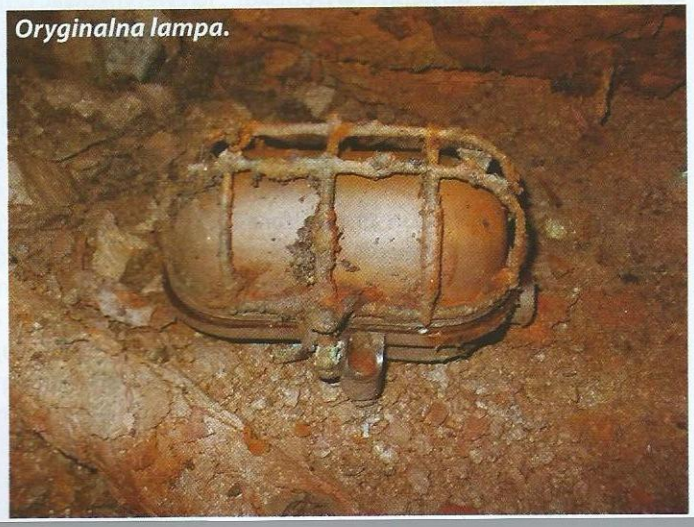

Oryginalna lampa.

Zbliżenie lutni.

Fluorescencyjne oznaczenie numeru i kierunku sztolni.

Wewnątrz

Minęły ponad 2 miesiące od rozpoczęcia prac, gdy 19 stycznia 2013 roku ze stropu sztolni nr 3 posypały się na spąg fragmenty skały. Po poszerzeniu otworu, do jej wnętrza wszedł po raz pierwszy od co najmniej 68 lat człowiek, zastając w środku prawdziwą kapsułę czasu. Wnętrze wyrobiska, dotychczas znanego jedynie fragmentarycznie z obrazu zarejestrowanego przez obiektywy mikro kamer, stanęło otworem. Emocje eksploratorów sięgnęły zenitu, choć nikt się oczywiście ukrytego skarbu nie spodziewał. Wyobraźnię raczej pobudzała możliwość natrafienia na odnogi prowadzące do nieznanej części kompleksu. Po dokładnej penetracji okazało się jednak, że przestrzeń sztolni o długości ok. 86 m ograniczona jest z jednej strony przodkiem, z drugiej, zamykającym ją od strony wejścia zawałem. Najbardziej oczekiwanych odgałęzień bądź ich zaczątków niestety nie było. – *Gdy wszedłem do wnętrza, stan zachowania wyrobiska sprawiał wrażenie jakby prace prowadzone tam przed zgoła 70 laty zostały przerwane nagle, i to całkiem niedawno. Na spągu wciąż leżały porzucone kilofy i inne narzędzia, nawiercone w przodku otwory strzałowe wyglądały jakby dopiero co je wykonano, a w niektórych wciąż tkwiły ubijaki. W doskonałym stanie zachowały się elementy instalacji elektrycznej, nienaruszone tory kolejki wąskotorowej i lutnia doprowadzająca powietrze do wnętrza. Wrażenia były niesamowite, lecz trudno było nie kryć pewnego rozczarowania, gdyż już pierwsze minuty potwierdziły, że przynajmniej dla nas to, niestety, koniec przygody i tajemnicy tego fragmentu kompleksu Soboń* – podsumowuje Darek Tomalkiewicz. Organizatorom pozostało całość zinwentaryzować, kompleksowo udokumentować i ogłosić oficjalnie przedsięwzięcie za zakończone.

Podsumowanie

Ciągu dalszego tej historii nie będzie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, do końca kwietnia br. wykuty szyb prowadzący do obiektu musi zostać zabezpieczony, a teren wokół przywrócony do stanu pierwotnego. – *Szkoda oczywiście go po prostu zasypać, najpewniej zamkniemy go czopem betonowym. Innej opcji, niestety, z przyczyn formalnych nie ma* – konstatuje nieco ze smutkiem na koniec Darek Tomalkiewicz.

Zawał za wejściem sztolni nr 3 kompleksu Soboń, od wielu dekad był jedną z najbardziej rokujących i budzących emocje tajemnic „Riese". W wyniku zorganizowanej i przeprowadzonej przez SGP akcji została ona w całości rozwiązana. Przedsięwzięcie należy zaliczyć do niezwykle udanych. Jest bowiem dowodem, że obecnie istnieją praktycznie nieograniczone możliwości eksploracji niedostępnych dotychczas podziemi. Zarówno pod kątem formalnym, organizacyjnym jak i technicznym. Przeszkodą również nie są już środki finansowe, gdyż inicjatywa udowodniła, że możliwe jest ich pozyskanie od sponsorów, a także władz lokalnych zainteresowanych promocją regionu. Tym samym, mimo że nie nastąpiło rewolucyjne odkrycie, możemy mówić o istotnym przełomie, jaki się dokonał pod kątem eksploracji Gór Sowich.

SGP pragnie podziękować za wsparcie następującym instytucjom i firmom, bez zaangażowania których akcja nie miałaby szans na realizację: Gminie Walim, Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu, Zajazdowi Hubert, Firmie Tech Diam – Darek Gwiazda, PGNiG w Warszawie, Firmie Maxam, Komendzie Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Wałbrzychu, Sudeckiej Grupie Eksploracyjnej. TVP Wrocław, Redakcji Inne Oblicza Historii oraz wszystkim tym, którzy czynnie brali udział w akcji.

REKLAMA

ARMAND METAL® DETECTORS

Polskie wykrywacze metali od 1985 r.
armand@armand.pl
www.armand.pl
512 138 545

Grupa Armand

BOJOWIEC.PL

NOWY! SKLEP MILITARNY

Ostatnia tajemnica Gontowej?

TEKST: ŁUKASZ ORLICKI
ZDJĘCIA: KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, DARIUSZ WÓJCIK, JERZY CERA, ŁUKASZ ORLICKI

Ostatni raz o tajemnicy sztolni nr 3 na Gontowej pisaliśmy w październiku 2012 roku. Wtedy wydawało się, że stoimy dosłownie o krok od pokonania kolejnego zawału blokującego dalszą drogę w głąb góry. Niespodziewane trudności spowodowały, że ten „krok" uległ znacznemu wydłużeniu. Kolejne miesiące upływały pod znakiem mozolnej, pełnej determinacji walki organizatorów i górników z mnożącymi się przeciwnościami. Ta długa, systematyczna praca zaowocowała na początku lutego 2013 r., gdy zza zbitej ściany zawału zaczęła wyzierać pustka dalszych korytarzy.

Przypomnijmy, sztolnia wraz z całym kompleksem położonym w masywie góry Gontowa, w pobliżu miejscowości Sokolec (k. Ludwikowic Kłodzkich) powstawała w ramach projektu „Riese". U podnóża góry stworzono w 1944 r. potężny plac budowy, z platformami transportowymi i rozwiniętą infrastrukturą drogową. Prace prowadzono do przełomu stycznia i lutego 1945 roku. Do momentu, kiedy Niemcy ewakuowali leżący po północno-wschodniej stronie góry obóz AL Falkenberg, którego więźniowie w nieludzkich warunkach pracowali przy budowie podziemnych tuneli. Obecnie znane są jedynie cztery wejścia do podziemi.

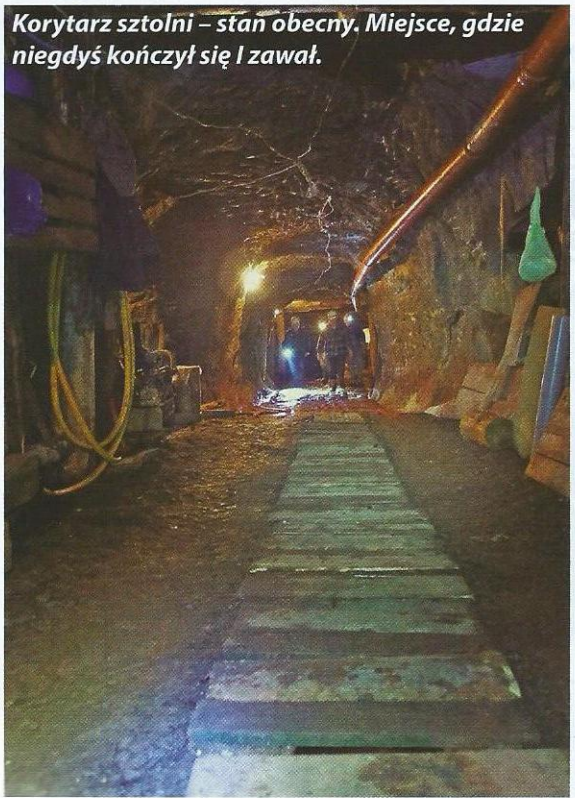

Korytarz sztolni – stan obecny. Miejsce, gdzie niegdyś kończył się I zawał.

Sztolnie nr 1 i 2 znajdują się po północnej stronie góry, na poziomie ok. 640 m n.p.m. Kryją one dwa równoległe korytarze, połączone w głębi wyrobiska siecią krótkich tuneli oraz dwoma większymi pomieszczeniami ok. 5-metrowej wysokości, określanymi często „halami". Całość została wielokrotnie spenetrowana i opisana. Od 2001 r. są one odcięte zabezpieczającymi kratami. Położone po wschodniej stronie góry sztolnie nr 3 i 4 znalazły się niżej, na poziomie 580 m n.p.m. i około 500 m w linii prostej od wyżej położonych podziemi. Zagadkę sztolni nr 4 udało się rozwiązać w latach 90. Odsłonięty został ok. 100 metrowy tunel, w stanie surowym, zakończony górniczym przodkiem. W sztolni odnaleziono jedyny obecnie w Górach Swoich oryginalny wagonik, torowisko, narzędzie górnicze i lutnię (rurę) służącą do wentylacji. Dzisiaj jest ona niedostępna. Zupełnie inaczej wygląda sprawa z ostatnią niezbadaną sztolnią kompleksu.

Sztolnia nr 3

Trudno zliczyć ile mitów powstało wokół tego wejścia do podziemi, wysadzonego i zabezpieczonego potężnym ok. 32 metrowym zawałem. Większość z nich mówiła o istnieniu w tym miejscu skomplikowanego systemu korytarzy, obetonowanych i praktycznie w całości ukończonych. Do momentu przekopania się przez pierwszą przeszkodę, nikt nie był w stanie tej wiedzy zweryfikować. Sytuacja zmieniła się dopiero dwa lata temu, kiedy rozpoczęły się kosztowne i bezprecedensowe w swoim rozmachu prace podjęte przez Przedsiębiorstwo Budowlane „Margo" z Pomorza. Od samego początku „Odkrywca" objął patronat nad całością prac, biorąc bezpośredni udział w kilku kluczowych etapach, m.in. w odwiertach poprzedzających górnicze prace i inwentaryzacji odnalezionych przedmiotów. Gdy w październiku ubiegłego roku udało się odsłonić duży fragment podziemi, pierwsze co rzuciło się w oczy, to niemalże całkowite ich „wyczyszczenie". Na resztkach instalacji odnaleźliśmy ślady cięcia, świadczące o planowym jej usuwaniu, po torowiskach pozostały jedynie podkłady, śruby oraz kilkanaście stalowych kotw służących do mocowania szyn do drewnianych podkładów. Pod pokru-

– prawdziwa krzyżówka...

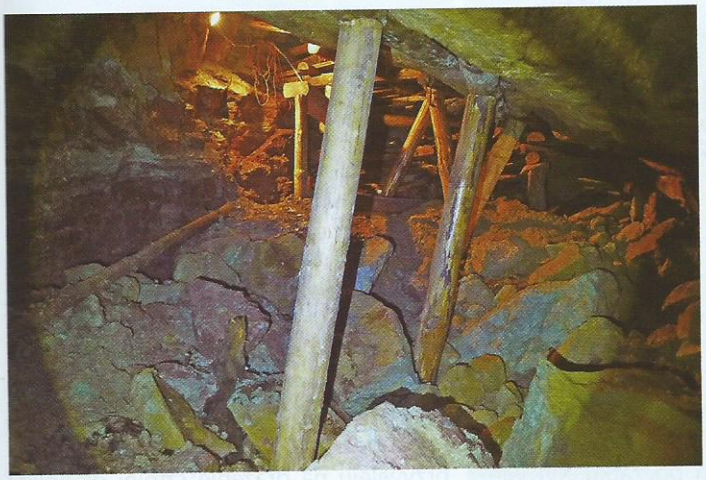

Prowizoryczne podparcie skalnej półki tuż za zawałem umożliwiające wstępną eksplorację.

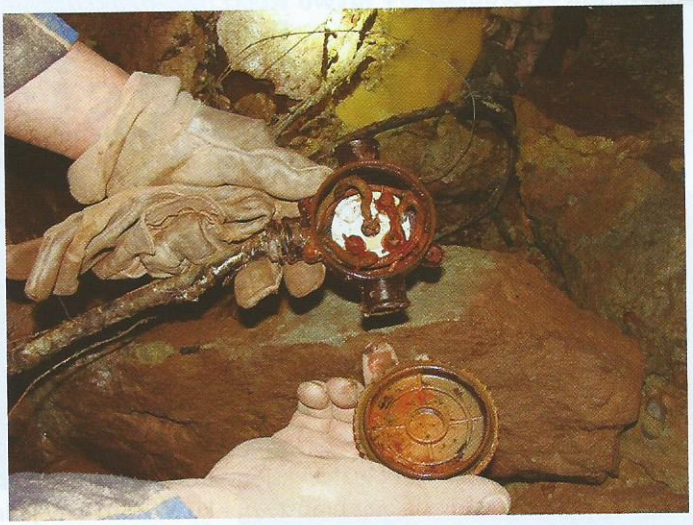

Rozdzielacz z fragmentami kabla, podobny do odnalezionych na Soboniu.

szonymi skałami zalegającymi na spągu, odnaleźliśmy wiele fragmentów okablowania, ebonitowe puszki rozdzielacza z resztkami odciętych kabli i metalowe kule łożyskowe z zainstalowanej na skrzyżowaniu obrotnicy. Do dziś nie udało się ustalić dlaczego, kiedy, i kto oczyścił sztolnię, a następnie ją wysadził, pozostawiając inne sztolnie kompleksu w stanie niemal nienaruszonym.

Gdy opisywaliśmy w październiku 2012 r. stan prac w sztolni, wydawało się, że jesteśmy o krok od pokonania kolejnego, III już zawału jaki stanął na drodze do odkrycia jej tajemnic. Okazało się jednak, że z uwagi na silny nacisk górotworu występujący w tym miejscu, nastąpiły różnego rodzaju utrudnienia. Dopiero po kolejnych kilku miesiącach udało się je pokonać i przedrzeć do dalszej części podziemi. Za zawałem znajduje się kilkunastometrowy odcinek korytarza wiodący do skrzyżowania, które zostało solidnie obwalone. Odpadłe ze stropu tony skał spowodowały, że korytarz podwyższył się o kilka metrów pozostawiając jednak spory, ponad dwumetrowy, a miejscami nawet wyższy, prześwit nad rumowiskiem umożliwiający dalsze przejście. To co tam widać, jest bardzo obiecujące. W głębi góry ciągnie się dalsza część chodnika, odchylona nieco w prawo od osi głównego korytarza. Po kilkunastu metrach kończy się następnym zawaliskiem. Ten, nazwijmy go, główny ciąg komunikacyjny liczy od wejścia do sztolni ok. 150 m i najwyraźniej ma kontynuację, co można wywnioskować po charakterze tego zawału. Ze skrzyżowania wybiegają jeszcze dwa korytarze. Jeden z nich prowadzi w kierunku północnym, tzn. w stronę oddalonej o około 200 m sztolni nr 4. Trzeci korytarz, z którego sączy się najwięcej wody, biegnie w stronę południową. Obydwa, podobnie jak główny ciąg komunikacyjny, kończą się zawałami. Podczas trwających w ostatnich miesiącach badaniach partii podziemi, zostały znalezione kolejne przedmioty: fragmenty kilofa, pocięte okablowanie, śruby, kotwy oraz ebonitowy rozdzielacz.

Obecnie waży się decyzja o dalszym kierunku prowadzonych prac, a jest z czego wybierać... Podsumowując. Wspólnie z nowo odkrytymi odnogami pozostaje co najmniej pięć zawalonych przejść do dalszych odcinków kompleksu. Co najmniej, bowiem nadal niewyjaśniona pozostaje kwestia pierwszego zawaliska-krzyżówki znajdującego się po prawej stronie od wejścia. Wygląda ona jak fragment charakterystycznego układu tzw. „wartowni". Znanych z innych kompleksów zespołów niewielkich odcinków korytarzy mniej więcej na planie kwadratu. Jednak jedyne w sztolni tory, wystające z zawaliska, świadczą o tym, że z „wartowni" wybiegał dłuższy, przynajmniej kilkunastometrowy korytarz. Inaczej nie opłacałoby się kłaść torowiska. Podobny układ, tzn. wybiegającego z „wartowni" długiego korytarza, znajdował się przynajmniej w jeszcze jednym podziemnym kompleksie „Esche II" znajdującym się w pobliżu Hersbruck w Niemczech.

Już wkrótce, niezależnie od efektów prowadzonych prac, opublikujemy analizę terenową odnoszącą się do pozostałości kompleksu jakie można znaleźć na powierzchni góry Gontowa.

Widok z „krzyżówki" w stronę wlotu sztolni.

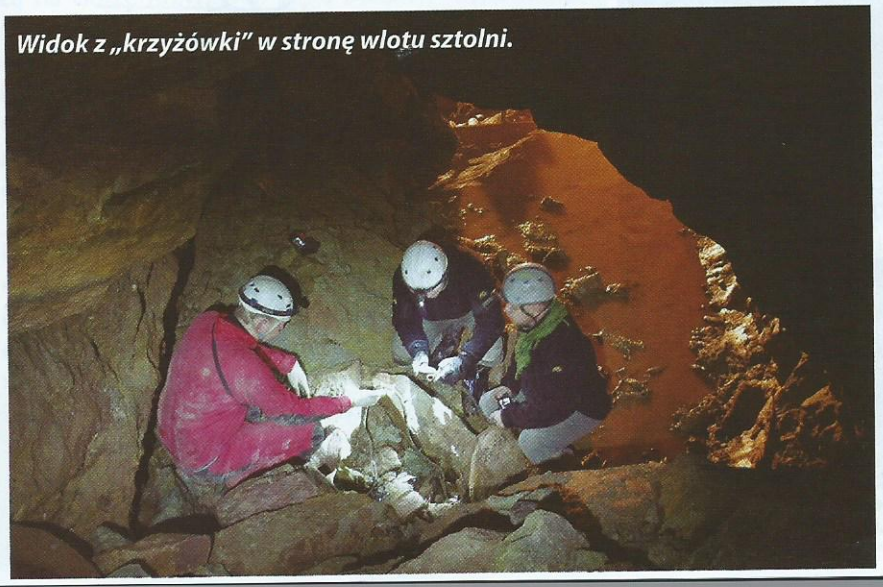

W poprzednim numerze opisaliśmy historię i eksplorację sztolni odwadniającej Emanuel, niezwykłego zabytku techniki znajdującego się w Wąwozie Kłodzkim nad Złotym Stokiem. Dzisiaj przeniesiemy się na drugą stronę Góry Krzyżowej, do doliny Złotego Jaru, gdzie kryje się inne górnicze wyrobisko, dla odmiany – wygodne i łatwo dostępne praktycznie dla każdego.

Sztolnia Książęca

TEKST: KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, DARIUSZ WÓJCIK
ZDJĘCIA: AUTORZY (ZE WSPARCIEM JULII KRZYŻANOWSKIEJ I SVENA STRĘKA)

Aby w pełni przedstawić historię sztolni, musimy cofnąć się w czasie do roku 1465, kiedy to Jerzy z Podiebradu, król Czech, nadaje swoim synom udzielne, czyli niezależne księstwa. Jeden z nich, Henryk zwany Starszym, otrzymuje pod swoje panowanie księstwo ziębicko-ząbkowickie oraz hrabstwo kłodzkie z „wszystkimi prawami książęcymi", także w zakresie własności rud leżących pod ziemią. Książę Henryk sprawnie organizuje roboty górnicze w Złotym Stoku: rozlicza się finansowo z klasztorem w Kamieńcu, który wciąż posiada ziemie z najbogatszymi złożami, i uzgadnia, że w zamian za dziesięcinę z wszystkich prowadzonych na jego ziemiach robót górniczych, będzie miał prawo kontrolować całe górnictwo na tym terenie. W dalszej kolejności reguluje sprawy administracyjne, wpierw ogłaszając Bergfreiheit (wolność górniczą), następnie nadając miastu w 1483 r. ordynację górniczą, opartą na prawie obowiązującym w Kutnej Horze oraz Igławie. W kolejnym roku otwarty zostaje urząd górniczy, pełniący jednocześnie funkcję urzędu miejskiego. Urząd będzie teraz rozstrzygał sporne sprawy górnicze, w trudniejszych przypadkach posiłkując się sądem ławniczym w samej Igławie. Do jednej z takich sytuacji dochodzi na samym początku XVI wieku. W 1501 r. w jednym z wyroków sądu igławskiego, rozstrzygającym spór gwarków, pojawia się wzmianka o obiektach górniczych na Górze Krzyżowej, wznoszącej się nad górniczym miastem. W *sententia denfinitiva* wyroku opisano założenie nowej sztolni i szybu; nie pada wprawdzie nazwa „Sztolnia Książęca" (Fürstenstolle) pod jaką dziś znamy to miejsce, ale pojawia się określenie *„auf dem neuen Hiemt, auf fürstlicher"*. Nieżyjący już badacz historii górnictwa Tadeusz Dziekoński uważał, że określenie to dotyczyło szybu Himmlefahrt znajdującego się nieopodal sztolni Książęcej oraz zawierało dawną lub niedokładną nazwę naszej sztolni. Przyjęcie takiej wersji oznaczałoby, że interesujące nas wyrobisko musiało powstać jeszcze w XV w., na kilka dobrych lat przed rozpoczęciem drążenia odwadniającej sztolni Emanuel. Kolejna wzmianka, która odnosi się prawdopodobnie do sztolni, przytaczana jest przez Codex Diplomaticus Silesiae za aktami miejskimi Złotego Stoku i pochodzi z 10 III 1538 roku. Jest to opis przywileju na drążenie sztolni głębokiej („*...den tieffen stollen im Huttengrunde...*"), która to nazwa dotyczy sztolni odwadniających. Jak już wspominaliśmy przy okazji materiału o sztolni Emanuel, sztolnia odwadniająca jest wielką inwestycją, wykonywaną przez gwarectwa na wiele lat a nawet stuleci. Wlot do sztolni odwadniającej umiejscawiano zazwyczaj w dolinie, w najniższym z możliwych miejscu, zapewniając grawitacyjne, a więc darmowe, odwadnianie kopalni położonych powyżej. Oczywiście największym i często gigantycznym kosztem było samo wydrą-

Rys. 1 Przekrój przez wyrobisko sztolni Książęcej z książki obudowy i eksploatacji z 1961 r. Na szkicu oznaczono drewniany podest, który występuje w wielu miejscach w sztolni. Zbiory Archiwum Państwowego w Kam. Ząbkowickim.

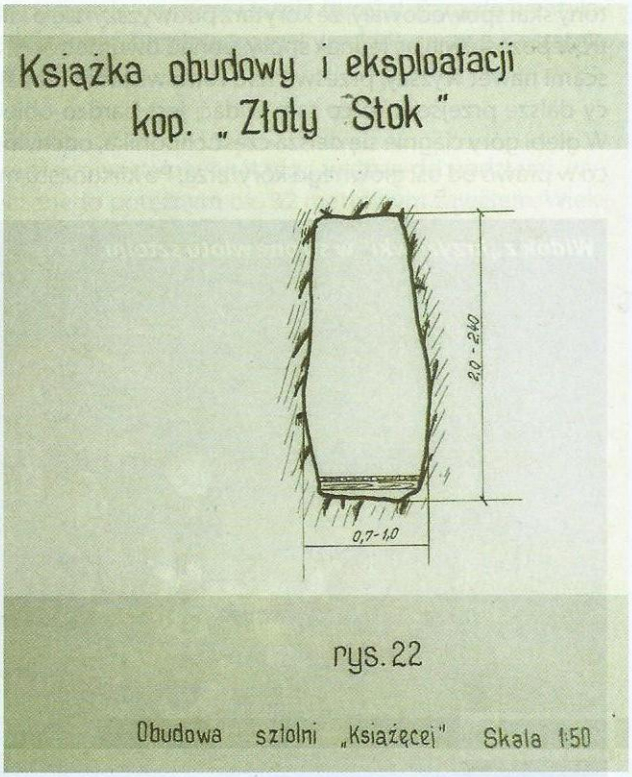

Na początku XX w. sztolnię Książęcą udostępniono dla turystów, a przed jej wlotem wybudowano niewielki budynek. Podpis głosi: „Złoty Stok na Śląsku. Wejście do sztolni Książęcej w Dolinie Szlaki (Złotym Jarze). Dawna kopalnia z XII stulecia". Podany tu okres powstania tego wyrobiska był zapewne bardziej chwytem marketingowym niż historyczną informacją. Kopia ze strony www.zlotyjar.pl/historia

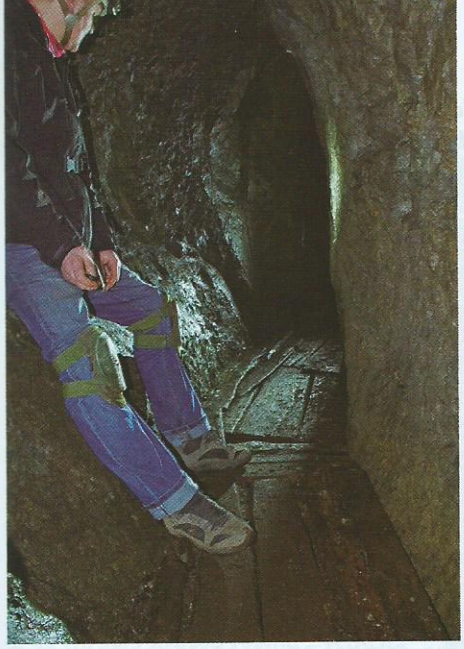

Sztolnia Książęca, końcowa część współcześnie dostępnego odcinka. Krzysztof siedzi na półce, która stanowi fragment „ślepego" przodka: górnicy porzucili tu pierwotny kierunek i – być może wskutek korekty kierunku – rozpoczęli dalsze drążenie tuż obok.

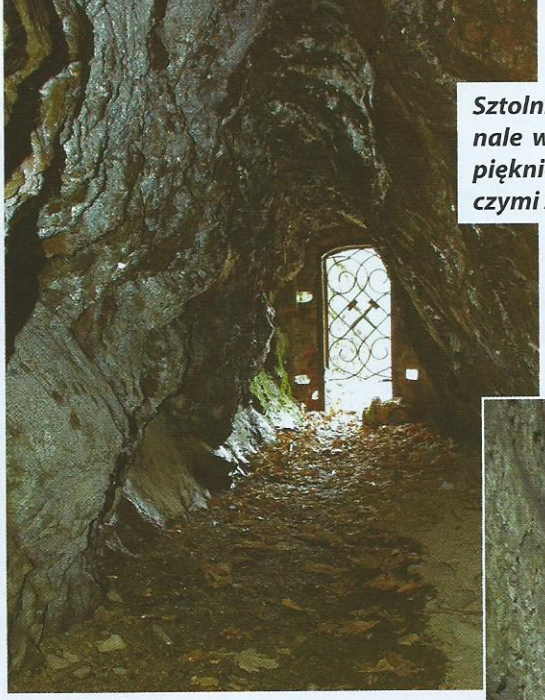

Sztolnia Książęca, tuż za wlotem. Doskonale widoczna z drogi w Złotym Jarze, pięknie kuta brama z symbolami górniczymi strzeże wejścia do wyrobiska.

Sztolnia Książęca, środkowa część. Widoczny podest z desek, pod którym mogła grawitacyjnie odpływać woda.

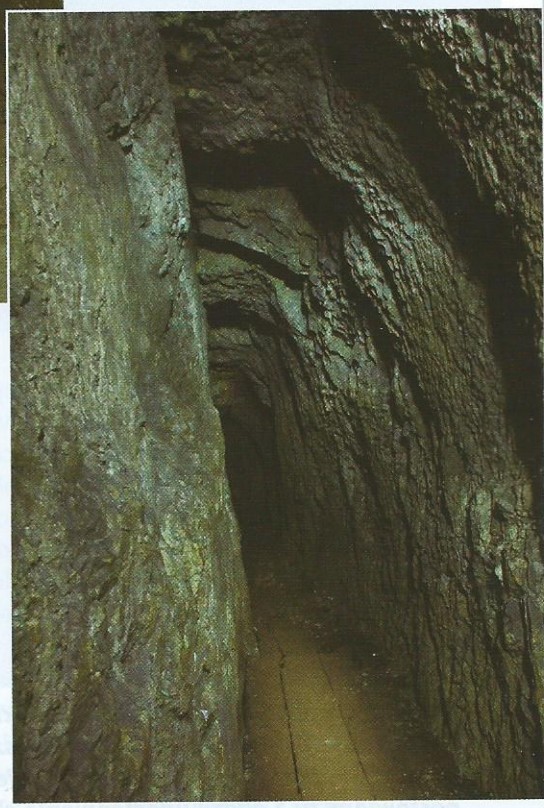

żenie takiego wyrobiska i z tego powodu wszystkie kopalnie, korzystające ze sztolni odwadniających, musiały wnosić odpowiednie opłaty, a właściciele tej ostatniej (lub dziedziczący po nich, skąd wzięła się nazwa) odzyskiwali pieniądze zainwestowane w jej budowę przez bardzo długi czas. We wspomnianym dokumencie z 1538 r. ponownie nie pojawia się nazwa sztolni, wyłącznie opis, że znajduje się ona w Dolinie Hutniczej i dotyczy Góry Kościelnej, co jest zapewne inną nazwą Góry Krzyżowej. Wspomniany Tadeusz Dziekoński łączył ten przywilej właśnie z robotami wspominanymi w wyroku sądu igławskiego wydanego 37 lat wcześniej.

Kolejna archiwalna wzmianka z roku 1548 wspomina sztolnię odwadniającą na Górze Krzyżowej, którą Dziekoński jednoznacznie identyfikuje ze sztolnią Książęcą. Dokument wskazuje, że kilka gwarectw prowadzących prace na Górze Krzyżowej połączyło się w jedno gwarectwo pod rządami spółki Fuggerów. Sprawozdanie z lustracji z roku 1573 stwierdza, że sztolnia ma ok. 200 łatrów długości, co odpowiada około 420 metrom. W dokumencie nie pada nazwa sztolni, pojawia się wyłącznie określenie „Stollen in Mittelgebirge", co można tłumaczyć jako „Góra Środkowa". Z braku innych wskazań, można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że ponownie jest to znana nam już Góra Krzyżowa, która znajduje się pomiędzy Górą Haniak a Górą Sołtysią. W kronice Carla Beniamina Heintze'go z 1817 r., we wzmiance dotyczącej tego okresu, także można przeczytać, że w Mittelgebirge znajdują się dwie sztolnie: St. Johannesstolle oraz Erbstolle; tą ostatnią kojarzyć należy ze sztolnią Książęcą. Potwierdzenie tej informacji udało nam się odnaleźć w roczniku górniczym Bergmannisches Journal autorstwa Aleksandra Wilhelma Röhlera z 1790 roku. Znajduje się tam informacja, że w 1575 r. istniała sztolnia dziedziczna w Mittelgebirges.

Zbliżał się koniec XVI w., a z nim postępujący upadek „złotego wieku" górnictwa w Złotym Stoku. Z powodu wyczerpywania się złóż, górnictwo podupada a inwestorzy się wycofują. Wojna trzydziestoletnia i okres bezpośrednio po niej, mimo usilnie podejmowanych prób, nie przynoszą rozwoju górnictwa. Od 1709 r. ruszyła na skalę przemysłową produkcja arszeniku. Tadeusz Dziekoński wzmiankuje, że w 1738 roboty górnicze skupiały się wyłącznie wokół dwóch sztolni odwadniających: Emanuela na Górze Haniak i Książęcej na Górze Książęcej. W tym okresie nazwa ta wydaje się być już ugruntowana: w dziele Emila Steinbecka „Geschichte des schlesichen Bergbaues" z 1857 roku, pod datą 29 VIII 1740 r. wymienia się już nazwę Fürsten-Stollen (Sztolnia Książęca). Autor opracowania powołuje się przy tym na urzędowy dokument, można więc wnioskować, że taka nazwa była już oficjalna i w powszechnym użytku. Kolejny raz nazwa ta pojawia się po wojnach śląskich, kiedy to Śląsk przechodzi pod władanie Prus. Z tego okresu pochodzi mapa Złotego Stoku, na której naniesiono schematyczny zarys przebiegu sztolni oraz jej nazwę (Fürsten Stolle).

Koniec XVIII i początek XIX w. to rozwój robót górniczych. Z mapy górniczej z roku 1802 można się dowiedzieć, że sztolnia Książęca ma już około 500 m długości. Mimo chwilowego rozwoju, połowa XIX w. to początek trudności kopalni złotostockich. Zmiana technologii oraz przejęcie huty i kopalń przez W. Güttlera, pod koniec XIX w., pozwala na ponowny rozwój górnictwa. Co ciekawe, sztolnia Książęca zmienia jednak całkowicie przeznaczenie i zostaje… udostępniona do zwiedzania. W dolinie Złotego Jaru, tuż przed wlotem do sztolni, wybudowano niewielki domek z przybudówką, przykryty dwuspadowym dachem. Na starej pocztówce z początku XX w. (fot. nr 1) widać, że otoczony jest bielonymi kamie-

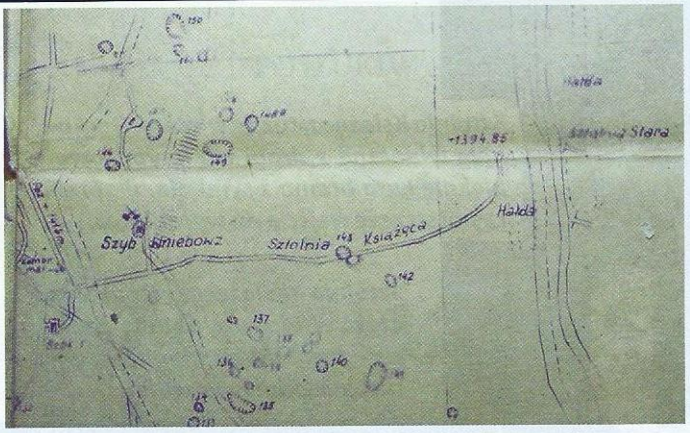

Plan sztolni Książęcej z lat 50. XX wieku. Oznaczono szyb „Wniebowzięcie" (d. Himmelfahrt) oraz dalszą część sztolni, dziś już niedostępną. Zbiory Archiwum Państwowego w Kam. Ząbkowickim.

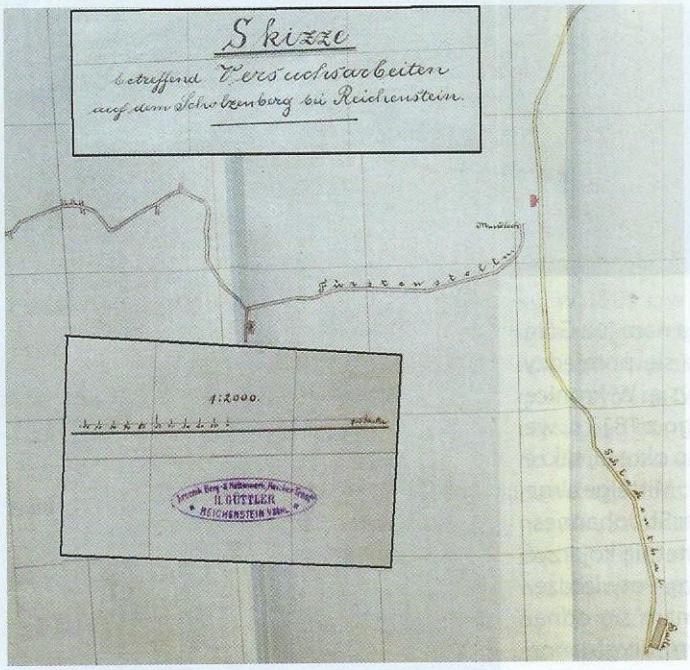

Fragment mapy robót poszukiwawczych na sąsiedniej górze Sołtysiej z naniesionym planem sztolni Książęcej z 1906 r. Przed wlotem widoczny jest jeszcze budynek postawiony tu z okazji udostępnienia chodnika dla turystów na początku XX w. Poniżej pieczątka ówczesnego właściciela kopalni H. Güttlera.

niami, nad wlotem sztolni umieszczona jest tablica informacyjna, ktoś wypoczywa na trawie, a dwóch Panów w mundurach, być może przewodników lub bileterów, pozuje do zdjęcia. Nie wiemy dokładnie, jak długo działała ta atrakcja turystyczna. W planie ruchu kopalni arszeniku Reicher Trost i Reicher Blick na 1908 rok znajduje się informacja, że sztolnia Książęca *„nie będzie włączana do eksploatacji z powodu braku sił roboczych i z tego powodu może być pozostawiona publiczności do zwiedzania"*; informacja ta powtarza się także rok później. Jednak już w 1910 r., w planie znika wzmianka o „publiczności", a sztolnia ma być *„utrzymywana w stanie dostępności"*, czy też *„przejezdności"* (fahrbare Zustand). Mogło to mieć związek ze zmniejszonym zainteresowaniem turystycznym lub też z potrzebą wykorzystania sztolni jako wyrobiska związanego z przewietrzaniem. Sztolnia nie traciła bowiem zupełnie swoich wszystkich funkcji i w zachowanych dokumentach górniczych aż do 1945 r. występuje jako element systemu wentylacyjnego kopalni Reicher Trost. Według sprawozdań, przewietrzanie tej części kopalni odbywało się (w zależności od pory roku) przez naturalny obieg powietrza, które dostawało się wewnątrz przez dostępną współcześnie dla turystów sztolnię Gertruda, biegło przez przekop Himmelfahrt, przedostawało się przez szybiki do miejsc wydobycia i wypływało na zewnątrz przez sztolnię Książęcą. Tak samo rola sztolni przedstawiana była w czasach po przejęciu kopalni przez państwo polskie w 1945 roku; zachowała się nawet informacja, że umiejscowiono w niej stację pomiarową przepływu powietrza nr 5. Taki stan trwał aż do zakończenia działalności kopalni w 1961 roku.

Dziś możemy pokusić się o stwierdzenie, że sztolnia Książęca jest najłatwiej dostępnym dawnym wyrobiskiem górniczym, nie tylko w Złotym Stoku, ale może i na całym Dolnym Śląsku. Można je zwiedzać samodzielnie, mając wyłącznie sprawne źródło światła i kalosze. Wlot do sztolni, który znajduje się w Złotym Jarze, za parkiem linowym i kamieniołomem, trudno przegapić, ponieważ postawiono tam tablicę informacyjną, sam zaś otwór sztolni zamknięty jest kutą kratą z symbolami górniczymi. Dzisiaj sztolnia jest dostępna na odcinku 215 m i biegnie po łagodnym łuku w kierunku zachodnim. Kończy się tamą wybudowaną w czasach polskich, prawdopodobnie w czasie likwidacji kopalni na początku lat 60., w której ciekawscy wybili dziurę umożliwiającą przejście na drugą stronę. Nie polecamy przechodzenia, ponieważ po drugiej stronie nic ciekawego nie ma. Znajdujące się tam żelazne drzwi są częściowo przysypane przez skalny gruz i ziemię, oznaczając miejsce, gdzie znajdowała się stacja pomiarowa przepływu powietrza. Wybita dziura pozwala na sprawdzenie wspomnianej wcześniej funkcji wentylacyjnej sztolni: silny ciąg powietrza jest tutaj wyraźnie wyczuwalny. Zamiast przeciskać się przez niewygodny otwór, lepiej podziwiać kunszt dawnych górników, ponieważ sztolnia nie posiada obudowy, dzięki czemu można do woli oglądać żłobienia powstałe w wyniku ręcznego urabiania skał. Na całej długości wyrobisko ma wysokość pomiędzy 2 a 2,5 m i średnią szerokość 0,8-1,2 m (rys. nr 1). Wymiary stanowić mogą odrębne pole do dyskusji ponieważ sztolnie odwadniające były zazwyczaj niższe i węższe. Można by sądzić, że „turystyczny" epizod z historii sztolni przyczynił się do tego, że wyrobisko powiększono dla wygody zwiedzających, jednakże przeciwko tej hipotezie świadczą zachowane ślady żłobień. Na sporej długości wyrobiska zachowały się natomiast drewniane podesty, które umożliwiały przemieszczanie się chodnikiem „suchą nogą", podczas, gdy woda mogła swobodnie płynąć poniżej.

Kontakt z autorami: mediator.wroclaw@wp.pl

Literatura::
1. „Złoty Stok – najstarszy ośrodek górniczo-hutniczy w Polsce" pod red. T. Mikosia, AGH, Kraków, 2009
2. T. Dziekoński, „Wydobywanie i metalurgia kruszców na Dolnym Śląsku", Wydawnictwo PAN, 1972
3. www.zlotystok.salwach.pl
4. www.zlotyjar.pl/historia

Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
Miłośnicy górnictwa i wszelakich podziemi wytworzonych przez ludzi. Obszar głównego zainteresowania: historyczne kopalnie w Sudetach. W ciągu 10 lat swojej działalności zbadali setki obiektów głównie na Dolnym Śląsku, a swoją pasję opisali w kilku książkach oraz ponad 100 publikacjach prasowych i naukowych. Prywatnie: prawnik–humanista i ekonomista – umysł ścisły.

Anglicy na Ziemiach Zachodnich

Misja Brytyjska w Węglińcu

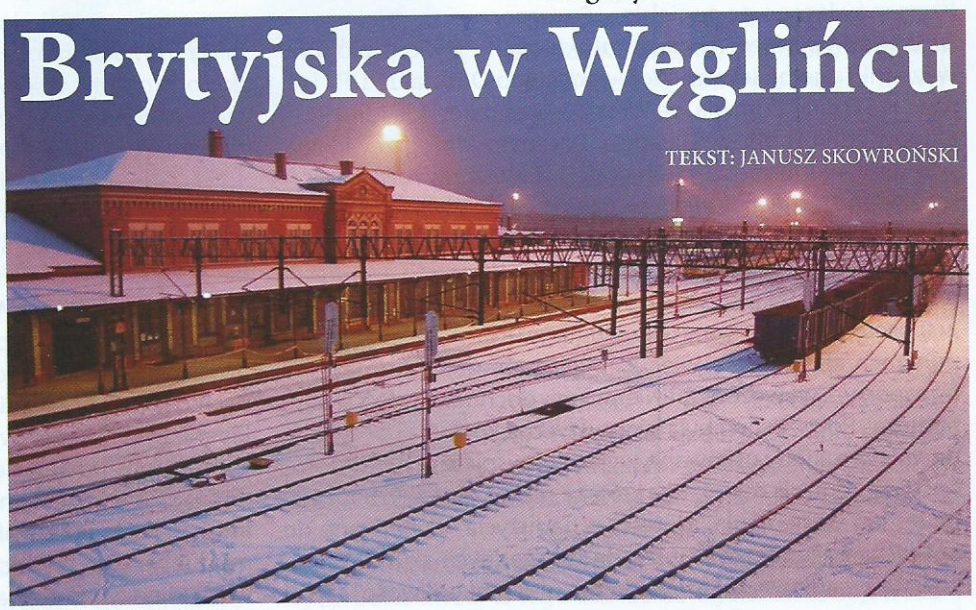

TEKST: JANUSZ SKOWROŃSKI

W najnowszej, ledwie powojennej historii Węglińca, największego węzła kolejowego południowo-zachodniej Polski, epizod z funkcjonowaniem tu brytyjskiej Misji Wojskowej pozostaje niemal zapomniany. Kolejowe miasteczko, położone wśród lasów, którego nie dosięgły żadne działania wojenne, odegrać miało w latach 1946-47 – za sprawą Brytyjczyków – istotną rolę w historii i wykonaniu ustaleń powojennego porządku w Europie.

Dokładnie w dniu swoich dwudziestych urodzin, 12 VII 1944 r., mieszkająca na Łotwie Eryka Weinstein, pół-Łotyszka, pół-Polka wsiadła do pociągu i wraz z rodzicami, siostrą i babcią ruszyła w nieznane. Została przymusowo wysiedlona, bo ojciec, łotewski kolejarz, nie zgodził się podpisać Volkslisty. Kiedy po kilku dniach podróży pociąg wreszcie zatrzymał się, Eryka przeczytała nazwę miasteczka – Kohlfurt. Ich miejscem przeznaczenia stał się miejscowy Arbeitslager Nr 8, przymusowy obóz pracy. Składał się z sześciu baraków. Siódmym był ich, łotewski. Ojciec zmuszony został do pracy, bo węzeł potrzebował kolejarzy. Eryka pamięta, że do tego samego obozu trafili wkrótce Polacy po Powstaniu Warszawskim. Ale oni, Łotysze, nie mieli z nimi bliższego kontaktu. Sam obóz nie był zbyt silnie strzeżony, wokół same lasy. Zdarzało się, że Lagerführer Jakobs pozwalał na wyjścia do miejscowego kina. Warunek był jeden – o 22:00 należało zameldować się z powrotem. Nazwę Kohlfurt nadano miasteczku w 1929 roku, bo od 1895 obowiązywała nazwa Bahnhof Kohlfurt, ściśle związana z miejscowym węzłem kolejowym. Nieco dalej, po drugiej stronie rozległego torowiska rozciągał się Alt Kohlfurt, dla odróżnienia. Pani Eryka pamięta, że tuż po bombardowaniu Drezna, ich obóz pracy opustoszał. Wszystkich wywieziono z Kohlfurtu właśnie aż pod Drezno. Skład 60-ciu wagonów ciągnęły aż trzy lokomotywy. Ojciec – innym pociągiem – trafił do Radebeul, ona z resztą rodziny do Marienberg. Tam zastał ich koniec wojny. Niebawem ojciec połączył się z rodziną i kiedy dowiedział się, że granica wschodnia zostanie zamknięta, postanowił, że niezwłocznie ruszą na wschód. Granicę na Nysie Łużyckiej przekroczyli dosłownie w ostatniej chwili. Wrócili do Kohlfurtu i tu postanowili zostać. Na Łotwę nie było po co wracać… zresztą Łotwy już nie było. A tymczasem „ich" Kohlfurt stawał się polskim Kaławskiem. Nazwę „Kaławsk" wprowadzono 28 VIII 1945 r., cztery tygodnie po tym, jak w Poczdamie zapadły ustalenia „Wielkiej Trójki". Kolejna zmiana nazwy miasta na Węgliniec nastąpić miała dopiero w 1947 roku.

Mimo że okres tzw. „dzikich wysiedleń" ludności niemieckiej w końcu 1945 r. został wstrzymany, nie przeszkadzało to czynieniu dalszych przygotowań. Rozwiązanie dylematu: pozbywać się Niemców z „nowej" Polski za wszelką cenę, czy pozostawiać ich tu jako fachowców gospodarczych – było tylko kwestią czasu i odwlekania wywozów. Choć przerwano wysiedlenia do stref okupacyjnych, brytyjskiej i radzieckiej, początek roku następnego miał pokazać, że najwcześniej rozpoczęte wysiedlenia z Dolnego Śląska będą swoistym „poligonem doświadczalnym" dla województw w innych częściach Polski. To w Warszawie, już na początku stycznia 1946 r., na szczeblu centralnym, a konkretnie w sprawującym kontrolę nad wysiedleniami Ministerstwie Ziem Odzyskanych (MZO) ustalono, że pierwsze regularne transporty zostaną skierowane do brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. I będą to transporty kolejowe, przebiegające dwiema trasami: z Wrocławia i Kłodzka. Obie zbiegały się w Legnicy. Pamiętajmy, że trasa z Kłodzka nie wiodła przez Jelenią Górą i Zgorzelec z uwagi na wysadzone nad Bobrem i Nysą Łużycką wiadukty kolejowe. Tak zwanym zdawczym punktem granicznym ustanowiono Kaławsk. Umowa między Polską a Wielką Brytanią (a konkretnie brytyjską Armią Renu w Niemczech) z 12 II 1946 r. określała nie tylko plan tras kolejowych, ale i punkty przeznaczenia, gdzie kierowano składy – Alverstdorf (3 tys. Niemców dziennie) i Friedland (2,5 tys. dziennie). Ustalono także, że każdy skład będzie liczył po 55 krytych wagonów. I pomieści po 35 osób w wagonie. Uwzględniając wagony żywnościowe w składzie, każdy sformowany w ten sposób skład liczył ok. 1700 Niemców.

Dwa dni później, umowa polsko-brytyjska regulowała już zasady funkcjonowania punktu zdawczego w Kaławsku. Przygotowano specjalne pomieszczenia dla Anglików: punkt medyczny, kuchnie i urządzenia sanitarne dla przesiedlanych Niemców. Misja Brytyjska stała się faktem i rozpoczęła swe funkcjonowanie w polskim Kaławsku 18 II 1946 roku. Kiedy w lipcu 1946 r. strona polska podpisała z Rosjanami następną umowę o kierowaniu transportów do radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, otwarto kolejny punkt zdawczy – w Tuplicach. Punkt zdawczy w Kaławsku miał przyjmować transporty odbierane przez Misję Brytyjską. Już pierwszych kilkanaście dni funkcjonowania Brytyjczyków (w lutym 1946)

uwidoczniło szereg trudności, m.in. nie udało się znaleźć lekarza mówiącego po angielsku. *„Po rozpoczęciu przyjmowania transportów problem ten pozostał aktualny"* – stwierdzało sprawozdanie ogólne lekarza Wojewódzkiego Oddziału PUR i kierownika Działu Zdrowia we Wrocławiu za okres 1 II-1 III 1946[1]. Odpowiedni zapis w Układzie Poczdamskim przewidywał przesiedlenie ludności niemieckiej. *„Trzy rządy, rozważywszy sprawę pod każdym względem, uznają, że należy przedsięwziąć przesiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej lub jej elementów pozostałych w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Zgodne są one co do tego, że wszystkie przesiedlenia powinny się odbywać w sposób uporządkowany i humanitarny"*. Niestety, na polskich punktach zbornych, a więc w miejscach, gdzie formowano transporty z wywożonymi Niemcami, dochodziło do szeregu nadużyć. Powszechną była rygorystyczna kontrola bagażu, łapownictwo, kiedy usiłowano wyjazd przyspieszyć lub przepuścić bez kontroli celnej, czy krótszy niż 24 godziny podawany termin wysiedlenia. Protesty o nadużycia – kierowane do polskich prokuratorów – nie odnosiły żadnych skutków. Brakowało świadków, wskazywano na „niską szkodliwość" czynu i sprawy umarzano. Zdarzało się niekiedy, że wysiedlani Niemcy skarżyli się wprost Brytyjczykom: *„Zażalenia, jakie repatrianci niemieccy z pow. strzelińskiego wnieśli w punkcie zdawczym w Kaławsku, są kłamliwe, bezpodstawne, mające na celu skompromitowanie władz Polskich wobec władz Okupacyjnych Angielskich"* – donosiło sprawozdanie w sprawie nadużyć z 17 VIII 1946 r. kierowane na ręce Romana Fundowicza, pełnomocnika ds. repatriacji Niemców z Dolnego Śląska. Na porządku dziennym było rekwirowanie nadmiernej – zdaniem władz polskich – ilości żywności wywożonej przez Niemców. Nim trafiła ona do magazynów przed podróżą w nieznane, była często rozkradana. Powszechnie tolerowano niegodne zachowania na punktach zbornych bądź zdawczych, przewinienia zacierano w imię urzędniczej „solidarności" zatrudnionych przy tej pracy ludzi. Praca była ciężka i słabo płatna, więc znalezienie nowych, w dodatku uczciwych kadr, było niezwykle trudne. Brakowało też osób do należytej ochrony transportów z punktów zbornych do punktów zdawczych. Np. w kwietniu 1946 roku w Ząbkowicach na *„dworcu i drodze do Kaławska"* zadowolono się ochroną zaledwie 6 osób. *„O ochronie transportu przez milicję do Kaławska nie ma mowy. Jeden z transportów wyjechał pod ochroną młodzieży Związku Walki Młodych, doraźnie zorganizowanej przez starostę z jednym karabinem"* – raportował Józef Jaroszek, Główny Delegat Ministerstwa Ziem Odzyskanych 19 IV 1946 roku. Miesiąc później tenże sam Jaroszek zwracał uwagę na zjawisko samowolnych, indywidualnych wyjazdów Niemców z Dolnego Śląska i województw ościennych do Kaławska, po to, aby tam „załatwić" sobie możliwość udania się do strefy brytyjskiej. Misja Brytyjska w Kaławsku rzeczywiście kierowała pojedynczych Niemców do transportów poza kolejnością. Wieść ta rozchodziła się szybko, co zachęcało następnych do podejmowania podobnych prób. Niekiedy osoby takie miały przepustki wystawiane przez władze lokalne, by na własną rękę dostać się do Kaławska. Walka z tym procederem była bardzo trudna, o czym na bieżąco raportował swoimi kanałami polski oficer łącznikowy przy Misji Brytyjskiej, mjr Kierys. Zaś Brytyjczycy wymieniali meldunki w tej sprawie z Międzynarodową Egzekutywą Repatriacyjną w Berlinie. *„Zostaliśmy poinformowani przez Oficera Dowodzącego załogą brytyjską w Kaławsku, że wypadki złego traktowania Niemców wzrastają. Dodaje on, że głównymi sprawcami wydają się być policjanci kolejowi. Sprawa ta została przedstawiona Wojewodzie Śląska Południowego przez Oficera Brytyjskiego w Kaławsku"* – pisał w notatce, przetłumaczonej na język polski 14 V 1946 r., przedstawiciel władz brytyjskich w Niemczech do swego polskiego odpowiednika w Berlinie, gdzie działała Polska Misja Wojskowa.

Z przedstawicielami strony brytyjskiej działającej w Kaławsku zetknął się także pisarz Gerhart Pohl, pragnący rozeznać się w nowym położeniu intelektualistów niemieckich spod Karkonoszy. Na łamach swojej książki o ostatnich dniach pisarza Gerharta Hauptmanna „Czy jestem jeszcze w swoim domu?" tak opisuje funkcjonowanie misji: *„Brytyjczycy w Węglińcu – to była dla nas uciśnionych ważna wiadomość. Niecałe dwie godziny samochodowe dzieliły Karpacz od głównego węzła kolejowego, który leży na wschód od Nysy Łużyckiej. Jednakże tylko jeden ze znajomych posiadał jeszcze samochód. Był Polakiem i lekarzem. W ostatnim roku wojny został powołany do szpitala w Karkonoszach. Teraz jako kierownik lekarzy szpitala otrzymał licencję. Sam osobiście był również tym zainteresowany, aby poznać Brytyjczyków. Już następnego ranka obaj pojechaliśmy do Węglińca. Rozległy teren dworca, z którego dziennie odprawiano kilkaset pociągów, leżał opustoszały w słabym listopadowym[2] słońcu. (...) W jednej z ogromnych bagażowni spotkaliśmy kilku ludzi przy pracy. Tworzyli bariery i korytarze, tak jak ma to miejsce na stacjach granicznych. Tutaj w wielkim stylu miało być przeprowadzone wysiedlenie. Kiedy zapytaliśmy o komendanturę brytyjską, kierownik wyjaśnił szorstko: »Oni są eksterytorialni i nikt nie może z nimi rozmawiać«. Pokazaliśmy nasze papiery. Kiedy wyczytał*

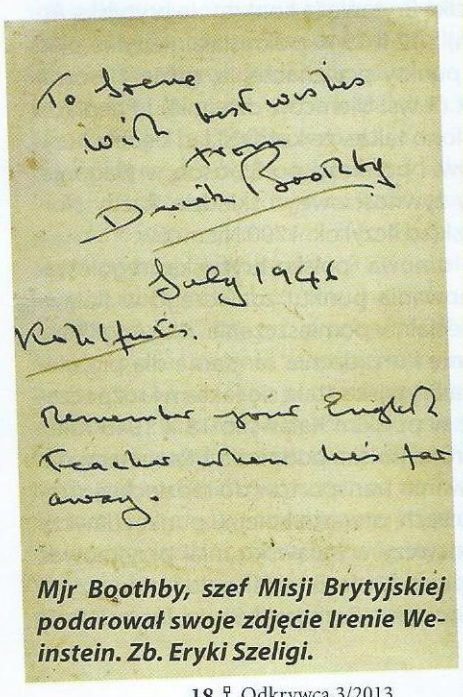

Mjr Boothby, szef Misji Brytyjskiej podarował swoje zdjęcie Irenie Weinstein. Zb. Eryki Szeligi.

Pani Eryka Szeliga od 1944 roku mieszkanka jednej miejscowości o trzech nazwach: kolejno: Kohlfurt, Kaławsk i Węgliniec doskonale pamięta Brytyjczyków.

na moim zaświadczeniu o nietykalności nazwisko marszałka Żukowa, stał się niepewny. »Siedzą z tyłu przy lokomotywowni. Ale ja nic nie mówiłem…« (…). »Czym mogę służyć?« zapytał zdziwiony brytyjski oficer, który siedział na kancie biurka i czytał angielski kryminał. Dosyć nieporadnie wyjąkałem: »Czy wszyscy Ślązacy zostaną wypędzeni ze swojej ojczyzny?«. Młody oficer z krótko ostrzyżonymi rudawymi włosami spojrzał na mnie bez zrozumienia. »Zna pan Układ Poczdamski? Jest pan dziennikarzem?«, potwierdziłem skinieniem głowy sugerując się nagle poddanej myśli. »Jesteśmy zobowiązani, przenieść wszystkich Niemców z Polski z powrotem do Niemiec«".

Szefem Misji Brytyjskiej w Kaławsku był mjr Dominik Boothby. 88-letnia obecnie Eryka Szeliga (wówczas Weinstein) z Węglińca, to jedyna osoba, która do dziś go pamięta. Pojawiwszy się ponownie w polskim już miasteczku, zetknęła się z majorem. Oficer był bardzo rad, że może wreszcie z kimś porozmawiać po angielsku. A Eryka, wszechstronnie wykształcona na Łotwie, znała aż cztery języki obce. Zapamiętała Boże Narodzenie 1946 r. spędzone na zabawie z Brytyjczykami. I co ciekawe, zachowała w swoich zbiorach zdjęcie majora. Na odwrocie widnieje skreślona ręką Boothby'ego dedykacja dla jej siostry: *„Dla Ireny z najlepszymi życzeniami Dominik Boothby, lipiec 1946, Kohlfurt. Pamiętaj o swoim nauczycielu angielskiego, gdy będzie daleko stąd"*. Szef Misji Brytyjskiej w Kaławsku nie miał łatwego zadania. To co obserwował, słał w postaci notatek służbowych do wicewojewody dolnośląskiego Aleksandra Barchacza. Dotyczyło to głównie niewłaściwego traktowania wysiedlanych Niemców i ciężkiej sytuacji na punkcie zdawczym (w Kaławsku). *„Z chwilą, gdy pisze się ten list, stacja kolejowa w Kaławsku przepełniona jest setkami ludzi liczących około 1500 osób, spośród których są tacy, którzy tu przebywają kilka dni. Mdleją z głodu i zmęczenia. Przyjmuje się, że mało wysiłku było, albo jest, ze strony władz polskich, aby zahamować ten wzrost, albo dostarczyć transport celem odesłania ich. Przeto warunek, by ewakuacja była przeprowadzona humanitarnie i w porządku jest niedotrzymywany przed oczyma oficerów i szeregowców Misji Brytyjskiej.*

Brytyjski szef misji wizytował także pobliski punkt etapowy w Bolesławcu. Z tego zdarzenia wysłał wicewojewodzie Barchaczowi dwa pisma – 13 i 14.06.1946. O ile pierwszy raport o sytuacji nazywał „dobrym" (Boothby opisał w nim sytuację bytową blisko 2800 osób, stan pomieszczeń, warunków sanitarnych, latryn, pomoc lekarską a nawet ochronę p.poż. obozu wraz konkretnymi propozycjami zmian), o tyle raport drugi był już inny. Boothby podawał z imienia i nazwiska cztery przypadki zgwałceń niemieckich kobiet i dwa przypadki bicia mężczyzn (przez polską milicję), przypadki 20-godzinnej pracy piekarzy, czy budowy torów kolejowych przez dzieci, osoby starsze a także kobiety ciężarne. Notatki Boothby'ego musiały spowodować wnikliwszą kontrolę ze strony polskiej. W każdym razie, kiedy dolnośląski komisarz ds. repatriacji Roman Fundowicz zarządził konferencję dotyczącą uchybień przy organizowaniu wysiedleń ludności niemieckiej, polski kierownik punktu zdawczego w Kaławsku zauważał m.in., że *„w pociągu nie może być więcej od 1750 osób. Są przypadki, że jest ich ponad 1800. Anglicy na razie to tolerują, zaznaczając, iż w przyszłości nadwyżki będą ściągać z transportów"*. Niestety, Polacy na punkcie w Kaławsku byli słabo wyposażeni. Nie dysponowali żadnym własnym środkiem transportu, zaś *„w przypadkach nagłych ucieka się do pomocy Anglików (niemal codziennie), co czynią ale niechętnie i dają w przykrej formie to odczuć"*. W lipcu 1946 roku – zdaniem strony polskiej – Brytyjczycy wszelkimi sposobami starali się ograniczyć liczbę transportów do swojej strefy okupacyjnej. Jako powód podawano choćby „złe" listy wagonowe. Komisarz Fundowicz odebrał od swego kierownika Referatu Transportowego telefonogram o alarmującej treści: *„Anglicy zagrozili, że nie będą przyjmować przez tydzień transportu z Wrocławia, gdyż listy wagonów nie są zgodne ze stanem faktycznym, również w większości wagonów inne nazwiska na listach inne w rzeczywistości. Proszę natychmiast interweniować"* (12.07.1946).

Węgliniec, ul. Wschodnia. Tu znajdowały się groby osób, które nie przeżyły wysiedleń. W głębi z prawej budynki kolejowe.

Jacek Majdziak i Henryk Frelich (na zdjęciu po prawej) w dokumentach dawnego baraku kolejowego odnaleźli zdjęcie archiwalne, na którym wśród wielu osób są widoczni przedstawiciele Misji Brytyjskiej w Polsce.

Osobnym zagadnieniem było kwalifikowanie do wysiedleńczych transportów osób chorych. Próbowano zabezpieczać się na wypadek protestów, pisemnym oświadczeniem, że podróż z uwagi na ciężkie warunki Niemcy podejmują na własną odpowiedzialność. Zachowany dokument ze stycznia 1947 r. – z opisu warunków podróży wysiedlonych Niemców z Wrocławia 17 XII 1946 r. do brytyjskiej strefy okupacyjnej – mówi o 58 zgonach podczas tej podróży, gdy temperatura dochodziła do minus 20 stopni. Kiedy pociąg zakończył swój bieg w strefie brytyjskiej, zaalarmowano miejscową prasę („Hannowersche Presse"). W jednej z relacji dowiadujemy się o węglinieckiej stacji: *„Dwa dni i dwie noce jechaliśmy w zamkniętych wagonach, które nocami nie mieliśmy odwagi otworzyć przed bandami. Pociąg* (z Wrocławia – przyp. J.S.) *stanął pierwszy raz w Kaławsku. Postawiono nas daleko na ślepym torze, że nikt nie mógł się ogrzać. Tu widziałam naszego pierwszego zmarłego na noszach. Zamarzł. Dano nam ciepłej kawy po długim czekaniu. Na trzech mężczyzn 1 chleb, a na 5 osób śledź solony i w końcu 1 i pół łyżki cukru i grochu. To było wszystko. Znowu musieliśmy noc przebyć na torze. Jak długo jechaliśmy do następnej stacji nie mam pojęcia, gdyż straciliśmy świadomość czasu i miejsca (...)".* Inny ze świadków tego transportu relacjonuje wprost: *„W Kaławsku było 7 zmarłych".* Grudniowe nadejście silnych mrozów spowodowało wstrzymanie wysiedleń, o czym Brytyjczycy powiadomili władze polskie dopiero 23 XII 1946 roku. Zaś ostateczne wstrzymanie wysyłania transportów nastąpiło dopiero 10 I 1947 r., o czym zawiadamiało Polską Misję Wojskową pismo generała Johna Browna. Kilka miesięcy wcześniej, bo 21 VIII 1946, zaniepokojenie licznymi przypadkami śmiertelnymi wśród Niemców w Kaławsku wyraził Główny Delegat MZO. Józef Jaroszek w piśmie do wojewody dolnośląskiego pisał: *„Z przedstawionej mi przez punkt zdawczy w Kaławsku statystyki wynika, że zaszła dość znaczna liczba wypadków śmierci repatr.* [iantów] *niemieckich w Izbie Chorych Punktu Zdawczego w Kaławsku. Świadczy to źle o wykonywaniu właściwych instrukcji MZO. Proszę Ob. Wojewodę o wydanie kategorycznego zakazu dostarczania przez poszczególne powiaty i gminy chorych repatriantów do zwykłych transportów. Obecnie istnieje możliwość częstszego uruchomienia specjalnego pociągu sanitarnego i powiaty będą miały sposobność wysłania tymi transportami starców, kalek i chorych Niemców".* Czy taki pociąg uruchomiono – nie wiadomo.

Kiedy dziś pytam w Węglińcu o ewentualne pochówki Niemców z przejeżdżających tędy transportów, nikt nic nie wie, nie ma żadnej dokumentacji. W końcu trafiam do pani N., która była wówczas dziewczynką w wieku pierwszokomunijnym. Węgliniec zewsząd otoczony jest lasami, sięgającymi niemal do miasta. Pani N. pamięta, że na skraju miasta, w lesie znajdowały się uformowane mogiły bez krzyży. One, dziewczynki w komunijnych strojach, zbierały polne kwiatki i zanosiły na te groby. N. czyniła to przez kilka lat, w końcu mogiły zrównała leśna ziemia i powoli o nich zapomniano. Pani N. dowiedziała się później, że to groby osób zmarłych z transportów wysiedleńczych. Po wielu latach powracamy w tamto miejsce. W lasku, którym mieszkańcy nazywają „Małpim Gajem", na jednym z drzew tabliczka informuje o tym, że jest to teren prywatny. Niewielka ulica nazywa się teraz Wschodnia. Pani N. wskazuje miejsce, jednak po mogiłach nie ma śladu. Stąd do torów kolejowych już bardzo blisko. *„Postawiono nas daleko na ślepym torze"* – może to właśnie ta zapomniana bocznica kolejowa? Niestety, pani N. nic nie wie o jakichkolwiek ekshumacjach.

Wysiedlenia Niemców – via Kaławsk – dotyczyły nie tylko mieszkańców Dolnego Śląska, a więc regionu najbliższego. Transporty dochodziły tu także z Pomorza. 18 III 1947 r. Okólnik Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego wydany do starostów i prezydentów miast wzywał do powstrzymywania prób nielegalnych wyjazdów Niemców z Polski. Wymieniał Punkty Zbiorcze we Wrocławiu, Głupczycach [!] i Szczecinie, gdzie *„wciąż jeszcze trwa samowolny napływ repatriantów"*, a także punkty zdawcze w Kaławsku i Tuplicach. W tych ostatnich *„czyni to zamęt w planowanej repatriacji i dezorganizuje akcję repatriacji Niemców. Należy wydać powtórne zarządzenia wstrzymujące samowolny ruch ludności niemieckiej"* – nakazywał starostom Pomorski Urząd Wojewódzki. Miesiąc później, 22 IV 1947 r. Państwowy Urząd Repatriacyjny w Bydgoszczy, w swym sprawozdaniu z przebiegu akcji wysiedleńczej Niemców, także odnosił się do Kaławska: *„Obecnie trasa transportów biegnie przez Kaławsk do Wehrkirchen lub do Forstu po stronie niemieckiej. Przy każdym transporcie kolejowym winien być konwojent określonego DOKP, który będzie pilnować i reprezentować interesy PKP. Sugeruje się, aby opieka sanitarna w transporcie była w stosunku do dotychczasowej zwiększona. Zapotrzebowanie transportu w żywność wg II kategorii powinno obejmować wszystkich transportowanych i być dokonane w miejscu formowania transportu na czas podróży do Punktu Zdawczego w Kaławsku. W osobnym wagonie winna być złożona również żywność wg II kategorii dla wszystkich transportowanych na okres*

3-ch dni. Wagon po sprawdzeniu należy zaplombować. Żywność ta będzie rozdzielona między transportowanymi przez Komisję Radziecką na Punkcie Zdawczym w Kaławsku. Komisja Radziecka przejmie wagon z żywnością protokolarnie i jest za takową następnie odpowiedzialną. Każdy Niemiec ma prawo wywieźć z sobą najwyżej 500 marek, rzeczy osobiste, jak odzież, pościel, naczynia kuchenne itp. W ilościach przewidzianych na jedną osobę. W transporcie w wagonach nr 25 i nr 26 winna być umieszczona pomoc sanitarna. W wagonach tych należy również umieścić element słaby jak: starców, małe dzieci i chorych. Transport nie może przekraczać liczebnością 1500 osób".

O ile w roku 1946 wyjazdy Niemców z Dolnego Śląska organizowano w miarę sprawnie, o tyle rok 1947 był pod tym względem zdecydowanie zły. Pod koniec czerwca 1947 r. informowano nawet o *„załamaniu się akcji repatriacyjnej ludności niemieckiej oraz o złej sytuacji panującej na punktach repatriacyjnych"*. Niestety, wiele do życzenia pozostawiła sytuacja w Kaławsku. która pozwalała *„zamknąć usta najbardziej żarliwemu obrońcy naszych praw (...) zaś władze kolejowe (...) starają się najusilniej dostarczyć argumentów przedstawicielom Misji Brytyjskiej, a następnie Misji Radzieckiej, dyskredytujących współczesną Polskę. Nie ma większego obrazu nędzy i rozpaczy, jak tak zwane punkty PUR na Ziemiach Odzyskanych"* – sprawozdanie PUR w Kaławsku nie pozostawiało żadnych złudzeń.

Jacek Majdziak i Henryk Frelich działają w istniejącym od 2011 roku Stowarzyszeniu Ziemi Węglinieckiej. Zbierają różne pamiątki z dziejów miasta i regionu. Ostatnio wpadły im w ręce dokumenty po likwidowanych poniemieckich barakach kolejowych. Wśród nich było jedno zdjęcie, niezbyt wyraźne, pokazujące postacie w innych niż niemieckie mundurach. Mogą to być przedstawiciele Misji Brytyjskiej, na co wskazują wiszące u góry flagi. Także układ okien zgadza się z jednym ze stacyjnych budynków. Obaj ustalili także, że Brytyjczycy mieszkali w budynku nadleśnictwa o nazwie „Krucze Gniazdo". Potwierdza to również Eryka Szeliga. Misja Brytyjska w Węglińcu zakończyła swoją pracę we wrześniu 1947 roku. Później ich czynności przejęła Misja Radziecka, która kierowała transporty do swojej, wschodniej strefy okupacyjnej w Niemczech. Zapewne czyniła to poprzez punkt zdawczy w Tuplicach, bo o Rosjanach w Węglińcu nikt nie słyszał.

Dziękuję Jackowi Majdziakowi i Henrykowi Frelichowi ze SMZW za gościnę i udzieloną pomoc. Stowarzyszenie prosi osoby, które mogą wnieść więcej do opisywanej sprawy o kontakt (poprzez własną stronę www.stowarzyszenie-wegliniec.pl)

Przypisy:

[1] Wszystkie cytowane dokumenty pochodzą z opracowania: „Niemcy w Polsce 1945-1950. Wybór dokumentów. Tom IV Pomorze Gdańskie i Dolny Śląsk", pod red. D. Boćkowskiego, Warszawa 2001. Zachowano pisownię oryginalną.

[2] Pohl myli się. Misja brytyjska działała od lutego 1946 roku. On sam opuścił Dolny Śląsk tzw. „Hauptmann-Transportem" wraz z trumną pisarza w lipcu 1946. Więcej o tym w: J. Skowroński, „Zapomniane tajemnice Karkonoszy", Warszawa 2013.

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny, w tym najnowszej „Zapomniane tajemnice Karkonoszy".

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS Optima

Wykrywacz projektowany
bez kompromisów.
Ściśle specjalizowany
do biżuterii, monet
i innych drobnych obiektów.
Wyjątkowo szybki, głęboki,
bardzo skuteczny.

* Częstotliwość pracy 16 kHz regulowana w 5 skokach
* Automatyczne strojenie do gruntu
* Możliwość ręcznej korekty automatu
* Identyfikacja cyfrowa
* Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza
* Możliwość konfiguracji ilości tonów: 1 ton, 3 tony, 2 programy użytkownika
* Praca dynamiczna i jednoczesna
* Regulacja sygnału wiodącego
* Filtr kamieni magnetycznych

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Tunel pod Wisłą?

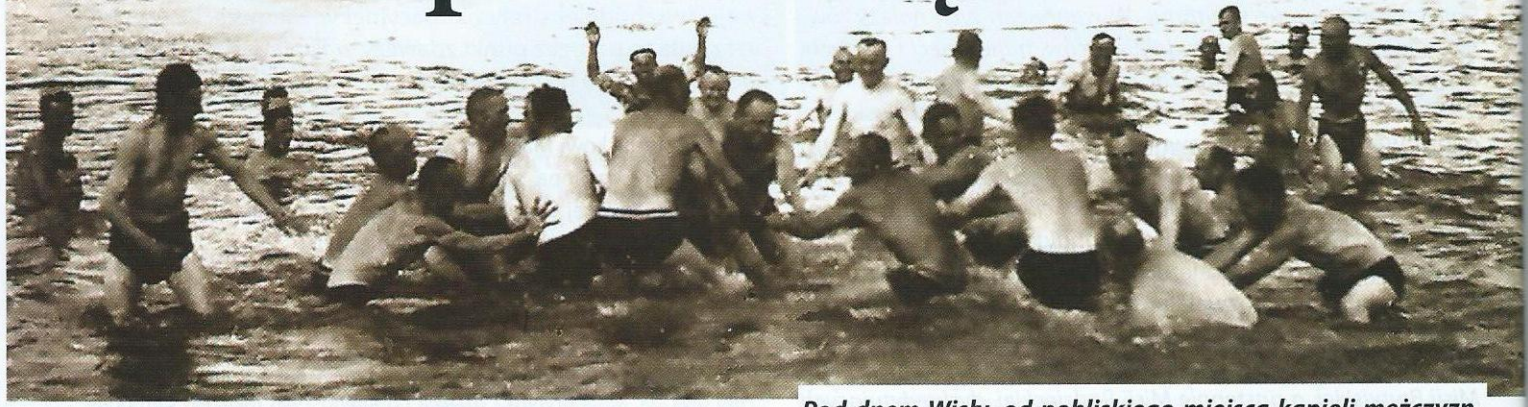

TEKST: LESZEK ADAMCZEWSKI
ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA, INTERNET

Wydawało mi się, że sprawa jest od dawna zamknięta i o rzekomym tunelu pod Wisłą w Toruniu wszyscy już zapomnieli. Myliłem się. Wystarczy „wejść" do internetu, by się przekonać, że o podziemnym przejściu między kościołem świętych Janów a Zamkiem Dybowskim dyskutuje chyba więcej osób niż wtedy, gdy 18 lat temu zorganizowano jego poszukiwania.

Kościół świętych Janów na toruńskim Starym Mieście.

Pod dnem Wisły, od pobliskiego miejsca kąpieli mężczyzn, Zamku Dybowskiego, do widocznego na drugim brzegu kościoła świętych Janów, miał biec tunel, którego szukano w 1995 roku.

To zdjęcie wykonano późną wiosną lub wczesnym latem 1940 roku w Thorn, czyli w okupowanym Toruniu, który wówczas był miastem leżącym w rejencji bydgoskiej Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Dzień musiał być ciepły, a być może nawet upalny. Na pierwszym planie widać bowiem kąpiących się w Wiśle mężczyzn (żołnierzy Wehrmachtu?), ale to, co najbardziej nas na zdjęciu interesuje, zobaczymy na drugim planie. To znana z tysięcy fotografii panorama starej części Torunia z masywną bryłą kościoła świętych Janów (obecnej katedry diecezji toruńskiej), wieżami innych świątyń i Ratusza staromiejskiego. Obok tych zabytkowych budowli widać też fragment mostu drogowego, który krótko przed I wojną światową Niemcy zbudowali jako kolejowy na kilkunastokilometrowej linii kolejowej w okolicach Marienwerder (Kwidzyna). Na mocy traktatu wersalskiego Kwidzyn pozostał w Niemczech, a niedalekie Smętowo, do którego prowadziła owa linia kolejowa, znalazło się w odrodzonej Polsce. Niemal nowiutki most, który w całości leżał na terytorium Rzeczypospolitej, pod koniec lat 20. XX wieku rozebrano i przewieziono do Torunia, gdzie składając go, jednocześnie przystosowano do ruchu drogowego. Ta nowoczesna na tamte czasy przeprawa, która doprowadziła do Dworca Głównego PKP linię tramwajową, podczas uroczystego otwarcia w 1934 roku otrzymała imię Józefa Piłsudskiego. Marszałek nie był w endeckim Toruniu lubiany, ale władze państwowe uznały, że skoro w większości sfinansowały tę inwestycję, to mają prawo nadać mostu imię. I tak też się stało.

Most im. Józefa Piłsudskiego runął do Wisły 6 września 1939 roku, wysadzony w powietrze przez wycofujące się z miasta oddziały Wojska Polskiego. Wkrótce potem niemieckie władze Thorn rozpoczęły rozbiórkę zniszczonych przęseł mostu. W ruch poszły – co widać na zdjęciach niemieckiej kroniki filmowej – ładunki wybuchowe, palniki acetylenowe,

dźwigi i kilofy. Gdy jakiś fotograf-amator w połowie 1940 roku w rejonie ruin Zamku Dybowskiego utrwalał na kliszy kąpiących się w Wiśle mężczyzn, na jej prawym brzegu pozostał tylko początkowy, niezniszczony fragment mostu. Tym samym jednak otwarła się perspektywa na Wisłę od Zamku Dybowskiego aż do kościoła świętych Janów. Te budowle pod dnem Wisły miał w średniowieczu połączyć tunel, którego szukano w 1995 roku.

Za dużo cegieł...

Na akcję poszukiwawczą w okolicach ruin Zamku Dybowskiego, zaplanowaną na pierwszą sobotę lipca 1995 roku, zaprosił mnie Włodzimierz Antkowiak, toruński literat i eksplorator, z którym wówczas współpracowałem. Autor „Nieodkrytych skarbów" i przewodniczący Międzynarodowej Agencji Poszukiwawczej był w środowisku poszukiwaczy postacią znaną, chociaż kontrowersyjną. Z prowadzonych w Toruniu poszukiwań tunelu szczęśliwie pozostały mi – oprócz wspomnień – notatki, zdjęcia na celuloidowym filmie i napisany „na gorąco" artykuł, który „Głos Wielkopolski" zamieścił 17 lipca 1995 roku. Pamiętam, że zaraz po przyjeździe do Torunia uciąłem sobie z Antkowiakiem krótką rozmowę. Przewodniczący MAP twierdził, że gdy w pierwszej połowie XV wieku rozpoczęto rozbudowę postawionego 100 lat wcześniej kościoła świętych Janów, zamówiono znacznie więcej cegieł niż potrzeba było na wybudowanie 40-metrowej wieży, a następnie podwyższenie o ponad 27 metrów korpusu głównego świątyni oraz dobudowanie dwóch krucht: północnej i południowej. – *Na co wykorzystano cegły, które nie były potrzebne do rozbudowy kościoła świętych Janów, jeśli padające w starych dokumentach liczby są prawdziwe?* – zastanawiał się Antkowiak. – *Legenda twierdzi, że na budowę tunelu, który pod dnem Wisły połączył kościół z budowanym w tym samym czasie Zamkiem Dybowskim. Osobiście nie wierzę w istnienie tego tunelu, ale wielu Torunian jest święcie przekonanych, że on nadal tkwi w ziemi. Nic nie przemawia za tunelem oprócz warunków geologicznych, które rzeczywiście pozwalały na jego budowę. Jednak koszt takiego przedsięwzięcia byłby niewspółmiernie wysoki w stosunku do ewentualnych korzyści. A w średniowieczu umiano już liczyć...* W starych notatkach znalazłem też wypowiedź Ryszarda Grzywińskiego z 1995 roku, który wraz z Jerzym Kalinowskim zainicjował wówczas poszukiwania podziemnego tunelu: *„Uważam, że warto szukać. W przypadku potwierdzenia tej hipotezy, byłaby to sensacja naukowa na skalę światową".*

Zamek Dybowski wybudowano na lewym brzegu Wisły w szczytowym okresie rozbudowy kościoła świętych Janów, a więc w pierwszej połowie XV stulecia. O niczym to jeszcze nie świadczy, podobnie zresztą, jak informacja pochodząca z okresu bezpośrednio poprzedzającego montaż toruńskiego mostu drogowego, czyli z początku lat 30. XX wieku. W trakcie budowy jednego z filarów przyszłego mostu skruszono ponoć fragment muru gotyckiego, znajdującego się pod dnem Wisły. To jest dowód! – twierdzą zwolennicy istnienia podziemnego połączenia tej ogromnej świątyni z zamkiem. Tunel ów musiałby rzeczywiście przechodzić w miejscu jednego z kilku filarów mostu, ale co skruszyli robotnicy? Wtedy tej sprawy nikt nie wyjaśnił. Goniły terminy. Zdaniem entuzjastów teorii o istnieniu tunelu dowodem są również tajemnicze haki zawieszone na sklepieniu kościoła świętych Janów, tuż obok kościelnej wieży. Haki te miały posłużyć do opróżniania budowanego tunelu z ziemi oraz do opuszczania materiałów budowlanych.

Georadar w akcji

Licznie zebrani dziennikarze i fotoreporterzy oraz ekipa telewizji publicznej z uwagą obserwowali dwóch mężczyzn w średnim wieku (jak się później dowiedziałem, działacza nauczycielskich związków zawodowych i radnego Torunia), cią-

Trzy kadry z hitlerowskiej kroniki przedstawiające rozbiórkę mostu w Toruniu wczesną wiosną 1940 roku.

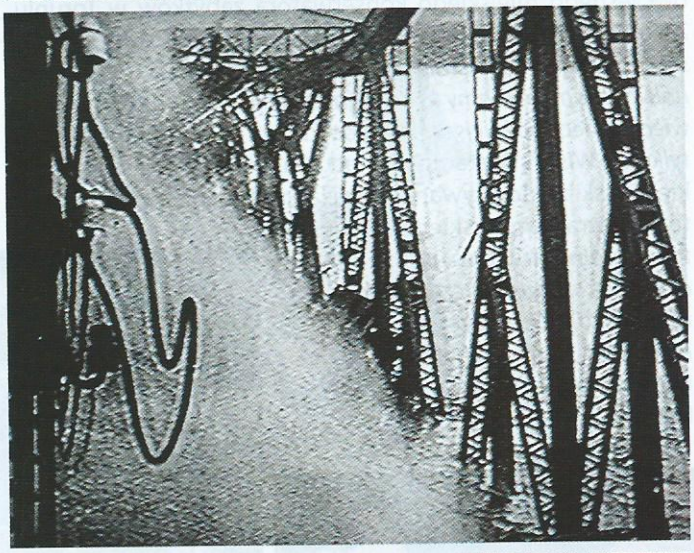

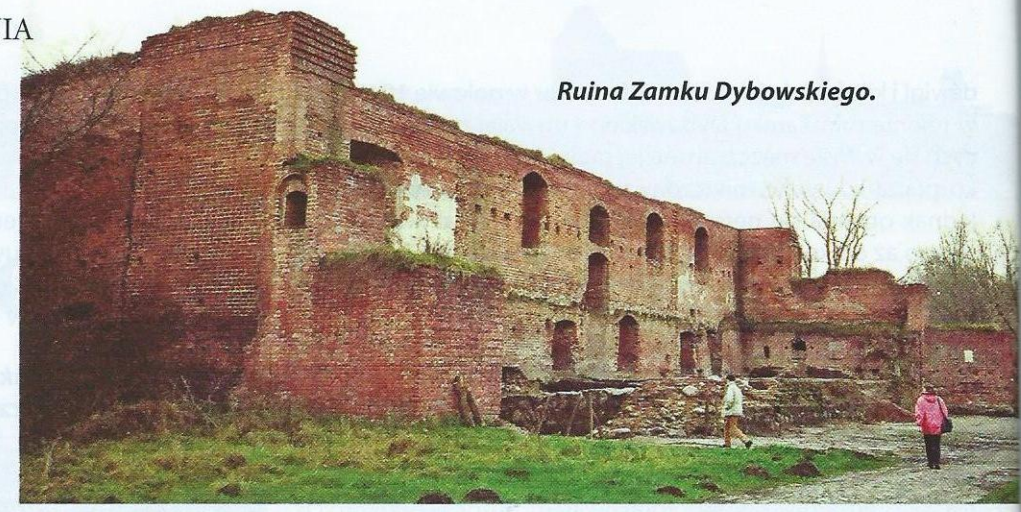

Ruina Zamku Dybowskiego.

gnących na sznurku coś w rodzaju… sanek. Co chwilę przerywali pracę, przestawiając „sanki" w inne miejsce. Raz między zachowane mury zamku a brukowaną drogę, a potem z drugiej strony drogi w kierunku pobliskiej Wisły. Opis tego, co w tamtą pierwszą sobotę lipca 1995 roku działo się w pobliżu Zamku Dybowskiego, brzmi dzisiaj nieco naiwnie, ale wówczas, prawie 18 lat temu, niemal wszyscy obserwujący poszukiwania podziemnego tunelu po raz pierwszy widzieli georadar w akcji. Tym dość prymitywnym z dzisiejszego punktu widzenia radarem interferencyjnym SIR-3 dysponował (ponoć jako jedyny w kraju) toruński Instytut Geografii Polskiej Akademii Nauk. Zanim przywieziono go nad Wisłę, Ryszard Grzywiński i Jerzy Kalinowski dokonali czternastu próbnych odwiertów w miejscu hipotetycznego przebiegu tunelu. Prawie za każdym razem świder zatrzymały cegły znajdujące się na tym samym poziomie. *„To na pewno nie były pojedyncze cegły, tylko jakaś konstrukcja. Może stara ceglana droga? Może fragmenty zasypanych murów zamku? A może sklepienie tunelu?"* – mówił jeden z poszukiwaczy tunelu którego wypowiedź opublikowałem we wspomnianym artykule w „Głosie Wielkopolskim". Tam też zamieściłem wypowiedź ówczesnego miejskiego konserwatora zabytków w Toruniu, Zbigniewa Nawrockiego: *„Oczywiście, nie wykluczam, że przejście pod Wisłą może istnieć i dlatego warto szukać. Osobiście jednak uważam, że mamy tu do czynienia nie z konstrukcją średniowieczną, lecz późniejszą, która od Zamku Dybowskiego wiedzie tylko do Wisły"*. W starych notatkach znalazłem jeszcze krótkie zapiski z odczytywania wskazań radaru przez jego operatora, Piotra Lamparskiego: *„Nie jest to naturalna struktura gruntu. Tu widzę jakąś szczytową część. Wygląda to na uskok. W każdym razie coś istnieje pod ziemią. Chyba sklepiona warstwa cegieł. Może to być tunel!"*. Nie był.

Radar interferencyjny SIR-3 w akcji.

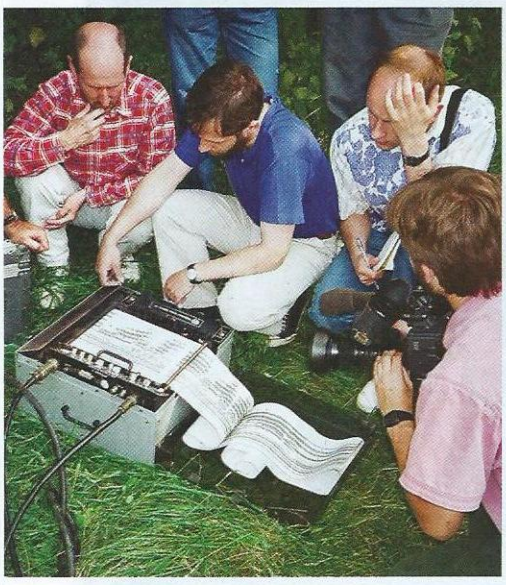

Piotr Lamparski odczytuje wskazania georadaru. Obok niego (w czerwonej koszuli w kratkę) Włodzimierz Antkowiak.

Graniczna rzeka

Było to ulubione miejsce toruńskich zakochanych, którzy w cieniu średniowiecznych murów utwierdzali swe uczucia. Wpadali tu też pijaczkowie, by w spokoju „obalić" pół litra lub butelkę najtańszego wina. Potem okazało się, że grube mury tej budowli znakomicie nadają się do nauki wspinaczki. W Zamku Dybowskim szukano również skarbów, a w końcu tunelu, czego byłem świadkiem wczesnym latem 1995 roku. Ponad trzy lata później, w listopadzie 1998 roku, na kilka dni przyjechałem do Torunia, znajdując wtedy czas na długie rozmowy z Włodzimierzem Antkowiakiem, a nawet na wspólny wyjazd na lewy brzeg Wisły i pobyt w ruinach zamku. Rozmawialiśmy i o tunelu. Na jego ślad – usłyszałem – nie natrafiono ani w 1995 roku, ani później. I Włodek wyjaśnił mi, dlaczego. – *Gdy przyjrzymy się historii Zamku Dybowskiego* – mówił – *znajdziemy odpowiedź, dlaczego nie mógł go łączyć tunel z kościołem świętych Janów. Bo kościół do 1454 roku leżał na terenie krzyżackiego Torunia, a Zamek Dybowski wybudowano na ziemi, którą w 1422 roku Krzyżacy zmuszeni byli oddać Polsce. Polacy na odzyskanym terenie rozpoczęli budowę zamku – rezydencji królewskiego burgrabiego. Obok zamku powstała osada kupiecka, zwana Nieszawą lub Nową Nieszawą, która okazała się groźną konkurentką dla handlu toruńskiego. Na tyle groźną, że w 1433 roku doszło do napadu mieszczan toruńskich na Nową Nieszawę, którą obrabowali i spalili, a zamek obsadziła załoga krzyżacka. Na krótko zresztą, bo dwa lata później sytuacja wróciła do stanu sprzed roku 1433. Wisła znów stała się tu rzeką graniczną*. Tyle Antkowiak. Można się jednak zastanawiać, czy w tym krótkim, bo zaledwie dwuletnim okresie Krzyżacy połączyli – pod dnem Wisły – swą część miasta z zajętą Nową Nieszawą, budując ponad kilometrowej długości tunel. A może rozpoczęto tę ogromną, jak na owe czasy, inwestycję? Może ją tylko zamierzano wykonać? Wszystko wskazuje, że na te kwestie można odpowiedzieć jednym słowem – nie. Nie da się też jednoznacznie odpowiedzieć na py-

tanie, kiedy zrodziła się legenda o tunelu? Niektórzy twierdzą, że podczas wojen szwedzkich w połowie XVII wieku, gdy Zamek Dybowski został zniszczony. I w stanie ruiny przetrwał do dzisiaj.

Opis współczesnych poszukiwań tunelu rozpocząłem od wojennej historii toruńskiego mostu drogowego, który w chwili wejścia Niemców do miasta stał w sporej części zniszczony. Dla hitlerowskich władz Thorn i Wehrmachtu priorytetem była odbudowa również wysadzonego w powietrze przez Polaków mostu kolejowego, a w drugiej połowie 1940 roku przyszła kolej na most drogowy. Jeśli przyjmiemy, że opisana na wstępie fotografia wykonana została w czerwcu 1940 roku, to odbudowa ta przebiegała w iście ekspresowym tempie, bo już na początku października tegoż roku namiestnik Rzeszy w okręgu Gdańsk-Prusy Zachodniej, Albert Forster oraz generalny inspektor rozbudowy Berlina i innych miast niemieckich, architekt Albert Speer brali udział w otwarciu drogowej przeprawy przez Wisłę. Odbudowany most otrzymał imię Adolfa Hitlera. Wprawdzie niektórzy świadkowie twierdzą, że była to konstrukcja dość prymitywna, częściowo drewniana, to jednak na wykonanym w Thorn podczas wojny zdjęciu, przedstawiającym młodą kobietę w stroju kąpielowym na brzegu Wisły, na dalszym planie widać fragment odbudowanego mostu. Z tej perspektywy prezentuje się on dość okazale. Nie trzeba chyba dodawać, że podczas wojennej odbudowy mostu drogowego, podobnie zresztą jak podczas powojennej (most Adolfa Hitlera wysadzili w powietrze uciekający z Thorn Niemcy w końcu stycznia 1945 roku), nie natrafiono na jakiekolwiek ślady tunelu.

Podczas akcji poszukiwawczej w 1995 roku georadar ciągnęli prominentni Torunianie.

Leszek Adamczewski

Dziennikarz, pisarz, badacz przeszłości. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor wielu niezwykle popularnych książek o tematyce eksploracyjnej i historycznej.

REKLAMA

Izraelski trop łódzkiego skarbu

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
DOKUMENTY: IPN

Ten skarb padł ofiarą wojny. Dwukrotnie. Pierwszy raz pod koniec 1939 roku, kiedy został ukryty przez bogatą rodzinę żydowskich kupców w jednej z łódzkich kamienic. Drugi raz w czerwcu 1967 roku podczas konfliktu izraelsko-arabskiego, gdy prawowity właściciel próbował go odzyskać. Oto niezwykła historia, jak globalna sytuacja polityczna miała wpływ na lokalnie prowadzone poszukiwania.

Do tej pory prezentowaliśmy przykłady inicjatyw, głównie obywateli polskich i niemieckich, proponujących władzom PRL ujawnienie ukrytych podczas II wojny światowej przedmiotów o znacznej wartości materialnej. Tym razem przedstawimy historię obywatela izraelskiego, który w drugiej połowie lat 60. wskazał miejsce ukrycia rodzinnego majątku w jednej z łódzkich kamienic. W przeciwieństwie do dotychczas opisanych spraw, praktycznie każdorazowo zakończonych wynikiem negatywnym, ta właściwie do dzisiaj nie doczekała się finału. Mimo iż uznana została za wiarygodną, liczne przeszkody natury formalnej uniemożliwiły przeprowadzenie poszukiwań. W tym wypadku jednak głównym powodem, który ostatecznie wpłynął na jej zaniechanie, było zerwanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Izraelem a Polską, w wyniku wojny sześciodniowej 1967 roku. Dlaczego miało to aż tak wielkie znaczenie? Przekonajmy się sami.

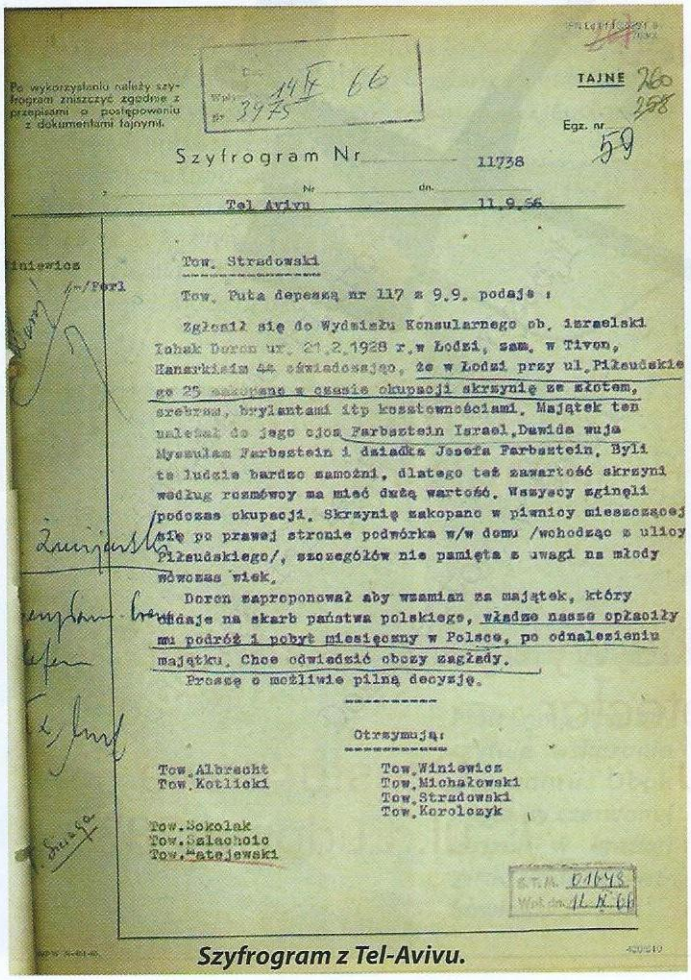

Szyfrogram Nr 11738

Tel Aviv 11.9.56

TAJNE

Tow. Stradowski

Tow. Puta depeszą nr 117 z 9.9. podaje :

Zgłosił się do Wydziału Konsularnego ob. izraelski Icchak Doron ur. 21.2.1928 r.w Łodzi, zam. w Tivon, Hanarkisim 44 oświadczając, że w Łodzi przy ul. Piłsudskiego 25 zakopane w czasie okupacji skrzynię ze złotem, srebrem, brylantami itp kosztownościami. Majątek ten należał do jego ojca Farbsztein Israel,Dawida wuja Myszulam Farbsztein i dziadka Josefa Farbsztein. Byli to ludzie bardzo zamożni, dlatego też zawartość skrzyni według rozmówcy ma mieć dużą wartość. Wszyscy zginęli podczas okupacji. Skrzynię zakopano w piwnicy mieszczącej się po prawej stronie podwórka w/w domu /wchodząc z ulicy Piłsudskiego/, szczegółów nie pamięta z uwagi na młody wówczas wiek.

Doron zaproponował aby wzamian za majątek, który oddaje na skarb państwa polskiego, władze nasze opłaciły mu podróż i pobyt miesięczny w Polsce, po odnalezieniu majątku. Chce odwiedzić obozy zagłady.

Proszę o możliwie pilną decyzję.

Otrzymują:

Tow.Albrecht
Tow.Kotlicki
Tow.Winiewicz
Tow.Michałowski
Tow.Stradowski
Tow.Koroleczyk
Tow.Sokolak
Tow.Salachoic
Tow.Matejewski

Szyfrogram z Tel-Avivu.

Izrael, Tel-Aviv. 9 września 1966 roku

Do budynku ambasady PRL w Tel-Avivie przy Allenby Street 95 wszedł urodzony w Łodzi mieszkaniec Kirjatu Tivon Icchak Doron. Był jedynym ocalałym z Holocaustu członkiem kupieckiej rodziny łódzkich Farbsztainów, posiadającej niegdyś w mieście kilka kamienic i spory majątek. Często wracał pamięcią do chwil dzieciństwa, uśmiechając się odruchowo na samo ich wspomnienie. Jednak trwało to zaledwie chwilę, gdyż wraz z nimi niemal natychmiast pojawiała się zbyt żywa wizja koszmaru, jakiego doświadczył w czasie wojny on, jak i jego najbliżsi. Miał 38 lat, od dawna mieszkał w Izraelu, lecz nie wiodło mu się najlepiej. Starczało zaledwie na skromne życie. Zachował jednak w pamięci żywy obraz swojego ojca, dziadka i wuja, którzy któregoś ponurego wieczora zimą 1939 roku zapakowali najcenniejszy dobytek do skrzyni, którą ukryli w piwnicy należącej do nich kamienicy. Zdawał sobie sprawę, że pozostawiony w dalekiej Polsce majątek został bezpowrotnie utracony. Wiedział też, że nie ma szans, by samodzielnie dotrzeć do skrytki. Liczył jednak na zainteresowanie skarbem władz PRL, oczekując w zamian jedynie opłacenia podróży i miesięcznego pobytu w Polsce – jego marzenia o powrocie do kraju przodków i miejsc ich zagłady, mogłyby się spełnić. W ambasadzie wysłuchano go uważnie, dyplomata, z którym rozmawiał, po chwili zastanowienia się rzekł: – *Panie Doron, muszę w tej sprawie skontaktować się z przełożonymi i skonsultować, jak moglibyśmy ją załatwić. Proszę się uzbroić w cierpliwość i czekać na sygnał. Niezależnie od decyzji odezwiemy się wkrótce*. Icchak Doron podziękował za spotkanie. Podróż powrotna do oddalonego od stolicy o 100 km Kirjatu Tivon minęła mu wyjątkowo szybko.

Szyfrogram

Dwa dni później z polskiej ambasady w Tel-Avivie został wysłany szyfrogram następującej treści (pisownia oryginalna): *„Zgłosił się do Wydziału Konsularnego ob. Izraelski Icchak Doron (…) oświadczając, że w Łodzi przy ul Piłsudskiego 25 zakopano w czasie okupacji skrzynie ze złotem, srebrem, brylantami itp. kosztownościami. Majątek ten należał do jego ojca Farbsztain Israel, Dawida, wuja Myszulam Farbsztain i dziadka Josefa Farbsztain. Byli to ludzie bardzo zamożni, dlatego też zawartość skrzyni według rozmówcy ma mieć dużą wartość. Wszyscy zginęli podczas okupacji. Skrzynię zakopano w piwnicy mieszczącej się po prawej stronie podwórka według w/w /domu wchodząc z ulicy Piłsudskiego/, szczegółów nie pamięta z uwagi na młody wówczas wiek.*

Doron zaproponował, aby w zamian za majątek, który oddaje na skarb państwa polskiego, władze nasze opłaciły mu po-

dróż i pobyt miesięczny w Polsce, po odnalezieniu majątku. Chce odwiedzić obozy zagłady. Proszę o możliwie pilną decyzję". Informacje zawarte w szyfrogramie z Izraela, po kilku dniach, za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zostały przekierowane do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Po ich przeanalizowaniu kierownictwo resortu bezpieczeństwa uznało, że zgłoszenie jest warte zweryfikowania i podjęcia wstępnych działań przez łódzką Służbę Bezpieczeństwa. Ich nadzorem i koordynacją *„celem ewent. odszukania wymienionych kosztowności"* miał zająć się oddelegowany do tego zadania pracownik warszawskiej centrali mjr Czesław Banaś (notabene dwa lata później zaangażowany już jako ppłk w sprawę Bursztynowej Komnaty). Wicedyrektor Departamentu II MSW płk H. Żmijewski udzielił mu wszelkich pełnomocnictw oraz zwrócił się w piśmie do z-cy komendanta ds. SB Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej m. Łodzi z prośbą o *„(...) udzielenie mjr. Banasiowi pomocy w zorganizowaniu tych poszukiwań oraz przydzielenie ekipy zaopatrzonej w odpowiedni sprzęt".*

Łódzka kamienica

Doraźnie powołany zespół rozpoczął wkrótce prace. Podstawowym celem było potwierdzenie informacji przedstawionych przez Icchaka Dorona. Podjęte czynności rozpoczęły się więc od rekonesansu kamienicy. 15 września 1966 r. na miejsce udał się st. oficer operacyjny łódzkiej SB kpt. Z. Zdanowicz, który tak oto opisał spotkanie i rozmowę z jedną z lokatorek (pisownia oryginalna): *„W rozmowie z ob. Wolską, zam. ul Wschodnia nr 25, dowiedziałem się, iż mieszka ona w tym domu od 1940 r. i jest najstarszą mieszkanką. W/w podała, że gdy się wprowadziła do tego domu, nikt tam nie mieszkał oprócz dozorcy Borkowskiego, gdyż Niemcy wysiedlili wszystkich zamieszkałych tam Żydów. Nadmieniła, że przed wojną w domu tym mieszkali sami Żydzi. Borkowski miał mieszkać w tym domu do wyzwolenia, gdzie obecnie mieszka nie wie. Sprawdziłem w książkach meldunkowych tej posesji, lecz osoba o nazwisku Borkowski nie figuruje".* Udało mu się za to, na podstawie tych samych źródeł, tyle że z okresu międzywojennego, ustalić lokatorów domu przy ul. Piłsudskiego 25. Dzięki temu wszystkie podane przez Icchaka Dorona szczegóły dotyczące jego najbliższych zweryfikowane zostały pozytywnie. Co więcej, można je było znacząco uzupełnić o wszystkich członków jego rodziny, którzy wraz z nim zamieszkiwali w kamienicy. W świetle ksiąg meldunkowych Icchak Doron (Farbsztain – nazwisko zmienił po przybyciu do Izraela) zamieszkiwał przy ul Piłsudskiego 25 w mieszkaniu nr 3 wraz z rodzicami, starszym bratem i młodszą siostrą. Pod nr 7 mieszkał jego dziadek Josef, zaś w sąsiedniej kamienicy, pod nr 34, mieszkanie zajmował wuj Szulim z rodziną. Zapis z ksiąg meldunkowych jest w szerszym kontekście niezwykle wymowny – są w nim imiona i daty urodzenia 15 członków rodziny Farbsztainów – dorosłych i dzieci. Wszyscy zostali wymeldowani w styczniu i lutym 1940 roku. Wojnę i Zagładę przeżyć miał jedynie Icchak. W toku dalszych czynności mjr Banaś i kpt. Zdanowicz mieli zamiar dokonać lustracji piwnic. Lecz jedyne co udało im się potwierdzić to fakt, zgodny z oświadczeniem Icchaka Dorona, że wejście do nich rzeczywiście znajdowało się po prawej stronie podwórka. Wkrótce jednak sprawa zaczęła się poważnie komplikować.

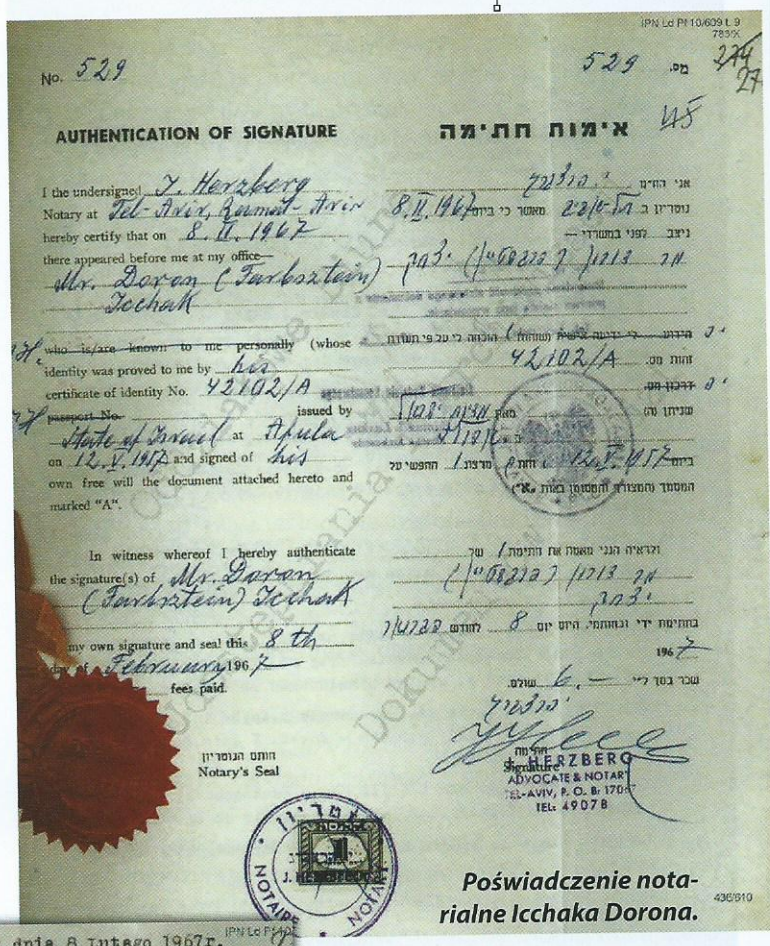

No. 529

AUTHENTICATION OF SIGNATURE

I the undersigned Z. Herzberg
Notary at Tel-Aviv, Ramat-Aviv
hereby certify that on 8.II.1967
there appeared before me at my office
Mr. Doron (Farbsztein) Icchak
who is/are known to me personally (whose identity was proved to me by his certificate of identity No. 42102/A passport No. issued by State of Israel at Ofula on 12.V.1957 and signed of his own free will the document attached hereto and marked "A".

In witness whereof I hereby authenticate the signature(s) of Mr. Doron (Farbsztein) Icchak
my own signature and seal this 8th day of February 196 7
fees paid.

Notary's Seal

Signature
Z. HERZBERG
ADVOCATE & NOTARY
TEL-AVIV, P. O. B. 1700
TEL: 49078

Poświadczenie notarialne Icchaka Dorona.

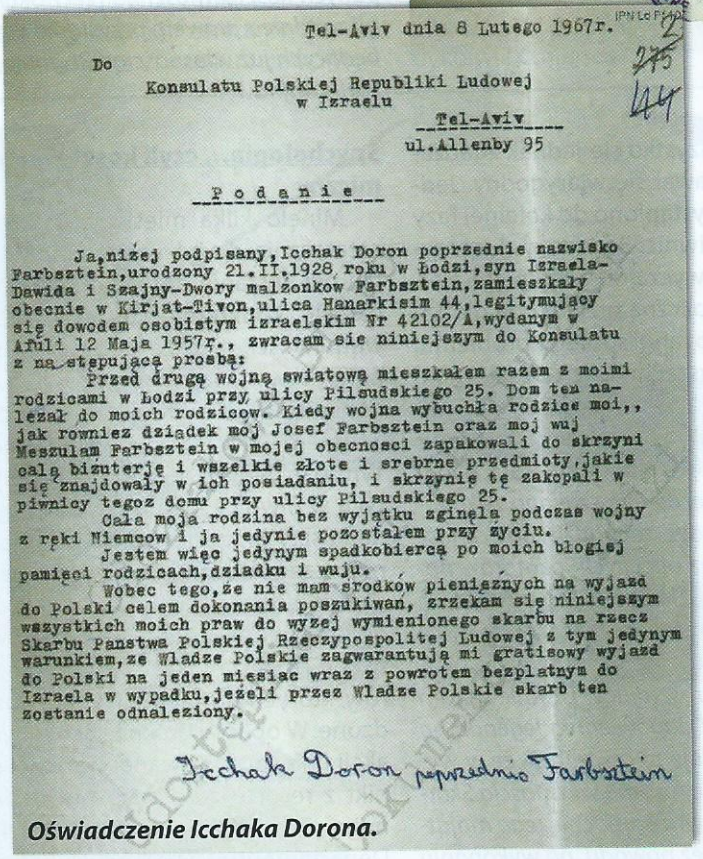

Tel-Aviv dnia 8 Lutego 1967r.

Do
Konsulatu Polskiej Republiki Ludowej
w Izraelu
Tel-Aviv
ul.Allenby 95

P o d a n i e

Ja,niżej podpisany,Icchak Doron poprzednie nazwisko Farbsztein,urodzony 21.II.1928 roku w Łodzi,syn Izraela-Dawida i Szajny-Dwory małżonkow Farbsztein,zamieszkały obecnie w Kirjat-Tivon,ulica Hanarkisim 44,legitymujący się dowodem osobistym izraelskim Nr 42102/A,wydanym w Afuli 12 Maja 1957r., zwracam sie niniejszym do Konsulatu z następującą prosbą:

Przed drugą wojną swiatową mieszkałem razem z moimi rodzicami w Łodzi przy ulicy Pilsudskiego 25. Dom ten należał do moich rodziców. Kiedy wojna wybuchła rodzice moi,, jak rowniez dziadek moj Josef Farbsztein oraz moj wuj Meszulam Farbsztein w mojej obecnosci zapakowali do skrzyni całą biżuterję i wszelkie złote i srebrne przedmioty,jakie się znajdowały w ich posiadaniu, i skrzynię tę zakopali w piwnicy tegoz domu przy ulicy Pilsudskiego 25.

Cała moja rodzina bez wyjątku zginęła podczas wojny z ręki Niemcow i ja jedynie pozostałem przy życiu.

Jestem więc jedynym spadkobiercą po moich błogiej pamięci rodzicach,dziadku i wuju.

Wobec tego,że nie mam środków pieniężnych na wyjazd do Polski celem dokonania poszukiwań, zrzekam się niniejszym wszystkich moich praw do wyżej wymienionego skarbu na rzecz Skarbu Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z tym jedynym warunkiem,ze Władze Polskie zagwarantują mi gratisowy wyjazd do Polski na jeden miesiąc wraz z powrotem bezpłatnym do Izraela w wypadku,jeżeli przez Władze Polskie skarb ten zostanie odnaleziony.

Icchak Doron poprzednio Farbsztein

Oświadczenie Icchaka Dorona.

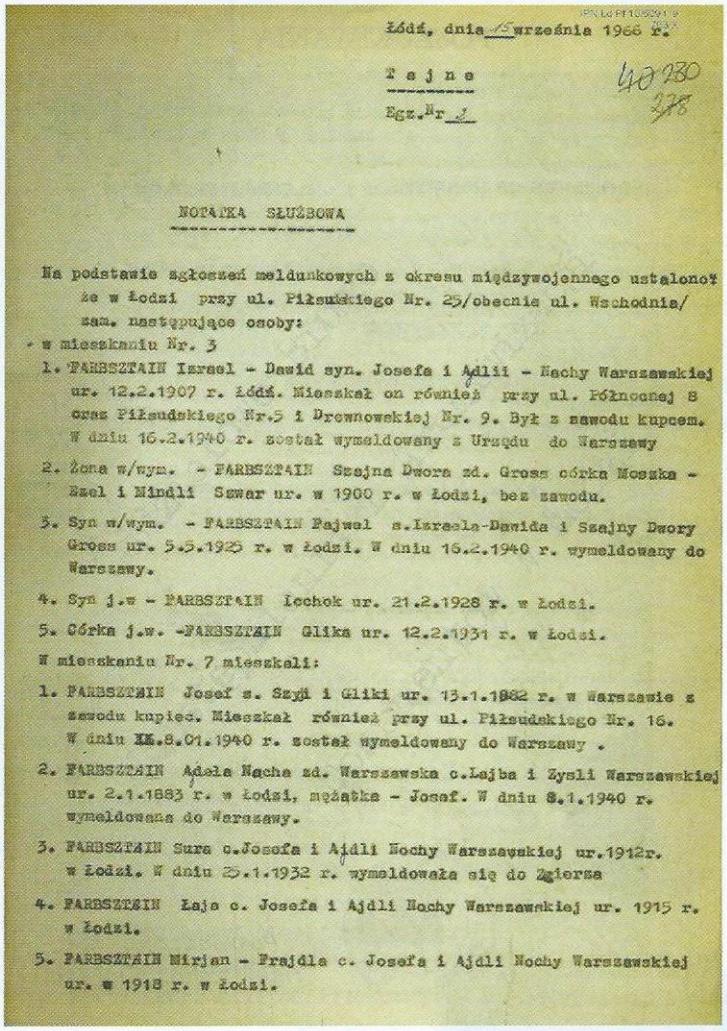

Łódź, dnia 19 września 1966 r.

Tajne

Egz. Nr 1

40230
378

NOTATKA SŁUŻBOWA

Na podstawie zgłoszeń meldunkowych z okresu międzywojennego ustalono, że w Łodzi przy ul. Piłsudskiego Nr. 25/obecnie ul. Wschodnia/ zam. następujące osoby:

- w mieszkaniu Nr. 3

1. FARBSZTAIN Izrael - Dawid syn. Josefa i Ajdli - Nachy Warszawskiej ur. 12.2.1907 r. Łódź. Mieszkał on również przy ul. Północnej 8 oraz Piłsudskiego Nr.5 i Drewnowskiej Nr. 9. Był z zawodu kupcem. W dniu 16.2.1940 r. został wymeldowany z Urzędu do Warszawy

2. Żona w/wym. - FARBSZTAIN Szajna Dwora zd. Gross córka Moszka - Hzel i Mindli Szwar ur. w 1900 r. w Łodzi, bez zawodu.

3. Syn w/wym. - FARBSZTAIN Fajwel s.Izreela-Dawida i Szajny Dwory Gross ur. 5.3.1925 r. w Łodzi. W dniu 16.2.1940 r. wymeldowany do Warszawy.

4. Syn j.w - FARBSZTAIN Icchok ur. 21.2.1928 r. w Łodzi.

5. Córka j.w. -FARBSZTAIN Glika ur. 12.2.1931 r. w Łodzi.

W mieszkaniu Nr. 7 mieszkali:

1. FARBSZTAIN Josef s. Szyi i Gliki ur. 13.1.1882 r. w Warszawie z zawodu kupiec. Mieszkał również przy ul. Piłsudskiego Nr. 16. W dniu XX.8.01.1940 r. został wymeldowany do Warszawy .

2. FARBSZTAIN Adela Nacha zd. Warszawska c.Lajba i Zysli Warszawskiej ur. 2.1.1883 r. w Łodzi, mężatka - Josef. W dniu 8.1.1940 r. wymeldowana do Warszawy.

3. FARBSZTAIN Sura c.Josefa i Ajdli Nochy Warszawskiej ur.1912r. w Łodzi. W dniu 25.1.1932 r. wymeldowała się do Zgierza

4. FARBSZTAIN Łaja c. Josefa i Ajdli Nochy Warszawskiej ur. 1915 r. w Łodzi.

5. FARBSZTAIN Mirjan - Frajdla c. Josefa i Ajdli Nochy Warszawskiej ur. w 1918 r. w Łodzi.

Pierwsza strona notatki służbowej z wyciągiem z księgi meldunkowej członków rodziny Farbsztainów zamieszkującej kamienicę przy ul. Piłsudskiego 25.

Druga faza

Jak do tej pory teoretycznie wszystko się jednak zgadzało. Trop izraelskiego świadka wydawał się wiarygodny. Jednak problemy pojawiły się, gdy przystąpiono do kolejnej fazy – przygotowań do przeszukania piwnic. Będące w dyspozycji lokatorów pomieszczenia były zwyczajnie zamknięte. Coś, co wydawało się dotychczas symboliczną przeszkodą dla SB, w omawianym przypadku urosło do rangi sporego problemu. Po raz kolejny też okazuje się, że wszechwładza bezpieki nie była aż tak nieograniczona, jak się zwykło wydawać. Najwyraźniej i w tym wypadku SB musiało przestrzegać procedur formalnych i to dość ściśle. Dlaczego? Raport majora Banasia wyjaśnia to krok po kroku: *„Obecnie nie szukano zakopanych kosztowności Farbsztainów, gdyż zachodzi konieczność wchodzenia do piwnic zajętych przez obecnych lokatorów posesji domu nr 25 przy ul. Wschodniej, dawniej Piłsudskiego, na co musi być nakaz rewizji wydany przez Prokuratora, który nie może go znów wydać z powodu braku podstaw prawnych. Gdyby była pewność, że kosztowności Farbsztajnów istotnie są tam zakopane, można by ich szukać pod odpowiednią legendą na mocy nakazu Prokuratora, lecz nie daje to gwarancji, że w wypadku znalezienia, kosztowności te pozostaną własnością Skarbu Państwa, gdyż Doron nie zrzekł się prawomocnie tego majątku na rzecz Skarbu Państwa. Z tego też powodu, po wykopaniu kosztowności, Doron może wnieść roszczenie do sądu o zwrot odkopanych kosztowności, które będziemy mu musieli zwrócić jako pełnoprawnemu spadkobiercy. Ponadto istnieje obawa, że o ile żyje ktoś z rodziny Farbsztainów poza Doronem, może dochodzić praw spadkowych – należnej mu części, niezależnie od zrzeczenia się majątku na rzecz Skarbu Państwa przez Dorona, będziemy musieli wydać odpowiednią część tych kosztowności”.* Postawa łódzkiej prokuratury skutecznie więc studziła zapał poszukiwań, podważając również ekonomiczną sensowność przedsięwzięcia, bez zabezpieczenia się od strony formalno-prawnej. Pomijając już sam fakt, że zasadnicza część akcji mogła pociągnąć za sobą spore koszty, bez żadnych gwarancji ich zwrotu. Tym bardziej, że w grę mogła wchodzić również ewentualna rekompensata za poczynione podczas poszukiwań szkody. *„Wg danych Komendy MO miasta Łodzi i Prokuratury, kopanie w zagospodarowanych piwnicach przez lokatorów, np. jak rozbijanie betonowych posadzek oraz murów może być przeprowadzone pod fachowym dozorem w celu uniknięcia zawalenia się stropów lub tp.”.* Tym samym pod koniec września 1966 roku sprawa utknęła w martwym punkcie. Chcąc ruszyć ją dalej, należało uzyskać od Icchaka Dorona wymagane przez łódzką prokuraturę poświadczenia notarialne, które zabezpieczałoby prawnie całość przedsięwzięcia. Według jej wytycznych, obywatel Izraela powinien prawomocnie zrzec się praw spadkowych do przynależnej mu części majątku, a także potwierdzić, że jest jedynym jego żyjącym spadkobiercą. *„Po uzyskaniu od Dorona zrzeczenia się zakopanych kosztowności na rzecz Skarbu Państwa, będziemy mogli zgodnie z prawem przystąpić do szukania tych kosztowności będących już własnością PRL, a nie Dorona lub kogoś z rodziny Farbsztajnów”.*

Spychologia... czyli koszty poszukiwań i czynnik ekonomiczny

Minęło kilka miesięcy. 8 lutego 1967 r. Icchak Doron ostatecznie złożył wymagane oświadczenia, jednak wciąż nie był w stanie doprecyzować miejsca ukrycia skrzyni, ani określić konkretnie co zawierała. Wzbudziło to oczywiste wątpliwości, a także podważyło sensowność kontynuowania sprawy. Planowane poszukiwania, po przeanalizowaniu wszystkich czynników i okoliczności sprawy, stawały się z czasem dla kierownictwa MSW coraz bardziej niewygodne. Tym bardziej, że niezwykle ogólny opis kosztowności ukrytych w piwnicy nie napawał optymizmem, zaś przewidywane koszty przedsięwzięcia od początku nie zapowiadały się na szczególną okazję. Obejmowały bowiem podróż z Izraela i miesięczny pobyt Icchaka Dorona w Polsce, opłacenie dozoru budowlanego i ekipy prowadzącej prace inwazyjne w kamienicy, a także ewentualne rekompensaty dla lokatorów, których piwnice w wyniku poszukiwań zostałyby uszkodzone. W obliczu braku jakichkolwiek gwarancji powodzenia akcji i niesprecyzowanej wartości potencjalnego znaleziska, nikt z resortu za bardzo nie chciał podjąć ryzyka niepewnego przedsięwzięcia. Tym bardziej, że – jak pisał Dyrektor Departamentu I MSW płk H. Sokolak do wicedyrektora Departamentu II MSW płk. Żmijewskiego – *„koszty podjętych ew. poszukiwań, bez względu na ich wynik, obciążałyby stronę polską, która brałaby również na siebie ryzyko opłacalności tej transakcji, ponieważ wartość kosztowności nie jest znana,*

natomiast żądana przez Dorona rekompensata jest określona /koszty podróży i miesięcznego pobytu w Polsce/". Jednak mimo wątpliwości, również w łonie kierownictwa MSW, sprawę próbowano ruszyć do przodu. 22 kwietnia 1967 r. Z-ca Naczelnika Wydziału IV Dep. II MSW ppłk C. Borowski wysłał do Naczelnika Wydziału II Służby Bezpieczeństwa łódzkiej Komendy Miejskiej MO, w związku ze spełnieniem wcześniej postawionych przez tamtejszą prokuraturę warunków, prośbę o: *„porozumienie z Prokuratorem na m. Łódź w sprawie nakazu rewizji – poszukiwań zakopanego majątku Farbsztainów w piwnicach domu przy ul Piłsudskiego 25 w Łodzi oraz uzgodnienia, kto będzie poszukiwał tego majątku i pokrywał koszty z tym związane"*. Niezależnie polecił również, niejako na wszelki wypadek, opracować *„plan zabezpieczenia piwnic i poszukiwań zakopanego majątku Farbsztainów"*. Po ponad dwóch miesiącach z Łodzi nadeszła dość zaskakująca, aczkolwiek konkretna odpowiedź. 30 czerwca 1967 r. Z-ca Naczelnika Wydziału II SB KMMO w Łodzi, po uzgodnieniu 10 czerwca 1967 r. stanowiska z tamtejszą prokuraturą, zasugerował skierować sprawę do… Ministerstwa Finansów *„ponieważ jedynie ta instytucja załatwia takie sprawy związane z poszukiwaniem pozostawionych kosztowności. O ile Ministerstwo Finansów wyrazi zgodę na realizację powyższego, wówczas pokrywa też koszty związane z poszukiwaniem. Prokurator może jedynie, jeżeli zwróci się do niego Ministerstwo Finansów, wydać odpowiednie dokumenty, jak nakazy rewizji itp. oraz spowodować zabezpieczenie w czasie trwania akcji poszukiwania"*. Jednak nie miało już to żadnego znaczenia.

Wojna sześciodniowa (5-10 VI 1967 r.) i zerwanie stosunków dyplomatycznych z Izraelem (12 VI 1967 r.) całkowicie skomplikowały sytuację, właściwie wykluczając jakikolwiek kontakt z Icchakiem Doronem. Czy jednak na tym etapie jego udział w ewentualnych poszukiwaniach był jeszcze niezbędny? Raczej już nie. Nie wydaje się bowiem, żeby mógł on cokolwiek nowego wnieść do sprawy. Pamiętajmy jednak, że priorytetem SB nigdy nie było poszukiwanie skarbów i w ogólnym rozrachunku dochodzenia tego typu miały marginalny charakter. Zwłaszcza, jeżeli resort miał finansować poszukiwania z własnego budżetu. Zresztą zbliżał się rok 1968…

Finał tej sprawy nastąpił we wrześniu 1967 roku, kiedy w niespodziewanym piśmie z centrali MSW naczelnik łódzkiej SB otrzymał 11 dokumentów w sprawie kamienicy przy Piłsudskiego, z prośbą, by *„poszukiwania wymienionych kosztowności prowadzić we własnym zakresie"*. Zaniepokojony takim obrotem sprawy szef łódzkiej bezpieki zadzwonił do Warszawy, by wyjaśnić niespodziewaną korespondencję. Został jednak uspokojony, że materiały wysłano mu jedynie dlatego *„bo dotyczą jego terenu"*. Gdy z ciekawości zapytał o dalsze losy zgłoszenia Icchaka Dorona, usłyszał, że *„Kierownictwo nie wyraziło zgody na przekazanie tej sprawy do Min Finansów. Nasze organa nie mogą też tego wyjaśnić, bo nie dysponujemy funduszami na pokrycie kosztów robocizny. Z uwagi na zaistniałą sytuację polityczną związaną z Izraelem, postanowiono sprawę tę na razie odłożyć do akt. Ewentualna zmiana w kursie politycznym i ponowienie tej sprawy przez Dorona zam. w Izraelu spowoduje nasze zainteresowanie"*. Mogło ono nastąpić jednak dopiero po roku 1990, kiedy wznowione zostały stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Wątpliwe więc, by mogło mieć kiedykolwiek miejsce.

REKLAMA

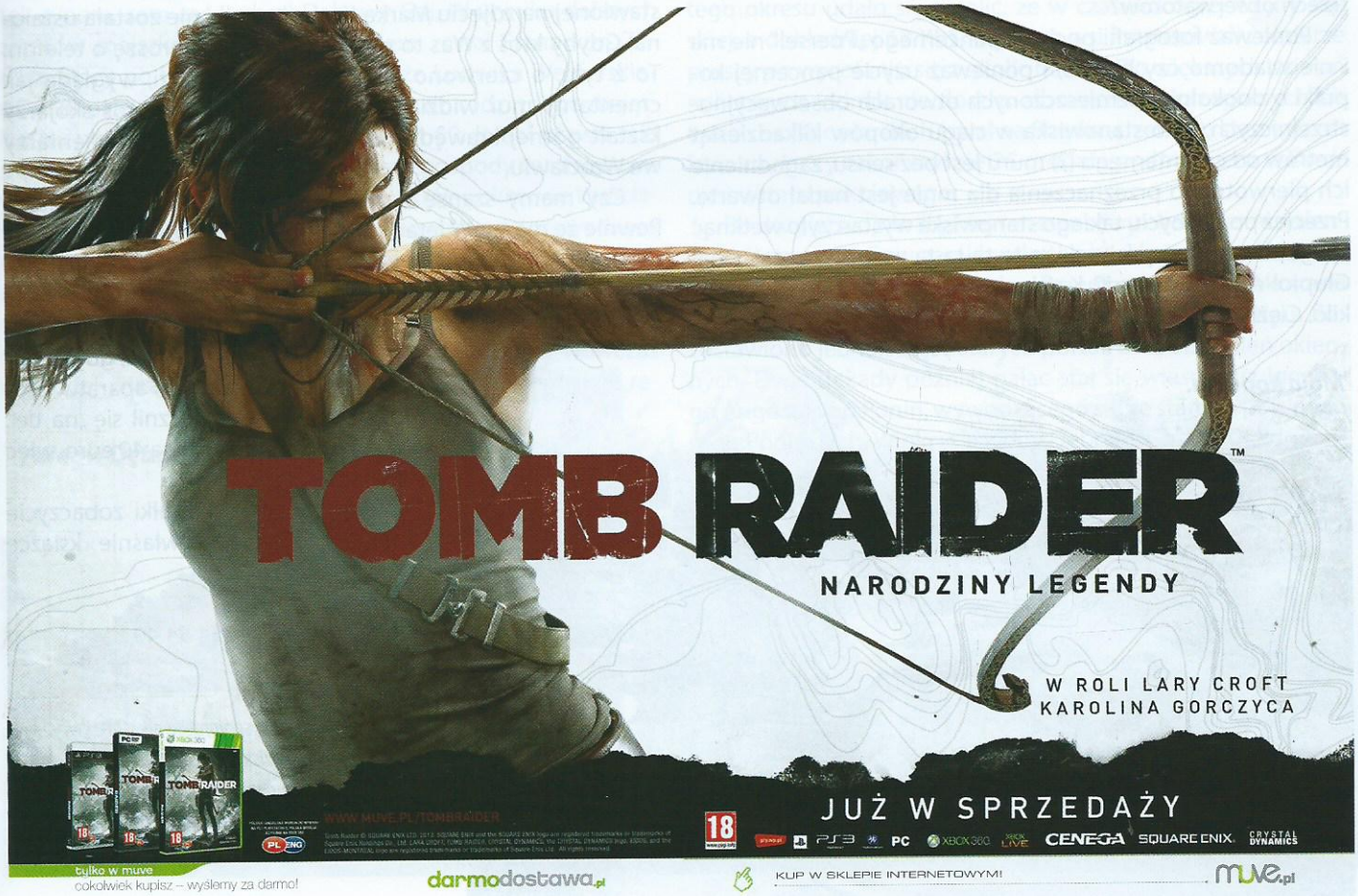

Muszę odszczekać!

TEKST: WOJTEK STOJAK

Muszę odszczekać swoje teorie związane z wydobytą z terenów kolejowych pancerną kopułką, którą w swej imaginacji usadowiłem na czubku pociągu pancernego made in Festung Breslau, czyli „Poersela", nazwanego tak od nazwiska jego dowódcy Leutnanta Paula Poersela („Odkrywca" wrzesień 2011). A było tak. Odwiedziła mnie w końcu spółka autorska Marek Kruk & Radosław Szewczyk i pokazała zdjęcia. Już wcześniej Radziu Szewczyk telefonicznie twierdził: – *To nie z pociągu*. Nie wyjaśniając skąd takie przekonanie, a mnie ta kopułka pasowała jak ulał do pociągu właśnie. Prawdę mówiąc dalej mi pasuje bardziej do pociągu, bo w miejscu przedstawionym na fotografii, gdzie „pełni straż" taka sama kopułka, to ona dopiero nie pasuje (vide fot.). „Moja" wykopana została z miejsca, do którego na pewno nie była skonstruowana i przeznaczona, ale „moja" mogła być tam umieszczona przez służby ochrony kolei po wojnie, natomiast ta z fotografii stoi tam, gdzie umieścili ją Niemcy. Samo miejsce może miało sens jako punkt oporu, ale kopułka z połową otworów obserwacyjnych (obserwacyjno-strzelniczych) skierowanych w mur, chyba cmentarny, sensu nie ma. A może zbudowano w Breslau kilkanaście takich „uniwersalnych" kopułek i rozstawiono w miejscach gdzie były przydatne? A może trzy znane dziś kopułki miały być zamontowane na trzech wagonach pociągu pancernego umożliwiając niezależne kierowanie ogniem trzech dział „acht koma acht" przez trzech obserwatorów?

Ponieważ fotografii pociągu pancernego „Poersel" nie ma i nie wiadomo czy będzie, i ponieważ użycie pancernej kopułki o dookolnie rozmieszczonych otworach obserwacyjno-strzelniczych, jako stanowiska w ciągu okopów kilkadziesiąt metrów od cmentarnego (?) muru jest bez sensu, zagadnienie ich pierwotnego przeznaczenia dla mnie jest nadal otwarte. Przecież po zdobyciu takiego stanowiska wystarczyło wetknąć Diegtiariwa w inną dziurę, i ra-ta-ta-ta-ta w stronę przeciwną. Głupio! A sam montaż? Każda połówka waży ponad trzysta kilo. Ciężkie! Kłopotliwe! Coś tu ciągle nie gra!

Zbiory Marka Kruka.

Generałowie Ahlfen i Niehoff wspominają o różnych ustrojstwach wykonanych w FAMO na potrzeby twierdzy, ale o takich kopułkach nie ma żadnej wzmianki. Nic też nie znalazłem w „Breslauer Apokalypse" Gleissa. Lokalizacja przedstawionej na zdjęciu Marka Kruka kopułki nie została ustalona. Gdyby ktoś z Was to miejsce rozpoznał, proszę o telefon. To z tyłu, o czerwono obrysowanej krawędzi, wygląda jak cmentarny mur widziany od zewnątrz. Może ktoś skojarzy kształt górnej krawędzi. Niewiele zostało takich cmentarzy we Wrocławiu.

Czy mamy szansę na wyjaśnienie „tajemnicy kopułek"? Pewnie że mamy. W latach 50. porucznik Poersel (nie żyje) napisał artykuł w „Welt am Sonntag" traktujący o walkach dowodzonego przezeń pociągu pancernego w Festung Breslau. Byłoby dziwne gdyby nie zamieścił w nim fotografii swego pociągu, bo byłoby też dziwne, gdyby oficer Wehrmachtu nie miał aparatu fotograficznego i nie uwiecznił się „na tle". Ale za kopię artykułu chcą 40 euro, więc sami rozumiecie.

Zdjęcie trzeciej kopułki zobaczycie w przygotowywanej właśnie książce spółki Kruk&Szewczyk.

PS. Mój tel. 71 354 54 40

Moja kopułka.

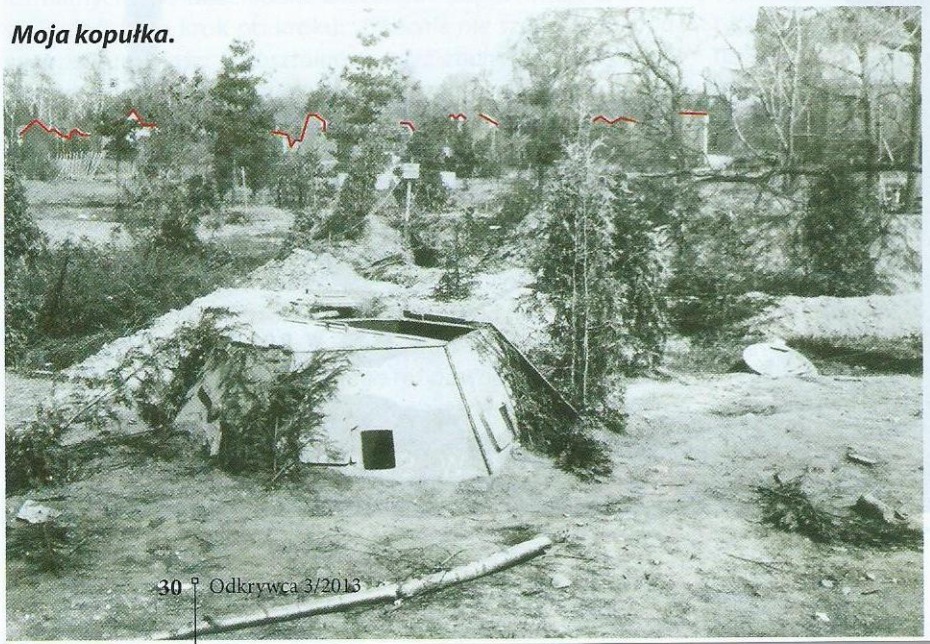

Wojtek Stojak

Przyjaciel i wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Niegdysiejszy geolog, dzisiaj poszukiwacz-emeryt. Nestor polskich eksploratorów. Twórca cieszącego się ogromną popularnością, emitowanego w latach 90., cyklicznego programu telewizyjnego „Klub Poszukiwaczy Skarbów".

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 3)

Krwawe batalie pod Dębowym Gajem

TEKST: SZYMON WRZESIŃSKI, WSPÓŁPRACA: EUGENIUSZ BRANIEWSKI, MAŁGORZATA STANKIEWICZ

W połowie drogi z Bolesławca do Jeleniej Góry znajduje się niewielka, acz malowniczo położona wieś zwana niegdyś Siebeneichen. Lokowana pod koniec XIII wieku stała się na przestrzeni dziejów majątkiem należącym do kolejnych rodów. W 1813 r. we wsi miały miejsce krwawe walki między wojskami francuskimi, a rosyjskimi. Do kolejnych zmagań militarnych doszło tutaj pod koniec II wojny światowej.

Prawdopodobnie pierwszą siedzibę w postaci dworu obronnego z wieżą mieszkalną wzniósł na przełomie lat 60. i 70. XIV stulecia zamożny Gunczel von Siebeneichen. W kolejnych dekadach właścicielem majątku we wsi nad Bobrem była rodzina Lauwen ze Świdnicy, a następnie Renker, posiadające dobra w okolicy Lwówka. Mimo, iż w drugiej połowie XV wieku wieś ponownie przeszła w ręce rycerskie, to najważniejsze decyzje w sprawie przebudowy starego dworu miały zapaść dopiero w kolejnym stuleciu, kiedy osiedlił się tu nowy ród von Zedlitz.

Z lakonicznych zapisków wynika, że Nickel zwany Młodszym, właściciel dworu obronnego w podlwóweckiej Radłówce, w 1484 roku zdecydował się przekazać tamtejszy majątek synom, sam zaś wybrał Dębowy Gaj. W wyniku dalszych zapisów majątkowych nowym panem został Franz von Zedlitz, który po latach służby na dworze Ludwika Węgierskiego w Budzie zdecydował się na powrót do rodzinnego majątku. Niepokorny dziedzic pod koniec lat 50. łamał prawo mili piwnej, sprowadzając do podległej mu gospody zamiejscowe trunki. Z kolei w roku 1564 na zamku królewskim we Wrocławiu nakazano Franzowi zlikwidować nową drogę prowadzącą do wsi, która omijała kontrole celne i jurysdykcję sądowniczą należącą do pobliskiego miasta. Z dużym prawdopodobieństwem można pokusić się o przypisanie Franzowi lub jego synowi Hansowi von Zedlitz rozbudowy niemodnej wówczas gotyckiej wieży rycerskiej. Z całą pewnością prawdziwie renesansowy charakter dworowi w Dębowym Gaju nadał dopiero Heinrich von Reichenbach z Ciechanowic, który w 1618 roku poślubił 16-letnią Hedwigę von Zedlitz, córkę zmarłego dziesięć lat wcześniej Hansa. Niemal natychmiast po podjęciu decyzji o rozpoczęciu nowej drogi życiowej, przystąpiono we wsi do wielkich prac budowlanych. W efekcie powstał pałac ozdobiony licznymi detalami architektonicznymi. Niewątpliwie najpiękniejszym elementem budowli był główny portal ujęty w parę pełnych kolumn o trzonach oplecionych winną latoroślą, stojących na postumentach dekorowanych półplastycznymi lwimi głowami. Na fryzie znajdowały się unoszone przez anioły łacińskie cytaty, a powyżej nich herby właścicieli. Całość uzupełniały dwie pięknie rzeźbione syreny, podtrzymujące za głowami rozpostarte chusty. Po śmierci Hedwigi zrozpaczony mąż ufundował w Ciechanowicach, gdzie została pochowana, piękne epitafium. Heinrich von Reichenbach zmarł w 1660 roku. Wówczas majątkiem zarządzał jego syn z drugiego małżeństwa, Heinrich zwany Młodszym. Dał on się we znaki wielu osobom. W latach 70. i 80. XVII wieku nader często przekraczał swoje kompetencje oraz wytaczał rozmaite procesy okolicznym właścicielom z sąsiedniej Soboty. Rodzina von Reichenbach posiadała Dębowy Gaj co najmniej do 1723 roku. Na podstawie nielicznych przekazów dotyczących tego okresu udało się ustalić, że w czasie drugiej wojny śląskiej, a dokładniej 18 XI 1745 r., we wsi kwaterowali żołnierze pruscy po wycofaniu się z okolic Mirska. Do większych działań militarnych jednak nie doszło, albowiem po przegranych bitwach wojsk cesarskich trwał na Pogórzu Izerskim stan wyczekiwania, który zakończył się 25 grudnia podpisaniem w Dreźnie traktatu pokojowego.

Po drugiej wojnie śląskiej renesansowy charakter rezydencji w Dębowym Gaju zanikł wskutek barokowej przebudowy przeprowadzonej w 1754 roku. Prawdopodobnie dokonano tego na polecenie baronowej Henrietty von Schmettau. Pozostawiono jednak część starych portali oraz obramień okiennych. Dwie dekady później pałac stał się własnością Ignacego Augusta von Ponin, wywodzącego się ze starego polskiego rodu Ponińskich. W okresie kiedy Dębowy Gaj należał do hra-

Pałac w Dębowym Gaju, pod koniec XIX wieku...

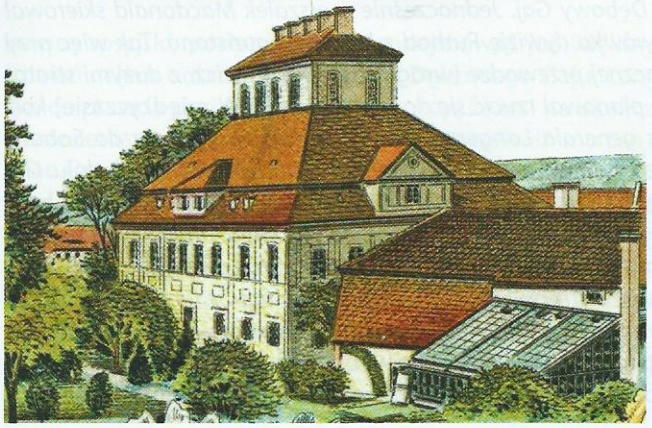

... i pod koniec lat 30. XX wieku. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

Tylna elewacja pałacu w Dębowym Gaju w 2 poł. lat 30. XX wieku. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

biów Ponińskich, doszło do kolejnego wielkiego zatargu militarno-politycznego w Europie. Podczas wojny napoleońskiej 1813 r., a dokładniej 17 sierpnia, w trakcie walk o Wleń oddziały kozackie skierowały się na okoliczne wzniesienia, celem dokładnego określenia pozycji i sił wojsk napoleońskich w okolicy: *„Awangarda rosyjskiego generała Pahlena (…) w sile 8 tysięcy ludzi, licznym korpusem z Jeleniej Góry przybyła pod Wleń i rozpoznawała stanowiska korpusu Macdonalda ze wzgórz nad Marczowem, które rozlokowane były koło Pławnej, Dębowego Gaju, Dolnego i Górnego Mojesza. Doszło wówczas do potyczki pomiędzy rozpoznawczym oddziałem kozaków i francuskimi szaserami na wzgórzu między Dębowym Gajem i Marczowem. Po prawie dwugodzinnej potyczce jazdy, gdy kozacy osiągnęli swój cel, wycofali się"* – pisał kilkadziesiąt lat później Hermann Scholz. O tych zmaganiach wspominał następnego dnia dowódca XI Korpusu Jacques Macdonald w liście do przebywającego w Bolesławcu dowódcy VI Korpusu Augusta Marmonta: *„Nieprzyjaciel podszedł na rekonesans od strony Wlenia i Marczowa. Zabiliśmy kilku ludzi, wzięliśmy pięciu lub sześciu. Nie było wystrzałów armatnich"*. Do większych walk doszło jednak poniżej Dębowego Gaju: *„Przeciwnik nie powtórzył ataku na Wleń, my z kolei byliśmy do tego zmuszeni. Przeciwnie,* [wróg] *zniknął dziś rano (…). Ta armia skierowała się bardziej na prawo, by rozłożyć się za Sobotą (…). Jej awangarda sforsowała przeprawę w Dębowym Gaju i zaatakowała V Korpus na całym froncie, na obu brzegach Bobru. Generał Lauriston odparł te ataki"*. Marszałek Macdonald nie raczył dodać, iż wojska francuskie wycofały się za rzekę paląc przy okazji drewniany most.

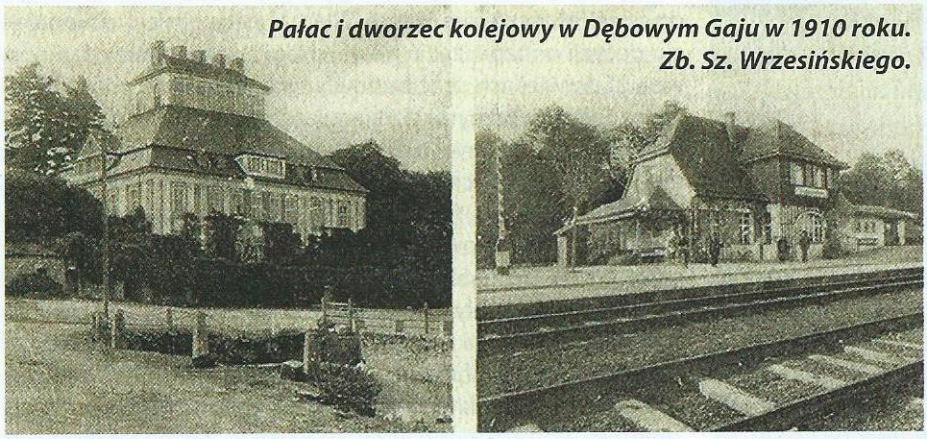

Pałac i dworzec kolejowy w Dębowym Gaju w 1910 roku. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

19 sierpnia, wraz z nastaniem świtu, dowódca rosyjskiego korpusu Langeron ruszył ze Świerzawy przez Proboszczów w kierunku Bobru. Tymczasem przebywająca na prawym brzegu awangarda gen. Rudczewicza dla rozpoznania terenu i określenia pozycji wrogich wojsk, rozpoczęła poszukiwanie odpowiedniego brodu dla kawalerii, w czym pomogli okoliczni mieszkańcy. Po pokonaniu rzeki oddziały kozackie ruszyły w kierunku dolnych zabudowań Dębowego Gaju. Po zbudowaniu drewnianej przeprawy, za pierwszymi oddziałami ruszył gen. Rudczewicz z resztą swej awangardy. Szczegółowy opis tych wydarzeń pozostawił autor książki „Löwenberg im Jahre 1813", który po wysłuchaniu świadków pisał później: *„Blücher z zakończeniem zawieszenia broni w kilka dni wypierał Francuzów przez Legnicę i Złotoryję z powrotem do Bobru. Potrzebował przepraw przez rzekę. Zatem 19 sierpnia około godziny 7 w Sobocie, na drodze z Wlenia, pojawili się rosyjscy strzelcy, za którymi postępował silny oddział Kozaków. Ci doskoczyli do prawego brzegu rzeki poszukując wygodnego miejsca do przeprawienia jazdy i budowy mostu dla piechoty i artylerii. Francuska forpoczta stanęła na lewym brzegu rzeki i ostrzeliwała Kozaków (…). Piechota i artyleria pod dowództwem przybyłego spod Wlenia ze swą brygadą rosyjskiego generała Rudczewicza przeprawiła się przez Bóbr po nowowybudowanym moście.* [Natomiast] *jazda złożona ze strzelców, jak też Kozaków dońskich i ukraińskich, przeprawiła się wpław.* [Widząc to] *Francuzi pociągnęli pospiesznie z Dębowego Gaju za wieś umocnić się na wzgórzu. W środku wsi Rosjanie zaskoczyli sporą ilość francuskiej piechoty, która dostała się do niewoli (…). Rosjanie z energią zaatakowali Francuzów na ich umocnionych pozycjach za wsią i spychali ich w stronę Górnego Mojesza (…). Zwycięstwo przechyliło się na stronę rosyjską (…), jednak Francuzi otrzymali wzmocnienie (…),* [i] *z liczną artylerią stanęli naprzeciw rosyjskiej flanki. Rosjanie poczęli się powoli wycofywać szukając możliwości utrzymania Dębowego Gaju za wszelką cenę, lecz i tę wioskę musieli oddać"*.

Silny atak wojsk francuskich doprowadził nieomal do kompletnego rozgromienia rosyjskich pułków: *„Po tych znacznych sukcesach przyszło teraz rosyjskiej awangardzie znaleźć się w poważnych opałach. Francuski oddział, rzekomo w sile 8 tysięcy żołnierzy, który dzień wcześniej wyparł z Wlenia generała Kajzarowa, widziany był jak (…) napierał teraz (…) z Marczowa na Dębowy Gaj. Jednocześnie marszałek Macdonald skierował z Lwówka dywizję Puthod z korpusu Lauristona. Tak więc przy znacznej przewadze* [wroga] *(…) Rudczewicz, z dużymi stratami, planował rzucić się do ucieczki (…).* [W międzyczasie] *korpus generała Langerona kontynuował swój marsz do Soboty, gdzie czołówka piechoty przybyła o godzinie 3 po południu. Generał* [natychmiast] *skierował* [pierwsze] *regimenty (…) na bród na Bobrze dla obsadzenia Dębowego Gaju. Rudczewicz uzyskał w ten sposób znaczną pomoc i mógł przez długi czas odpierać ataki ze strony Francuzów. Jednakże napór tych ostatnich był zbyt mocny. Wiele kolumn szturmowych dywizji Puthod napierało tu pomimo kontrataków rosyjskiej jazdy, wdzierając się* [do wioski] *(…). Wzmocnieni przez* [kolejne] *regimenty (…) korpu-*

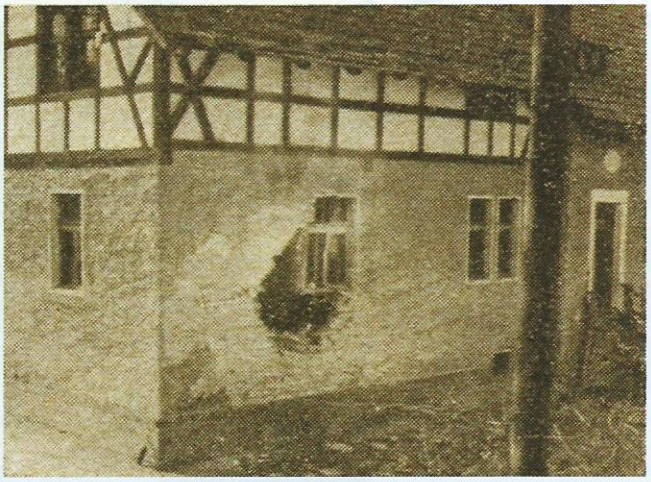

Dom mieszkalny w Dębowym Gaju trafiony rosyjskim pociskiem. 22 III 1945 rok. Źródło: Löwenberger Heimatgrüße.

su Langerona, Rosjanie zajęli silną pozycję na łące nad Bobrem, pod Dębowym Gajem. Podczas bitwy na wzgórzu wioski generał Rudczewicz odcięty został od trzonu swych wojsk i wycofywał się przez Marczów i Przeździedzę (...). [Tymczasem] *Francuzi oparli się mocno półokręgiem o Dębowy Gaj, a swą potężną artylerię usadowili na prawo przy wapienniku i po lewej koło młyna tak, że Bóbr dostał się teraz w ogień krzyżowy. (...) Generał Langeron widział z drugiego brzegu to ciężkie położenie (...), ale nie mógł udzielić* [maksymalnej] *pomocy, ponieważ jego korpus przybywał tu stopniowo; aby móc zaatakować Francuzów, musiałby zgromadzić znaczną ilość* [wojska]. *Gdy w końcu zebrał jedną dywizję, natychmiast przeprawiał ją przez Bóbr i z siłą zaatakował Dębowy Gaj wypierając nieznacznie Francuzów".* Ponieważ wojska Macdonalda spostrzegły, że na drugim brzegu rzeki znalazł się niemal cały korpus rosyjski, postanowili nie podejmować już większych działań celem odbicia dolnej części Dębowego Gaju. Langeron co prawda chciał wyprzeć Francuzów ze wsi na okoliczne wzniesienia, lecz nadchodząca noc uniemożliwiła mu ten zamiar. Ostatecznie po otrzymaniu informacji, że generał Rudczewicz zdołał umknąć siłom wroga i dotarł na prawy brzeg Bobru, zdecydował o opuszczeniu Dębowego Gaju. Wielogodzinna batalia zakończyła się śmiercią ponad tysiąca rosyjskich żołnierzy oraz co najmniej 800 francuskich. Ci ostatni stracili również kilkuset żołnierzy wziętych do niewoli (wg raportu gen. Rudczewicza było 1260 zmarłych i rannych Rosjan oraz 3 tys. zabitych i rannych Francuzów, do niewoli trafiło 15 oficerów i 669 żołnierzy; natomiast większość XIX-wiecznych opracowań ocenia straty rosyjskie na 68 oficerów i 1573 żołnierzy). Wieś ponownie została zajęta przez wojska Langerona rankiem 21 sierpnia, którego oddziały stacjonowały w tym czasie również w Sobocie i Dworku. Po zakończeniu wielkiej bitwy, która miała miejsce jeszcze tego samego dnia pod położonymi kilka kilometrów dalej Płakowicami, zwycięskie oddziały francuskie wkroczyły do Dworka. Langeron postanowił nie ryzykować kolejnej batalii z Napoleonem. Nakazał swym wojskom wycofać się do Pielgrzymki, gdzie kwaterę główną założył feldmarszałek Gebhard von Blücher.

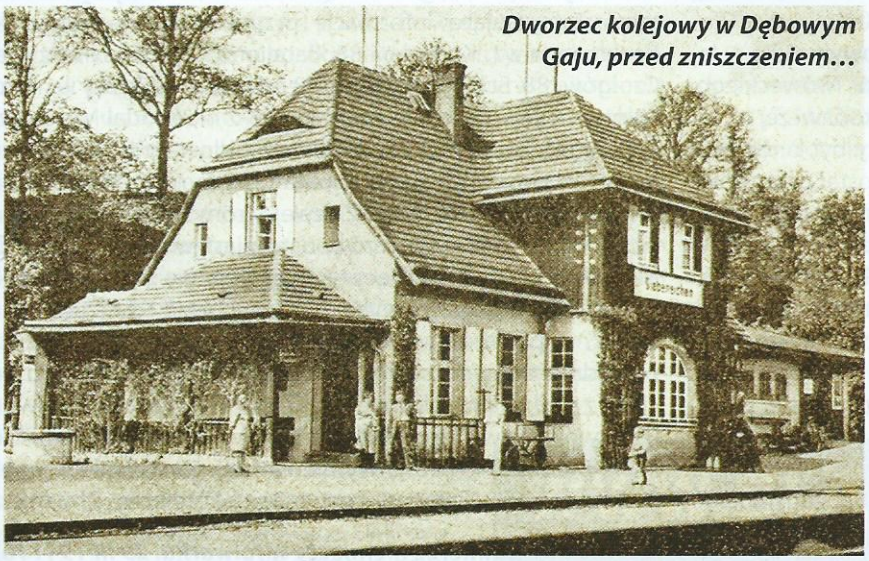

Dworzec kolejowy w Dębowym Gaju, przed zniszczeniem...

Po zakończeniu drugiej bitwy pod Płakowicami (29 sierpnia) z pomocą rannym i ciężko chorym ruszyła hrabina Ponińska wraz ze swoimi córkami, Konstancją i Otyldą. Na początku września pracowały one w miejscowym lazarecie jako siostry miłosierdzia. Niestety, wszystkie musiały przerwać swą pracę, gdyż zaraziły się od żołnierzy tyfusem. Konstancja za wyjątkowe poświęcenie otrzymała Królewski Pruski Order Luizy (niem. Königlich Preußischer Louisenorden). Było to bardzo rzadkie i cenne odznaczenie, które ustanowił 3 VIII 1814 r. król Fryderyk Wilhelm III dla uczczenia pamięci swej zmarłej żony Luizy.

Wspominając o hrabinie Ponińskiej, warto przybliżyć postać urodzonego w 1794 roku jej syna, któremu nadano aż sześć imion, co było ówczesnym zwyczajem. Karl Albrecht Aleksander Fabian Eugen Eduard von Ponin, znany w polskiej literaturze jako Edward Poniński wziął udział w wojnach napoleońskich służąc w 2. Śląskim Pułku Ułanów. Jed-

... ten sam budynek zniszczony przez ostrzał rosyjski 22 III 1945 r. Źródło: Löwenberger Heimatgrüße.

Oficer niemiecki na tle zniszczonej przez Rosjan kuźni w Dębowym Gaju. 22 III 1945 rok. Źródło: „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki...".

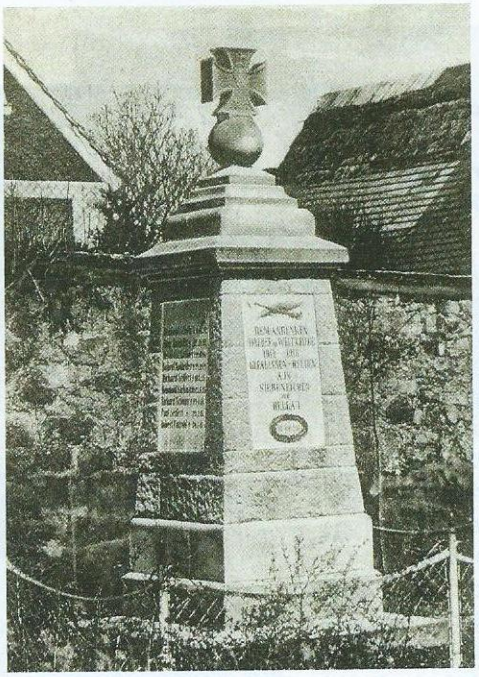

Pomnik ku czci poległych podczas I wojny światowej mieszkańców Dębowego Gaju. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

nak to nie on został wyznaczony po śmierci Ignacego (1815 r.) na głównego spadkobiercę, lecz najstarszy syn, Friedrich Wilhelm Karl Heinrich Xawery August. Po zgonie pierworodnego (1832 r.) właścicielem Dębowego Gaju został kolejny syn Ignacego, 30-letni hrabia Christoph von Ponin-Poninski (w polskich opracowaniach genealogicznych występuje jako Krzysztof Poniński). Młody dziedzic nigdy nie czuł się rolnikiem, dlatego wolał pozostawić swój majątek pod opieką zarządcy, skupiając się na urzędniczej karierze. Po ukończeniu studiów w Heidelbergu, został auskultatorem w Wyższym Sądzie Krajowym we Wrocławiu (1825 r.), następnie referendarzem w Wyższym Sądzie Krajowym w Głogowie (1836 r.). Ponownie zamieszkał w Dębowym Gaju w latach 1842-1850, kiedy pełnił funkcję landrata lwóweckiego, czyli najwyższego przedstawiciela władzy wykonawczej na terenie powiatu. Następnie przez kilka miesięcy był landratem w regencji szczecińskiej. Jesienią 1851 roku został przeniesiony do Koszalina, gdzie zajmował stanowisko nadradcy regencji. Później otrzymał posadę w regencji poczdamskiej. Z kolei w 1867 r. powrócił na Dolny Śląsk, gdzie objął urząd wiceprezydenta regencji wrocławskiej. W 1870 r. sprzedał dominium w Dębowym Gaju Augustowi Scholzowi, który pozostawił we wsi dzierżawcę, spowinowaconego z nim Ewalda Scholza. W drugiej połowie XIX stulecia we wsi znajdowały się: pałac, dwa folwarki z ponad 2 tysiącami merynosów i około 150 sztukami bydła, kaplica cmentarna, szkoła ewangelicka, duży młyn wodny, olejarnia, wapiennik i 5 gospód. Ponadto zatrudniano 60 prządków oraz 14 innych rzemieślników. Spokojne życie tutejszych mieszkańców nie zakłóciły specjalnie wydarzenia militarne z lat 70. XIX w. oraz I wojna światowa. Jedynym akcentem przypominającym o wojnie był pomnik (obecnie nie zachowany), poświęcony poległym w latach 1914-1918.

Najtrudniejsze chwile nastąpiły dopiero w 1945 roku. W połowie lutego do wsi wjechały pierwsze wozy bojowe oraz wkroczyły oddziały wojsk radzieckich. Głównym celem były dwa strategiczne obiekty – położone poniżej zabudowań most na Bobrze oraz linia kolejowa biegnąca do Jeleniej Góry. Miejsc tych dłużej nie zdołano utrzymać, bowiem w wyniku uderzenia niemieckiej dywizji pancernej z okolic Wlenia, zajęto most na Bobrze, który wkrótce potem został wysadzony. Wzmocnione siły Czerwonoarmistów przeszły niebawem do kontrataku, wypierając Niemców z Soboty. Brak przeprawy skutecznie zatrzymał atak na Dębowy Gaj – zwłaszcza, iż oddziały niemieckie w pobliżu rzeki oraz we wsi przygotowały stanowiska bojowe. Efektem ustabilizowania się przez kilkanaście tygodni linii frontu wzdłuż Bobru, były cykliczne wymiany ognia, które doprowadziły do sporych zniszczeń zarówno w Sobocie, jak i Dębowym Gaju. Najsilniejszy ostrzał artyleryjski Dębowego Gaju miał miejsce 22 marca, kiedy zniszczeniu uległa kuźnia, budynek stacji kolejowej oraz wiele innych budynków we wsi. Jeden z pocisków trafił nawet w dach pałacu, lecz nie uczynił większych szkód. Kolejne ataki z 24 i 28 lutego oraz 2 marca również przyniosły sporo strat, zwłaszcza w dolnej części wsi. Zmarłych w tych dniach żołnierzy Wehrmachtu przewożono drogą do położonego 4 km dalej Marczowa, gdzie chowano ich na tamtejszym cmentarzu. Interesującą informację przynosi raport porucznika Beckmanna z 1. Kompanii 88. Batalionu Ciężkich Niszczycieli Czołgów (88. Schwere Panzerjäger-Abteilung), który w marcu zgłosił, że zniszczył radziecki czołg IS-2 nieopodal Marczowa. Zapewne jego stanowisko bojowe znajdowało się na szczycie bądź tuż poniżej wzgórza Łopata (366 m n.p.m.), które miało strategiczne położenie. Z lewej strony znajdował się Dębowy Gaj, z prawej Marczów, natomiast w dole rzeka Bóbr. Niewykluczone, iż do precyzyjnego trafienia z ponad dwukilometrowej odległości wykorzystano pojazd Sd.Kfz. 164 „Nashorn", wyposażony w działo o średnicy 8,8 cm. Jego użycie pośrednio potwierdza dokument dowództwa lokalnego odcinka z siedzibą w Lubomierzu (przechowywany w Archiwum Państwowym we Wrocławiu, Oddział w Jeleniej Górze), który na początku kwietnia wymienia funkcjonowanie w okolicy kompanii 88. Schwere Panzerjäger-Abteilung. Zmianę na

Żołnierze niemieccy w folwarku. 29 III 1941 rok. Zdjęcie znalezione w Dębowym Gaju. Źródło: „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki...".

Ruiny pałacu w Dębowym Gaju. 2004 rok. Fot. Sz. Wrzesiński.

linii frontu przyniósł dopiero pierwszy tydzień maja, kiedy tutejsze wzniesienia oraz stanowiska bojowe na lewym brzegu Bobru opuściły kolejne jednostki niemieckie. 8 maja do Dębowego Gaju wkroczyły oddziały Armii Czerwonej, które po krótkich walkach skierowały się do Marczowa, a następnie ruszyły w kierunku Wlenia.

W ostatnich latach dominuje pogląd, iż pałac w Dębowym Gaju został spalony na skutek ostrzału prowadzonego na przełomie lutego i marca 1945 roku. W rzeczywistości winnymi nie byli Sowieci, lecz Polacy. Pałac bowiem przetrwał wojenną zawieruchę w dobrym stanie. Dowodzą tego zarówno relacje kilku rodzin, które po wojnie miały tam tymczasowe lokum jak i zachowane z lat 50. zdjęcia. Widoczne zniszczenia to przede wszystkim wybite szyby w oknach na każdej z kondygnacji. W kolejnych latach pałac popada w ruinę. Wilgoć, deszcz przedostające się do wnętrza przez dziurawy dach oraz wybite okna powodują zacieki i dalszą destrukcję ścian oraz sklepień. Nieremontowany budynek, okradany w kolejnych dekadach z drewnianych parkietów, drzwi i okien, zaczął ulegać coraz szybszemu niszczeniu. Dzisiaj znajduje się tu jedynie kilka ścian szczytowych, resztki barokowych obramień okiennych i niewiele innych detali architektonicznych. Większy fragment pięknego portalu trafił na szczęście do lapidarium w Twierdzy Kłodzkiej. Z kolei dekoracje z ogrodu (m.in. kwiatony) w 1975 r. zabrano do parkowego lapidarium Ośrodka Wypoczynkowego Elektrowni „Turów" w Bogatyni, gdzie zostały zniszczone bądź skradzione.

Warto nadmienić, że w dominium 65-letniego Theodora von Wäjten w Dębowym Gaju od 5 X 1944 r. znajdowała się składnica Günthera Grundmanna, w której przechowywano zbiory Krajowej Szkoły Muzycznej z Wrocławia. Nieznane są późniejsze losy cennego zarówno wrocławskiego mienia, jak i dóbr z pałacu, co pobudza polskich poszukiwaczy do penetrowania okolicznych wzniesień. Według jednej z hipotez, opartej na powojennej relacji okolicznych mieszkańców, tajemniczy ładunek ukryto między Dębowym Gajem a Marczowem. Nie wiadomo też, czy tajemnicza akcja miała cokolwiek wspólnego z ukrywanymi przez Niemców kilkunastoma skrytkami prof. Grundmanna rozmieszczonymi w okolicy. Pewne jest tylko to, że Catherine Elisabeth, żona właściciela Dębowego Gaju zmarła w pałacu w 1942 roku. Natomiast Theodor von Wäjten przeżył wojnę. Zmarł 12 XII 1952 roku w Bad Segeberg, położonym w landzie Schleswig-Holstein.

Autor dziękuje p. Eugeniuszowi Braniewskiemu i p. Małgorzacie Stankiewicz za pomoc w poszukiwaniu źródeł i tłumaczeniach.

Wykorzystane w artykule cytaty pochodzą z: „Mémoires du maréchal Marmont, duc de Raguse de 1792 à 1841", Paris 1857; M. Olczak, „Kampania 1813. Śląsk i Łużyce", Warszawa 2004; H. Scholz, „Löwenberg im Jahre 1813", Löwenberg 1909.

Szymon Wrzesiński

Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Hitlerjugend na Śląsku", „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku", „Podziemne tajemnice III Rzeszy" oraz „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy". Niebawem pojawi się jego najnowsza książka, pt. „Małe Riese. Tajny kompleks III Rzeszy nad Kwisą".

REKLAMA

Kaci – Operacja „Lawina" (cz. 3)

TEKST: ŁUKASZ ORLICKI

***„Rozległ się straszny huk. Po wybuchu większość ludzi jednak żyła i zaczęli oni uciekać. Byli oszołomieni zarówno wybuchem, jak i wypitym wcześniej zatrutym alkoholem. Cały teren był otoczony i wszyscy zostali wyłapani. (...) kazano się im rozebrać do naga. Następnie pojedynczo sprowadzano nagich nad wykopany dół i tam mordowano, każdego strzałem w tył głowy..."* – fragment zeznań funkcjonariusza UB J. Zielińskiego złożonych 11 grudnia 1990 roku.**

Kluczowym świadkiem sposobu realizacji finalnego etapu operacji „Lawina" nadal pozostaje tylko jedna osoba. Ówczesny funkcjonariusz Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Cieszynie – Jan Zieliński. 27 listopada 1990 roku, przebywający w chorzowskim Domu Opieki Społecznej były funkcjonariusz, napisał list zaadresowany do prokuratora Andrzeja Kózki z Bielska Białej. Kilkanaście dni później, 11 grudnia złożył pierwszą obszerną relację, zaprotokołowaną na 10 stronach maszynopisu. Od tego momentu, jeszcze czterokrotnie składano mu wizytę: w 1991, 1992, 1994 i 1995 roku. Każdorazowo Zieliński wprowadzał dodatkowe szczegóły, czasem nanosił korekty do chronologii opisywanych wydarzeń. Jednak mimo upływu czasu, konsekwentnie potwierdzał zasadnicze elementy zeznań – sposób przeprowadzenia egzekucji, wykonawców, ofiary oraz kluczowe szczegóły topograficzne. Ostatnim urzędnikiem, który rozmawiał z Janem Zielińskim, był prok. Wiesław Nawrocki z Wojewódzkiej Prokuratury w Opolu. Zieliński, mocno schorowany, poruszający się na wózku inwalidzkim z powodu amputowanej nogi, zmarł w 1996 roku. Ostatnia rozmowa wywarła na prokuratorze Nawrockim silne wrażenie. – *W moim odczuciu człowiek ten chciał się uwolnić od olbrzymiej traumy, którą niewątpliwie przeżył. Nie był on z gruntu zły, raczej w momencie podjęcia tej pracy nie był jeszcze tak dogłębnie zdegenerowany systemem. Zaimponowały mu uprawnienia, możliwości i silne osobowości funkcjonariuszy, którzy otoczyli go opieką. Nie był jednak przygotowany na to w czym uczestniczył. Chciał oczyścić swoje sumienie poprzez ujawnienie szczegółów i miejsca, gdzie zakopano zwłoki.* Kim zatem był człowiek, który uczestniczył w jednej z najbardziej utajnionych operacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – jedyny, który zdecydował się mówić?

Świadek i wykonawca

Pytany o swoją przeszłość Jan Zieliński zaznaczał zgodnie z prawdą, że do Milicji Obywatelskiej dostał się bardzo szybko, praktycznie z chwilą wkroczenia do rodzinnych Mysłowic Armii Czerwonej. 27 stycznia 1945 roku znalazł w ogrodzie kilka sztuk broni. Postanowił odnieść je na posterunek milicji. Lokalnym komendantem MO był znajomy jego ojca, który z miejsca, tego samego dnia przyjął go do służby. Po kilkunastu miesiącach pracy został skierowany do szkoły podoficerskiej MO w Chorzowie, tam, w październiku 1945 roku, został zwerbowany do UB. Obiecywano mu m.in. przyjęcie do szkoły oficerskiej i szybką karierę. Rozpoczął służbę w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach, jako młodszy referent w wydziale do walki z bandytyzmem. W swoich zeznaniach składanych w latach 90. Zieliński „prześlizgiwał" się przez okres pracy w UB, koncentrując się na szczegółach operacji „Lawina". Jednak lektura jego dokumentów pozwala założyć, że nie był całkiem zwyczajnym, niewiele znaczącym funkcjonariuszem. Pracując w WUPB w Katowicach szybko zyskał zaufanie Leona Wajntrauba jednego z bardziej niebezpiecznych oficerów UB, budzących strach nawet wśród swoich kolegów. Wajntraub vel Weintraub lub Winiawski (ur. 1912) był zatwardziałym, ideowym przedwojennym komunistą, który w II RP trafił do więzienia za udział w zabójstwie policyjnego informatora (wraz ze swoimi towarzyszami wepchnęli go do studni kanalizacyjnej). Weteran wojny ojczyźnianej w szeregach Armii Czerwonej, po wojnie został skierowany przez Rosjan do pracy w UB. W latach 1945-46 pełnił funkcję szefa sekcji specjalnej, a następnie zastępcy kierownika wydziału do walki z bandytyzmem w Katowicach. Tu pod jego „skrzydła" trafił młody funkcjonariusz. Zieliński przypadł do gustu bezwzględnemu zwierzchnikowi (Wajntraub znany był również z dyscyplinowania podwładnych i surowego stosunku do służby), wkrótce więc otrzymał dwukrotnie nagrody pieniężne za „dobrą i sumienną" pracę. Ponadto, gdy w I połowie 1946 roku Wajntrauba mianowano szefem PUBP w Cieszynie, zabrał ze sobą swojego zaufanego. Zieliński uczestniczył we wszystkich kluczowych operacjach tamtejszego UB, działał jako agent terenowy, rewidował, przesłuchiwał i strzelał, biorąc udział w akcjach bojowych. Wkrótce wnioskowano o kolejną nagrodę dla niego, tym razem za „zranienie dwóch bandytów" z oddziału NSZ „Wędrowiec". Prawdopodobnie to właśnie Zieliński przesłuchiwał osobiście ostatniego dowódcę oddziału „Wędrowca", Pawła Heczko ps. „Edek"[1], jak również rewidował, ograbił i spalił jego dom w Brennej. Ostatecznie, gdy późnym latem 1946 roku w Katowicach przygotowywano finał operacji „Lawina", Leon Wajntraub bez wahania zabrał ze sobą Zielińskiego, jako najbardziej zaufanego funkcjonariusza urzędu. Jego notowania były na tyle wysokie, że na czas akcji wyznaczono mu funkcję człowieka do zadań specjalnych. Wykonywać je miał wspólnie z bardziej doświadczonym funkcjonariuszem – Czesławem Gęborskim.

Ponury tandem

„Daty dokładnej nie pamiętam, ale było to na pewno latem 1946 roku, kiedy to ja i Wańtraub pojechaliśmy do UB w Katowicach na odprawę. Na tej odprawie poznałem również Gęborskiego Czesława, który pracował w Wydziale III WUPB w Ka-

towicach" – tak Zieliński relacjonował w 1994 roku prok. Nawrockiemu szczegóły tamtych wydarzeń. *„W toku narady powiedziano nam, że jedziemy na akcję na okres tygodnia. Nie mówiono ani na jaką akcję, ani dokąd, a jedynie, że jedziemy na zachód. (…) załadowano nas ok. 70 ludzi na dwa samochody ciężarowe z plandekami, marki Chewrolet z Ministerstwa Górnictwa. Na samochodzie było nas chyba 30 ludzi. Ubrani byli po cywilnemu, ja miałem na sobie wojskową bluzę »kanadyjkę« koloru khaki oraz wojskowe spodnie. Każdy z nas był uzbrojony, ja miałem granaty bojowe, pistolet maszynowy czeskiej produkcji oraz pistolet Wahlter »siódemkę«. Jechaliśmy drogą na Strzelce Opolskie i Opole. Że jedziemy na Opole to widziałem przez plandekę, przez szparę z przodu. Przejeżdżaliśmy przez Niemodlin, gdzie w zamku miał siedzibę PUBP. Dalej skręciliśmy na drogę, gdzie był kierunek Wrocław. Samochody jechały wąską drogą i zatrzymały się na takim pustkowiu. Nim samochody się zatrzymały, przejechaliśmy obok lotniska, które było po lewej stronie za nami niedaleko".* Po opuszczeniu samochodów, grupa funkcjonariuszy przeszła boczną drogą kilkadziesiąt metrów do samotnego poniemieckiego majątku, składającego się z kilku zabudowań gospodarczych i częściowo zniszczonego budynku głównego, gdzie przygotowano miejsce pułapki – kwatery dla mających przybyć wieczorem partyzantów NSZ. *„Pod wieczór, gdy było już ciemno, przyjechało około 40 Rosjan, ubranych w nowe granatowe ubrania, jasne koszule, krawaty, kapelusze oraz czarne półbuty. Każdy z nich miał przy sobie »pepesze«. Obok budynku, o którym wyżej zeznawałem, była chyba stajnia i tam spali Rosjanie. Myśmy spoczywali pod gołym niebem. Była wtedy ładna pogoda".* Nocleg przebiegł bardzo spokojnie, następnego dnia wszyscy funkcjonariusze UB i Rosjanie ukryli się w różnych zakamarkach poniemieckiego majątku. Na widoku pozostali jedynie specjalnie wybrani agenci – odgrywający rolę obstawy i miejscowych łączników NSZ. Po południu nadjechały ciężarówki. Partyzanci przemaszerowali na teren majątku. Wieczorem zasiedli do suto zakrapianej kolacji i poszli spać.

Henryk Wendrowski

Józef Czaplicki

Marek Fink

Stanisław Radkiewicz

Roman Romkowski

Nad ranem oczekujący w okolicznych zabudowaniach i ogrodzie funkcjonariusze, zaatakowali. Walka nie trwała długo. Rozebranych do naga jeńców prowadzono nad wykopany dół i każdemu strzelano w tył głowy. Wykonawcami mieli być Rosjanie. Zieliński twierdził, że nie mógł na to patrzeć i odszedł na bok, do ogrodu. Tam jednak słyszał odgłosy metodycznej egzekucji… Do dołu wrzucono również niemieckie znaki tożsamości, mające zmylić potencjalnych, przypadkowych odkrywców mogiły. Znaki tożsamości ułatwiały wzięcie zastrzelonych Polaków za niemieckich żołnierzy poległych w walkach bądź zabitych przez Armię Czerwoną. Wkrótce mogiłę zasypano, a uczestnikom akcji – za dobrze wykonaną robotę – wydano konserwy i chleb. Gdy się przejaśniło, Zieliński i Gęborski otrzymali pierwsze „zadanie specjalne". Główną drogą, biegnącą obok lotniska, nadjechał samochód osobowy marki Citroën. Przyjechał nim zastępca „Bartka" – Jan Przewoźnik ps. „Ryś". Wg wcześniejszych ustaleń, miał on prawdopodobnie przygotować i sprawdzić miejsce noclegu przeznaczone dla pierwszego transportu partyzantów. Wyruszył osobno z Gliwic, gdzie przebywał w konspiracyjnym mieszkaniu. Nie wiedział, że samochód którym miał dojechać na miejsce, został podstawiony i przygotowany przez kontrolujących całą grę agentów UB. Po przybyciu, na drodze przywitali go Gęborski wraz z Zielińskim, którzy odgrywali rolę członków opolskiego NSZ. Podali hasło, a „Ryś" właściwy odzew. Według Zielińskiego widać było, że z zastępcy „Bartka" opadło napięcie. Idąc drogą w kierunku majątku zwierzył się, jak bardzo denerwował się całą operacją. W dodatku miał

Władysław Śliwa

przyjechać dzień wcześniej, ale „coś nie wyszło". W połowie drogi „Ryś" zapytał się o podwładnych: – *czy dobrze się czują?* Odpowiedział mu Czesław Gęborski: – *chłopcy czują się świetnie i już na ciebie czekają*... po czym strzelił „Rysiowi" w tył głowy. Ciało upadło w kurz polnej drogi. Gęborski sprawnie chwycił martwego mężczyznę pod pachami, i przeciągnął kilkanaście metrów dalej, do specjalnie przygotowanego wcześniej dołu. Obszukał ciało zabierając ozdobny ryngraf, zegarek z busolą i pistolet „Vis", a następnie wrzucił partyzanta do mogiły. Po wykonaniu egzekucji dwójka funkcjonariuszy powróciła do majątku. Czekało już na nich kolejne zadanie.

W położonej w pobliżu wsi, milicjanci z miejscowego posterunku zatrzymali w nocy mężczyznę w koszuli flanelowej z podwiniętymi rękawami. Był to jeden ze starszych wiekiem NSZ-towców, 35-letni partyzant o nazwisku Cieślar. Uratował go przypadek, w nocy wszyscy napastnicy otrzymali białe opaski, aby odróżnić się od swoich ofiar. Cieślar miał podwinięte rękawy koszuli, które w nocy wzięto prawdopodobnie za opaskę, co umożliwiło mu przejście przez kordon. Kompletnie otumaniony zatrutą środkiem odurzającym wódką, nie był w stanie daleko odejść. Zatrzymany w pobliskiej wiosce już na pierwsze pytania milicjantów odpowiedział zgodnie z prawdą, że należy do oddziału NSZ „Bartka". Na polecenie Wajntrauba, Gęborski wraz z Zielińskim mieli nocny błąd naprawić. Gęborski doskonale znał teren, i był przygotowany na takiego rodzaju ewentualności. W trójkę przeszli kilkaset metrów na poniemieckie lotnisko. Cieślar był praktycznie nieprzytomny. Zieliński twierdził, iż *„gdy Gęborski poszedł z saperką pogłębić jeden z lejów po bombie, to ja pilnowałem Cieślara. Mówiłem mu żeby uciekał do pobliskiego lasu. Pozorowałem nawet, że się załatwiam i w tym celu spuściłem spodnie bo mu chciałem ułatwić ucieczkę, ale na nic się to zdało, gdyż on w ogóle nie kontaktował i tylko prosił żeby pozdrowić jego żonę i dzieci. Po chwili Gęborski zabrał Cieślara za barak gdzie uprzednio wykopał dół i tam go zastrzelił"*. Wracając z lotniska Gęborski miał jeszcze pokazać swemu towarzyszowi podminowany barak, oczekujący na drugą grupę partyzantów. Dopiero wtedy ponury tandem zameldował Wajntraubowi o wykonaniu zadania.

Po południu tego intensywnego dnia szef Zielińskiego zażądał, aby ten towarzyszył mu jako asysta przy podjęciu gości specjalnych. Wspólnie pojechali na lotnisko, gdzie wylądował samolot z sowieckimi oznaczeniami na skrzydłach i kadłubie. Z pokładu mieli zejść, wg zeznań Zielińskiego, urzędnicy z najwyższego możliwego szczebla władzy – sam Minister Bezpieczeństwa Publicznego gen. Stanisław Radkiewicz, i jego najbliżsi współpracownicy – wiceminister MBP Roman Romkowski, płk Józef Światło i dwóch radzieckich generałów. Przed nimi składał raport Leon Wajntraub. Po odebraniu meldunków i sprawozdania z przeprowadzonej akcji oficjele odlecieli, a Zieliński został wysłany z bardziej przyziemnym zadaniem. Funkcjonariusze przygotowujący kwaterunek dla drugiego transportu NSZ-towców zameldowali, że zabrakło wódki, którą zaprawiano specjalnym środkiem. Zieliński poszedł kilkanaście kilometrów do najbliższego Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie oczekiwało na niego pięć zalakowanych butelek, do których po przyniesieniu na teren majątku, wstrzyknięto odurzający środek. Po latach Zieliński twierdził, że wydarzenia których był świadkiem przerosły jego siły i zatruwały sumienie, chciał jak najszybciej się stamtąd oddalić. Zameldował Wajntraubowi, że ma chorobę skóry – świerzb syberyjski. *„Wańtraub śmiał się ze mnie i mówił, że pewno się boję tego co się tu dzieje i dlatego chcę wyjechać"*. Ostatecznie Zieliński, ponieważ faktycznie był chory, otrzymał zgodę na opuszczenie miejsca akcji i udania się na leczenie. Dużo później dowiedział się od Gęborskiego, że druga faza operacji – wysadzenie baraku z drugim transportem przeprowadzona została bez większych problemów.

Dzisiaj trudno ustalić, czy podane wyżej szczegóły były w pełni prawdziwe. Czy w operacji brali udział tajemniczy Rosjanie, wyglądający jak bohaterowie filmów o gangsterach z Chicago? Czy byli jedynie wytworem wyobraźni, odsuwającym wizję winy jaka spoczywała na funkcjonariuszach UB. A może ich wyróżniający się wygląd, tak nieprawdopodobny, był jednak prawdziwy? Czy rzeczywiście na lotnisku wylądowali generałowie i ministrowie MBP? Wiele pytań, żadnej odpowiedzi... Warto jednak zwrócić uwagę na dwie kwestie. Pierwsza, to fakt przeniesienia, w kilka miesięcy po akcji, Zielińskiego do PUBP w Gliwicach. Czyżby wskutek utraty pozycji „zaufanego człowieka" Wajntrauba? Po drugie, to co mówił o swoim towarzyszu – Gęborskim – w kontekście jego życiorysu wydaje się bardzo prawdopodobne. Czytając zeznania Jana Zielińskiego, porażają opisy z jaką łatwością Gęborski mordował ludzi. Likwidacja bezbronnego, półprzytomnego Cieślara świadczyła, że był pozbawiony wszelkich skrupułów, odarty z jakichkolwiek uczuć wyższych. Zastrzelenie uzbrojonego, doświadczonego w walce partyzanta, nawet z zaskoczenia, wymagało osobowościowych predyspozycji. Nie jest bowiem łatwo strzelić z pistoletu do poruszającego się człowieka, nawet w niewielkiej odległości. Gęborski użył, wg Zielińskiego, tylko jednej kuli, nie zatrzymując ofiary pod jakimkolwiek pretekstem, aby ułatwić sobie strzał. Zdaniem jednego z emerytowanych ekspertów wojskowych służb specjalnych, taką decyzję mógł podjąć tylko... niewyszkolony człowiek, który miał przy tym szczęście. Wydaje się, że istnieje również i druga możliwość. Mógł tego dokonać osobnik o cechach psychopatycznych. W przypadku Czesława Gęborskiego z pewnością mamy do czynienia z urodzonym zabójcą.

„Człowiek" do specjalnych poruczeń

Czesław Gęborski ur. się w Dąbrowie Górniczej w 1925 roku, był więc rówieśnikiem Zielińskiego, ale jego kariera i życie potoczyło się zupełnie innym torem. W czasie niemieckiej okupacji, w wieku 16 lat trafił do więzienia w Sosnowcu, a następnie do obozu pracy. 27 I 1945 roku, w chwili wkroczenia Armii Czerwonej przebywał w mysłowickim więzieniu. Kilka dni później został przyjęty do Milicji Obywatelskiej w Świętochłowicach. Dosyć szybko, już po miesiącu, awansował na stopień sierżanta, przechodząc odpowiednie kursy w Strzelcach Opolskich. Służył następnie w specjalnej jednostce MO przeznaczonej do „czyszczenia" zajmowanego terenu z niedobitków armii niemieckiej. W kwietniu 1945 roku został komendantem MO w Niemodlinie, pełniąc

praktycznie funkcję komendanta miasta. W lipcu tego samego roku otrzymał funkcję komendanta i zadanie zorganizowania, na terenie dawnego niemieckiego obozu w Łambinowicach, punktu przejściowego dla wysiedlanej ludności niemieckiej. Miejsce to szybko stało się niezwykle represyjnym obozem pracy, choć za drutami przebywali tu głównie zwykli cywile – niemieccy przesiedleńcy. Przez cały okres funkcjonowania obozu panował głód, szerzyły się choroby, które zabiły ponad tysiąc więźniów (z ogólnej liczby 5 tys.). Jednak sumienie komendanta Gęborskiego obciążały zbrodnie innego, cięższego wymiaru. Zwierzchnicy zareagowali dopiero w październiku 1945 roku, gdy na terenie obozu wybuchł pożar jednego z baraków. Podczas „próby ucieczki" w niejasnych okolicznościach śmierć poniosło 48 więźniów. Te „okoliczności" były tak obciążające, że Gęborskiego zawieszono, a następnie aresztowano. 15 października 1945 roku został zwolniony ze służby w MO. Jednak jego areszt szybko zyskał wymiar praktycznie symboliczny. W styczniu 1946 roku przebywał w dobrych warunkach na terenie budynku Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach. „Areszt" zakończył się w lutym 1946 roku... przyjęciem do pracy w organach WUBP w wydziale do walki z bandytyzmem. Od tego momentu rozpoczęła się jego długa kariera w aparacie represji. Sprawa pożaru baraku w Łambinowicach toczyła się jeszcze przez jakiś czas, prowadził ją zresztą były dowódca Gęborskiego z jednostki specjalnej MO w Strzelcach Opolskich. Ostatecznie, w 1947 roku została po cichu umorzona. Dopiero w 1957 roku wyszły na jaw makabryczne szczegóły. Dzięki inicjatywie odważnego i bezkompromisowego Wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej w Opolu Michała Stępniewskiego, wznowiono postępowanie w sprawie zabójstwa 48 osób, mającego miejsce na terenie obozu pracy w Łambinowicach w dniu 4 października 1945 roku. Byli strażnicy obozu przyznali, że barak został celowo podpalony, a żaden z osadzonych nie próbował uciekać. Ponadto w pobliżu baraku wykopano wcześniej dół na zwłoki. Był to jedynie początek. Gęborskiemu postawiono szereg ciężkich zarzutów. W wyjątkach aktu oskarżenia można przeczytać, że na terenie obozu komendant miał skatować, czym doprowadził do śmierci, co najmniej kilkanaście osób, w większości zwykłych niemieckich mieszkańców wsi Bielice, którzy trafili do obozu z pierwszą partią przeznaczoną do wysiedlenia. Nauczycielowi z tej miejscowości o nazwisku Wolf, który przeżył katowanie, kilka dni później Gęborski, wspólnie z zaufanym strażnikiem Ignacym Szypułą odpiłowali nogę. Nauczyciel zmarł. Wraz z Gęborskim oskarżono również ww. strażnika, którego przyprowadził do obozu nowy komendant. Wspólnie bili i zabijali nie tylko dorosłych, ale również kobiety w ciąży, a także dzieci. Gęborskiemu zarzucano konkretne sytuacje – strzelanie z pistoletu do kilkorga dzieci stojących przy mogile nieznanej kobiety. Dzieci zostały ranne, jedna z dziewczynek zginęła na miejscu. W innym przypadku oprawcy zwabili dzieci pod pozorem wydania mleka, po czym otworzyli ogień, zabijając na miejscu kilka z nich i raniąc inne. Jednak ulubionymi „celami" Gęborskiego byli przede wszystkim dorośli. Strzelał z pistoletu, głównie w głowę, z zaskoczenia, z rozmysłem. Rozkazywał również strzelać innym. Wybierał ofiary przypadkowo, czasem podczas porannych apeli, czasem o różnych porach dnia, w różnych częściach obozu. Płeć, wiek i dotychczasowe życie, ewentualna służba w Wehrmachcie, czy SS nie miały większego znaczenia. Zbrodniczą karierę zakończył akcentem, który wywołał reakcję przełożonych. Przygotowaniem masowej egzekucji pod pretekstem ucieczki i pożaru baraku. Proces zakończył się 18 kwietnia 1959 roku. Nie pomogła drobiazgowa praca prokuratora Stępniewskiego, Eugeniusza Baryłowicza i wsparcie Prokuratury Generalnej. Skład sędziowski, któremu przewodniczył sędzia Stanisław Krębski, całkowicie uniewinnił oskarżonych. W kuriozalnym uzasadnieniu powoływano się na zbiorową psychozę jakiej ulegli świadkowie, na nieścisłości w relacjach, trudne przeżycia oskarżonego Gęborskiego podczas okupacji, masowe odwoływanie zeznań przez innych strażników (przeciwko którym wszczęto uprzednio z urzędu śledztwo o składanie fałszywych zeznań).

13 lat wcześniej, w chwili gdy Czesław Gęborski brał udział w operacji „Lawina", miał na swoim koncie nie tylko bestialskie znęcanie się nad bezbronnymi więźniami. Od samego początku swojej służby w organach bezpieczeństwa działał jako człowiek do specjalnych poruczeń, czasem jako agent, czasem w akcji bojowej, a czasem jako likwidator. W raportach ppor. UB Wendrowskiego ps. Lawina", którego działalność opisana została w poprzednich odsłonach cyklu, Gęborski pojawia się prawdopodobnie jako agent operacyjny. Miał on pomóc wyjechać za granicę księdzu Rudolfowi Marszałkowi ps. „Opoka". Kapelan, który latem 1946 roku znalazł się w obozie „Bartka", był autentycznym wysłannikiem zagranicznych struktur NSZ, z zadaniem nawiązania kontaktu z centralą w kraju. Dzięki Wendrowskiemu, który działał pod przykrywką takiego właśnie przedstawiciela, ksiądz został nieświadomie wciągnięty do gry operacyjnej. Ustalono, że wyjedzie za granicę i po przekazaniu materiałów oraz spotkaniu z pozostającymi w strefie amerykańskiej przywódcami NSZ, wróci z hasłami, instrukcjami i kontaktami. Misja przebiegła pomyślnie. Eskortowany przez Gęborskiego ksiądz wyjechał, a następnie po kilkunastu tygodniach ponownie przekroczył granicę kraju. Został aresztowany, przesłuchany i zamordowany. Materiały i hasła przywiezione przez niego, posłużyły do kolejnych gier operacyjnych. Podczas operacji „Lawina" Gęborski z pewnością zyskał uznanie zwierzchników. Bezwzględny morderca, który potrafił, gdy zaszła potrzeba, działać pod przykrywką i prowadzić skomplikowane gry operacyjne. W jakich jeszcze operacjach brał udział? Z pewnością jego kolejne przydziały budzą zastanowienie. We wrześniu 1950 roku zostaje wykładowcą, a następnie kierownikiem Katedry Operacyjnej Szkoły Międzywojewódzkiej przy WUBP w Katowicach. Awansuje na stopień kapitana. Już po 1956 roku i zmianach popaździernikowych, gdy jego zwierzchnicy zmuszani byli do ustępowania bądź nawet aresztowani, nadal pozostaje w resorcie. Pełni funkcję oficera szkoleniowego, oficera operacyjnego lub pozostaje po prostu do „dyspozycji komendanta" Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach. Jakie obowiązki się za tym kryły? Nie dowiemy się chyba nigdy. Ostatecznie służbę w organach bezpieczeństwa zakończył w stopniu majora w kwietniu 1974 roku, mając na sumie-

niu być może jeszcze niejedną ponurą tajemnicę i zbrodnię okresu PRL-u.

Decydenci i wykonawcy

Oczywiście ani Gęborski, ani tym bardziej Zieliński, a nawet jeden ze sprawujących na miejscu komendę – Leon Wajntraub, nie byli odpowiedzialni za koncepcję i cel całej operacji. Decyzja o fizycznej likwidacji tak dużej grupy osób musiała zapaść na najwyższym ministerialnym szczeblu. Znajduje to potwierdzenie we fragmentach raportów Wendrowskiego, gdzie występują odwołania do konsultacji części posunięć z wiceministrem Romkowskim, a także w relacji Zielińskiego o wizycie prominentów na lotnisku w pobliżu miejsca zbrodni. W poprzednich numerach opisane zostały operacje o podobnym charakterze, choć mniejszej skali, gdzie aresztowano przerzucanych za granicę ludzi. Rozkaz zmieniający dotychczasowe postępowanie musiał zostać wydany na najwyższym szczeblu. Taki wniosek nasuwa się również z ogólnej analizy sytuacji w kraju i postępowania władz. Prawdopodobnie łańcuch dowodzenia i odpowiedzialności biegł od ministra Radkiewicza, poprzez Romkowskiego do Józefa Czaplickiego, dyrektora III Departamentu MBP, na którego biurko trafiały zapewne raporty Wendrowskiego. Stroną techniczną, siłą rzeczy, musieli zajmować się „miejscowi" czyli kierownik WUBP w Katowicach – Józef Kratko i jego zastępca Marek Fink, który pozostawał w ciągłym kontakcie z „Lawiną". Z pewnością duża rolę w przygotowaniach i realizacji odgrywali obdarzeni zaufaniem szefowie różnych PUBP – Wajntraub, czy Władysław Śliwa, jak również inni wyżsi oficerowie WUBP w Katowicach. Zieliński wymieniał z nazwiska kilku innych szeregowych funkcjonariuszy. W momencie gdy w latach 90. podejmowano pierwsze śledztwa główni decydenci: Romkowski i Radkiewicz już nie żyli. Nie udało się także odnaleźć i przesłuchać nikogo z drugiego szczebla: Władysław Śliwa zmarł w 1976, Józef Czaplicki w 1985 roku, Leon Wajntraub wyjechał do Kanady i ślad po nim zaginął. Podobnie Józef Kratko, który znalazł się w Izraelu. Żył jedynie Marek Fink, pod zmienionym nazwiskiem przebywał w Berlinie. Odmówił on przyjazdu i wzięcia udziału w przesłuchaniu, był ciężko chory, niedługo później prawdopodobnie zmarł. Gdy prowadzono pierwsze postępowania żyli jeszcze: Henryk Wendrowski, Jan Zieliński i… Czesław Gęborski. Wendrowskiego przesłuchano w 1993 roku. Potwierdził, iż brał udział w działaniach operacyjnych przeciwko grupie „Bartka", i wiedział o transportach. Zaprzeczył jednak, aby był poinformowany o miejscu, terminie i sposobie likwidacji grupy. O tym, że jeden z transportów został wysadzony w powietrze w zaminowanym baraku, dowiedział się od majora Śliwy długo po zakończeniu operacji. Według niego całą akcję zaplanował i wydał rozkaz wykonania wiceminister Romkowski. Czesława Gęborskiego udało się przesłuchać 9 lat później, podczas śledztwa prowadzonego przez IPN. Przesłuchanie nic nie wniosło. Gęborski powiedział, że przez cały rok 1946, a szczególnie latem, w czasie działań skierowanych przeciwko „Bartkowi", w ogóle nie opuszczał urzędu, bowiem… odbierał telefony.

W trakcie toczących się śledztw umierali ostatni świadkowie tamtych wydarzeń. Zieliński, Wendrowski, a ze strony partyzantów NSZ – nieliczni ci, którzy przeżyli czystki, jak Antoni Biegun ps. „Sztubak". W dalekiej Kanadzie umarł jedyny ocalały Andrzej Bujak, który przez cały czas trwania akcji likwidacji na terenie poniemieckiego majątku przesiedział w zakamarkach poddasza. Ostatnim, który odszedł był… Czesław Gęborski. Zmarł 14 czerwca 2006 roku w trakcie trwania procesu w sprawie śmierci więźniów obozu w Łambinowicach. CDN.

Dziękuję za pomoc i współpracę prof. Wiesławowi Nawrockiemu oraz dr. hab. Krzyszfowi Szwagrzykowi.

O tragicznym losie oddziału „Bartka" pisaliśmy w „Odkrywcy" w nr: 3, 6, 8/2009, 11/2012, 2/2013.

Przypis:

[1] Paweł Heczko ps. „Edek", „Waryński", „Lampart" dowodził oddziałem AK „Wędrowiec" w 1944/45 roku. Po rozwiązaniu oddziału zebrał ponownie grupę swoich podkomendnych i działając już pod szyldem NOW i NSZ kontynuował walkę, tym razem z komunistyczną władzą. Oddział został rozbity w krwawych walkach. Heczko został aresztowany w wyniku zdrady. Razem z kilkoma towarzyszami został skazany na śmierć. Wyrok wykonano w sierpniu 1946 roku.

Literatura

1 „Zagadnienie walki z bandytyzmem 1946 r.", IPN BU 0297/43/89
2. S.M. Jankowski „Operacja Lawina" [w:] „Zeszyty Katyńskie 1999", nr 10
3. T.M. Nowak „Operacja »Lawina« – Dzieje przemilczanej zbrodni UB", Opole 2012
4. Protokół przesłuchania J. Zielińskiego z 1994 r. dołączony do akt śledztwa prowadzonego przez IPN.

REKLAMA

Śladami brytyjskiej misji „Freston"

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA

W nocy z 26 na 27 grudnia 1944 roku na ziemiach okupowanej Polski wylądowali członkowie brytyjskiej misji wojskowej „Freston". Zrzucono ich na obszar Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Prawdopodobnie miała to być jedna z trzech misji, jednak pozostałych dwóch nigdy nie zrealizowano. Co dziwne, Komenda Główna AK wyraźnie nie chciała tego zrzutu. Nie ma też pewności, czy Brytyjczycy powiadomili o niej Sowietów. Najprawdopodobniej nie. Dlaczego?

Brytyjska misja wojskowa o kryptonimie „Freston" została przygotowana przez SOE[1]. Dowodził nią płk Duane Tyrrel Hudson[2] (ps. „Bill"), a w jej skład weszli doświadczeni wywiadowcy: mjr Peter R.C. Solly-Flood[3], mjr Peter Kempa[4], kpt. Antoni Pospieszalski[5] (ps. „Łuk", „Profesor") i łącznościowiec sierż. C.I.M. Donald Galbraith[6]. Wylądowało ich pięciu, choć szóstym członkiem misji był kpt. Alan Morgan. Jednakże przed odlotem z Brindisi Morgan źle się poczuł, nie ryzykowano więc jego udziału. Pozostał na miejscu. O przygotowaniach do misji można znaleźć informacje w opracowaniu poświęconym historii życia polskiej agentki Krystyny Skarbek-Giżyckiej[7]. Jej życiowy partner Andrzej Kowerski[8], podobnie jak ona agent SOE, przygotowywał we Włoszech do misji specjalnych wielu agentów. Krystyna po wykonaniu misji we Francji 21 XI 1944 r., w mundurze ofic era RAF-u, przybyła do Włoch. Brytyjczycy szykowali się tam do przeprowadzenia własnej misji wojskowej na ziemiach okupowanej Polski, która miała składać się z trzech zespołów. Do kraju poleciał tylko pierwszy zespół (misja „Freston"). W drugim, mieli polecieć Kowerski i prawdopodobnie Krystyna, która miała pełnić rolę łączniczki pomiędzy trzema załogami.

Pomysł misji narodził się na początku 1944 r., kiedy to premier polskiego emigracyjnego rządu Stanisław Mikołajczyk zaniepokojony wkraczaniem na ziemie polskie oddziałów Armii Czerwonej, skierował do premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla i chargé d'affaires USA list z propozycją wysłania do Polski brytyjsko-amerykańskiej misji wojskowej. Celem było nawiązanie kontaktu z władzami prolondyńskiego podziemia. Inicjatywę poparł Wódz Naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski, kierując w tej sprawie, w lutym i marcu 1944 r., pisma do premiera Mikołajczyka. Wódz Naczelny postulował, aby owa misja zdobyła informacje o rzeczywistej sytuacji na ziemiach polskich, dokonała pełnego rozeznania co do aktualnych sił i potencjału AK oraz możliwości zaopatrzenia jej w materiały wojenne. W związku z tym emisariusze musieli podjąć współpracę z Komendą Główną AK, jak również z Delegaturą Rządu na Kraj. Na propozycję polskiego premiera rządy Wielkiej Brytanii i USA w kwietniu 1944 r. udzieliły odmownej odpowiedzi. Jednakże już 6 VII 1944 r. powrócono do tej kwestii, gdy po rozmowie z Prezydentem RP Władysławem Raczkiewiczem premier St. Mikołajczyk zobowiązał się do złożenia ponownej propozycji misji, co uczynił 18 lipca wobec premiera Winstona Churchilla i 20 lipca wobec prezydenta USA F.D. Roosvelta. Brytyjczycy, choć wyraźnie obawiali się stanowiska Sowietów, niespodziewanie wzięli inicjatywę w swoje ręce, wyłączając praktycznie Amerykanów

Płk Duane Tyrrel Hudson. Źródło: www.leopoldokulickilegungenkomendant.blogspot.com

Mjr Peter R.C. Solly-Flood. Źródło: www.leopoldokulickilegungenkomendant.blogspot.com

Mjr Peter Kemp. Źródło: www.leopoldokulickilegungenkomendant.blogspot.com

Kpt. Antoni Pospieszalski. Źródło: www.ziemiaczestochowska.fora.pl

Sierż. C.I.M. Donald Galbraith. Źródło: www.leopoldokulickilegungenkomendant.blogspot.com

Członkowie misji „Freston" (jeszcze z Morganem) przed odlotem z Brindisi. Pierwszy od lewej Pospieszalski, drugi od prawej Hudson. Pozostali, to prawdopodobnie: w dole pierwszy od prawej Morgan, drugi Kemp, stojący pierwszy od prawej Solly-Flood, drugi od lewej Donald Galbraith. Źródło: www.leopoldokulickilegungenkomendant.blogspot.com

z gry. Widać już było wyraźnie, jak wielki rozdźwięk panuje pomiędzy dotychczasowymi sojusznikami. Z drugiej strony nieinformowanie Amerykanów o misjach SOE było brytyjską praktyką. Tymczasem Polakom zależało na udziale Amerykanów, zapewne nie bez powodu. Pamiętajmy, że działo się to jeszcze przed wybuchem Powstania Warszawskiego, po którym sytuacja AK uległa wyraźnemu pogorszeniu. 5 października szef brytyjskiego SOE powiadomił zastępcę szefa Sztabu Naczelnego Wodza do Spraw Krajowych gen. brygady Stanisława Tatara, że Brytyjczycy mają zamiar wysłać taką misję, prosząc jednocześnie, aby do jej składu oddelegować polskiego oficera, który miałby za sobą doświadczenie w pracy w okupowanym kraju. Wynikało z tego, iż Brytyjczykom bardzo zależało na wykonaniu misji. Bez wątpienia na ich decyzję miało wpływ Powstanie Warszawskie. 7 X 1944 r. gen. Tatar wysłał zaszyfrowaną depeszę do dowódców krakowskiego i kieleckiego okręgu AK, w której zawiadamiał, że brytyjska misja przybędzie do jednego z nich. W depeszy zawarł również informację, że Brytyjczycy mają pozostać przy AK, nawet w razie zajęcia tych terenów przez Sowietów. Tak się jednak nie stało. W tym czasie szef Oddziału IV Sztabu Naczelnego Wodza płk Marian Utnik, specjalną depeszą nadaną 19 października, poinformował dowódców okręgów krakowskiego i łódzkiego, że wysyła do kraju misję „Freston". Jednocześnie sprecyzował jej zadania: obserwacja działalności AK, meldowanie władzom brytyjskim o sytuacji, planach, nastrojach i potrzebach AK, ze szczególnym zwróceniem uwagi na związki panujące między AK, a innymi konspiracyjnymi zgrupowaniami partyzanckimi, a także stosunek AK do Armii Czerwonej. Płk Utnik zaznaczył, że misja będzie podlegała władzom brytyjskim, ale administracyjnie ma zostać przydzielona do KG AK, czyli miała stale przebywać przy Komendancie Głównym. W razie przejęcia tych terenów przez wojska rosyjskie, członkowie misji mieli nadal pozostać przy dowódcy AK i czekać na dalsze instrukcje, które miały nadejść z Wielkiej Brytanii. Zaznaczono, że członkom misji nie wolno brać udziału w żadnych walkach (poza obroną własną), oraz że misja będzie posiadać własne środki łączności. Tak sprecyzowane cele misji prawdopodobnie nie spodobały się ówczesnemu Komendantowi Głównemu AK gen. Leopoldowi Okulickiemu (ps. „Niedźwiadek"), stąd jego sceptyczny do niej stosunek. Pomimo tego, 28 października gen. Tatar poinformował „Niedźwiadka", że misja „Freston" gotowa jest do drogi. Ten odpowiedział, że owszem, przybycie misji jest pożądane, jednak AK dysponująca szczupłymi siłami nie będzie w stanie zapewnić jej pełnego bezpieczeństwa. I miał w tym sporo racji, bowiem w drugiej połowie listopada 1944 r. Niemcy, którzy chwilowo ustabilizowali linię frontu, ściągnęli znaczne siły do czyszczenia swojego zaplecza. W rejonie planowanego zrzutu dochodziło więc do częstych potyczek oddziałów AK z Niemcami. „Niedźwiadek", podobnie jak Delegat Rządu na Kraj Jan Stanisław Jankowski, wyraźnie próbował opóźnić przybycie misji, prawdopodobnie kierując się jej polityczną szkodliwością. Wydaje się, że w okresie od 21 X do 24 XI 1944 r. Brytyjczycy z niejasnych powodów również nie kwapili się z wysłaniem swoich agentów.

Obszar, na który zrzucono członków brytyjskiej misji wojskowej „Freston" to duży kompleks leśny, na którym oddziały AK od dawna miały dość dużą swobodę ruchu. Podczas okupacji w odległych Żarkach stacjonowała tam tylko niemiecka żandarmeria, która nie radziła sobie ze wszystkimi problemami[9]. Jednak pod koniec 1944 r., w związku z planowaną sowiecką ofensywą, Niemcy zaczęli ściągać w ten rejon coraz więcej jednostek regularnej armii. Dbali o swoje zaplecze, więc starali się likwidować zagrażające im oddziały partyzanckie. Tym samym wybór miejsca lądowania nie był zbyt trafny.

Członkowie misji „Freston" już od 14 X 1944 r. oczekiwali we włoskim Brindisi na rozkaz odlotu. Podobno wylecieli 21 października, ale zawrócili z powodu złej pogody. Kolejny odlot zaplanowany na 18 listopada również się nie odbył – niesprzyjające warunki atmosferyczne. Podobnie było 24 lub 25 grudnia. Na ziemiach polskich organizacją przygotowań do przyjęcia misji kierował Cichociemny, płk pilot Roman Rudkowski (ps. „Rudy"), szef Wydziału Lotnictwa KG AK. Tymczasem 23 XII 1944 r. pchor. Leszek Cetner (ps. „Ryś") otrzymał od mjr. Franciszka Blicharskiego (ps. „Krzem"), szefa sztabu I Oddziału Organizacyjnego Okręgu AK „Jodła" dziwny rozkaz. W Wigilię 1944 r. miał się zgłosić na zapleczu dworca kolejowego w Koniecpolu, ubrany w mundur polskiej służby leśnej

Pałac Raczyńskich w Złotym Potoku. Fot. Autor.

z opaską „Deutscher Fortschutz" na ręku. Miał czekać na pociąg z Częstochowy. Jego mundur i opaska były znakiem rozpoznawczym. „Ryś" nie wiedział kogo ma oczekiwać. Gdy pociąg przyjechał, zgłosił się do niego niepozorny, ubrany po cywilnemu mężczyzna w średnim wieku. Wymieniono hasła. Wszystko się zgadzało. Zgodnie z rozkazem „Ryś" zawiózł przybysza do majątku Oleszno będącego własnością państwa Niemojowskich. Jechali bryczką poruszając się polnymi drogami, bo rozkaz zabraniał korzystania z głównych dróg. Gdy dotarli na miejsce, mężczyzna został przejęty przez patrol AK dowodzony przez Mieczysława Tarchalskiego (ps. „Marcin"), dowódcę I Batalionu z 74. pp wchodzącego w skład częstochowskiej 7. Dywizji AK. Gdy „Ryś" powrócił do swojego sztabu dowiedział się, że jego pasażerem był Komendant Główny AK gen. Leopold Okulicki.

W majątku Oleszno „Niedźwiadek" zatrzymał się w istniejącym do dzisiaj pałacu, choć stan tej budowli alarmuje. Jednocześnie w pobliskich lasach dokonał inspekcji 74. pp AK. W pałacu miała miejsce partyzancka Wigilia. Lecz „Niedźwiadek" nie znalazł się tutaj, by odpoczywać czy też świętować. Przyjechał spotkać się z uczestnikami misji „Freston". Musiał na nich zaczekać. Zakładał, że członkowie misji zostaną przydzieleni do KG AK. Liczono się z tym, że do kraju przybędą kolejne misje, które miały być skierowane do innych okręgów AK. Nie spodziewano się, że na zespole „Freston" wszystko się zakończy.

Misja „Freston" odbyła się bez zgody, a prawdopodobnie także wiedzy Sowietów, jak również wbrew stanowczym protestom „Niedźwiadka", który zapewne zrozumiał, o co tak naprawdę chodziło Brytyjczykom. Co prawda oficjalnym celem misji było przyjrzenie się oddziałom AK, nieoficjalnie jednak, za pomocą swoich agentów, Wielka Brytania chciała poznać aktualną kondycję i potencjał AK. Tym samym chcieli zdobyć informacje, czy rozbite Powstaniem Warszawskim AK (KG AK rezydowało w Częstochowie) stwarza jeszcze jakiekolwiek zagrożenie dla Sowietów. Pamiętajmy, że wcześniej AK realizowało wymierzony przeciwko Sowietom plan „Burza", który dla władz brytyjskich był sporym utrapieniem. Członkowie misji „Freston" mieli również zebrać dane o oddziałach NSZ, a także o wzajemnych kontaktach AK, NSZ i AL. Zdobyte informacje miały być podstawą brytyjskiego raportu na temat polskiego podziemia przygotowanego na konferencję Wielkiej Trójki w Jałcie. Tajemnicą pozostaje, dlaczego częścią zdobytych przez misję „Freston" informacji dysponowali później Sowieci.

Dwór Krasińskich w Złotym Potoku. Fot. Autor.

Pałac w Olesznie. Fot. Autor.

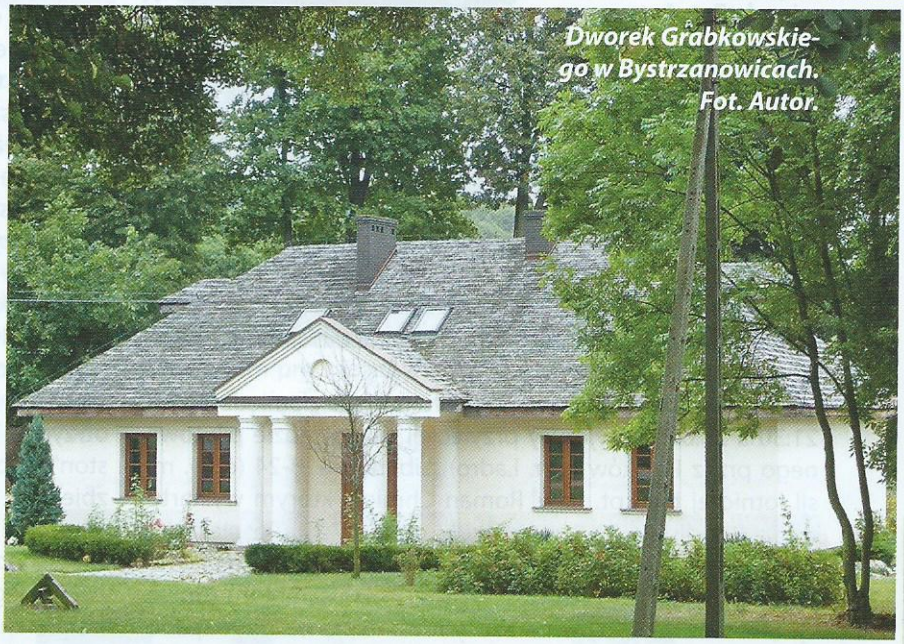

Dworek Grabkowskiego w Bystrzanowicach. Fot. Autor.

Według raportu kpt. Antoniego Pospieszalskiego zrzut misji „Freston" odbył się w nocy z 26/27 XII 1944 r. (choć w innych opracowaniach można spotkać datę 27/28 XII). Jako miejsce zrzutu najczęściej podawane są okolice miejscowości Złoty Potok, znanej z istniejącego do dzisiaj pałacu hr. Edwarda Aleksandra Raczyńskiego (1847-1926; ojciec Edwarda Raczyńskiego, Prezydenta RP na uchodźstwie), a także pobliskiego dworku, w którym mieszkał znany polski poeta Zygmunt Krasiński (teść hr. Edwarda). Z kolei Pospieszalski raportował, że zrzut nastąpił w rejonie wsi Bystrzanowice, kolonii Huciska, na tzw. Kaczych Błotach. Natomiast mieszkańcy Bystrzanowic, z którymi rozmawiałem, wspominają, że zrzut nie nastąpił na Kaczych Błotach (może był tam jedynie planowany), ale po drugiej stronie Bystrzanowic. Cała grupa miała wylądować w rejonie bystrzanowickiego dworu, a jeden z nich (prawdopodobnie właśnie Pospieszalski) wylądował trochę da-

Sekursko, dom Wojtasińskich...

... i jego zrujnowane wnętrze. Fot. Autor.

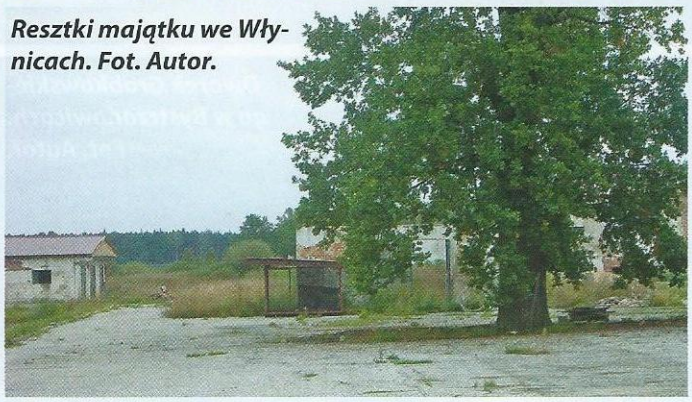

Resztki majątku we Włynicach. Fot. Autor.

lej, w pobliżu wsi. Lądowanie miało miejsce pomiędzy godz. 21:30 a 23:00. Brytyjczycy przylecieli na pokładzie pilotowanego przez Polaków (por. Ladro) „Liberatora" B-24 (dow. misji lotniczej był kpt. naw. Roman Chmiel), którym wystartowali z Brindisi 26 XII 1944 r. około godz. 17:13 (Pospieszalski wspominał, że wylecieli ok. 16:00, na miejsce dotarli ok. 22:00). Operacja miała zakończyć się lądowaniem samolotu (operacja „Most IV"), ostatecznie zdecydowano się na zrzut spadochronowy. Był to rejon działania placówki AK o kryptonimie „Ogórek", a operacji odbioru skoczków nadano kryptonimy: „Syrena" i „Odwet". Zrzut przyjmował ppor. Aleksander Szczepański (ps. „Kier"). Podczas lądowania Hudson i Kemp potłukli się na zamarzniętej ziemi, a Pospieszalski wylądował na polu daleko od swoich towarzyszy. Dopiero stąd grupa brytyjskich skoczków, ubezpieczana przez patrol AK z 6. kompanii z 27. pp, miała dotrzeć do Żarek, w rejon nadleśnictwa Gidle. Były to oddziały „Ponurego" i por. Józefa Koteckiego (ps. „Warta"), do których dołączył dowódca pułku mjr Franciszek Polkowski (ps. „Korsak") i dowódca batalionu kpt. Stanisław Sojczyński (ps. „Warszyc"). Odbiorem zrzutu kierował por. Franciszek Makuch (ps. „Roman"), a zakwaterowaniem i ochroną członków misji zajął się komendant podobwodu AK por. Jan Dzitkowski (ps. „Drużba"). Mieszkańcy Bystrzanowic wspominają, że Pospieszalskiego znaleźli Piotr Derka i Łukasz Guła (z Bystrznowic). Jeden z mieszkańców nawet zapamiętał hasło „Michał". Podobno Pospieszalski lądując uszkodził sobie nogę. Reszta grupy wylądowała w rejonie istniejącego do dzisiaj dworu w Bystrzanowicach, którego ówczesnym dzierżawcą był związany z AK ziemianin Zygmunt Grabkowski. Chwilę później do grupy przyprowadzono kulejącego Pospieszalskiego. Podobno prowadzący go mieszkańcy Bystrzanowic po drodze natknęli się na „leśnych" z oddziału „Szarego", którzy ponoć nie wiedzieli o całej misji. W dworku Grabowskiego nie zabawili długo. Posilili się, ogrzali i ruszyli w dalszą drogę. Ochraniani przez oddział osłonowy AK wyposażony w dużą ilość broni maszynowej, a nawet przeciwpancerne brytyjskie PIAT-y, ruszyli w rejon lasów koło Radomska. Podobno tym oddziałem dowodził Florian Budniak (ps. „Andrzej"). AK-owcy obawiając się, że Niemcy mogli dowiedzieć się o misji, chcąc uniknąć pościgu, a także ewentualnej pacyfikacji pobliskich wsi, ruszyli w drogę pod osłoną nocy. W pobliskiej leśniczówce po raz pierwszy dali znać o swoim wylądowaniu. Pospieszalski wspominał, że członkowie misji byli wyposażeni w dwa aparaty A5 i dużą maszynę 20 W, której nie zdążyli użyć, bo wpadła w ręce Niemców. Przemieszczali się bocznymi, polnymi i leśnymi drogami, wykorzystując konny tabor dostarczony przez inż. Władysława Gieysztora, administratora pobliskiego majątku Cielętniki, członka sławnej polskiej rodziny arystokratycznej. Kierowali się na miejscowości: Przyrów, Dąbrowa Zielona, Cielętniki, Sekursko, Żytno, Gidle i Kobiele Wielkie. Przemieszczali się w nocy, a za dnia odpoczywali. Podobno w okolicach Złotego Potoku pozostawiono gdzieś w leśnej kryjówce jeden z nadajników. Teren, na którym się znajdowali, naszpikowany był niemieckimi oddziałami. W Sekursku zatrzymali się w domu Wojtasińskich – obecnie budynek znajduje się w stanie rozpadającej ruiny. Przebywali również w majątku Włynice, po którym dzisiaj zostały już tylko resztki zabudowań gospodarczych. W końcu dotarli do Katarzynowa. Podobno przez całą drogę Pospieszalski nie zdradził się, że jest Polakiem. Zresztą taki miał rozkaz. Gdy płk Utnik otrzymał informację o bezpiecznym wylądowaniu misji „Freston", poprosił „Niedźwiadka", by ten umożliwił jej członkom zbieranie potrzebnych informacji i kontakt z podziemnymi władzami politycznymi. Okulicki był wściekły. Miał pretensje, że w Londynie, w Sztabie Naczelnego Wodza, nie wzięto pod uwagę jego wcześniejszych zastrzeżeń. Przebywając w majątku Oleszno ruszył na spotkanie członków misji „Freston". Ci natomiast zostali zakwaterowani w Katarzynowie, w istniejącym do dzisiaj i praktycznie z zewnątrz niezmienionym dworku państwa Dembowskich (Dębowskich), którym udało się przeżyć wojnę. Tu przez jeden dzień członkowie misji odpoczywali. A właściwie nie do końca, gdyż w dworku pojawiali się kolejni oficerowie AK[10], prowadząc z nimi długie rozmowy. Brytyjczycy korzystali z pomocy AK-owskich tłumaczy, por. Szymona Zaremby (ps. „Jerzy") i kpt. inż. leśnika Aleksandra Zielińskiego (ps. „Władysław"). Pospieszalski nadal nie ujawniał, że jest Polakiem.

Dworek państwa Dembowskich w Katarzynowie – przednia fasada…

… i tylna ściana. Fot. Autor.

Z dworku w Katarzynowie prowadzili ożywioną łączność drogą radiową z Londynem, przekazując zdobyte w trakcie rozmów informacje. AK-owcy nie znali ich treści. Całkiem prawdopodobne, że w tym momencie namierzyli ich Niemcy.

Zbliżała się Noc Sylwestrowa, więc postanowiono to uczcić. Urządzono uroczyste spotkanie opłatkowe, podczas którego płk Hudson wygłosił patriotyczne przemówienie, w którym zawarł dwa zdania w języku polskim. Choinkę udekorowano świecami i symbolami Polski Walczącej. Było tyle osób, że część stała w drzwiach lub w sąsiednim pokoju. Wewnątrz panował biesiadny nastrój, na zewnątrz czuwała obstawa. Śpiewano kolędy, a także różne pieśni partyzanckie. Wznoszono toasty nie przesadzając jednak z ilością wypitego alkoholu. Przyjęcie skończyło się po północy toastem „Za przyjaźń polsko-angielską" i złożeniem sobie noworocznych życzeń. Wyżsi oficerowie AK rozjechali się do swoich leśnych kwater, pozostali udali się na odpoczynek. Członkowie misji nocowali w dworku Dembowskich. Zarządzono również zmianę warty oddziałów osłonowych. Ogółem członków misji osłaniało około 45-ciu żołnierzy AK. Podobno w oddziale osłonowym AK, oprócz członków misji, znajdowało się jeszcze sześciu cudzoziemców (dwóch Anglików i czterech Rosjan), uciekinierów z obozów jenieckich w Łambinowicach (niem. Lamsdorf) i Częstochowie.

1 I 1945 r. doszło do niespodziewanej tragedii. Dzień był bardzo mroźny, ale pogodny. Nic nie zapowiadało, że nadchodzi nieszczęście. Około godz. 8:00 patrol AK zameldował o szybkim zbliżaniu się niemieckiej kolumny zmotoryzowanej. Były to 3 lub 4 czołgi, ciężarówki i transportery opancerzone oraz motocykliści. „Warta" wspominał, że były to dwie kompanie niemieckiej policji wsparte 5 czołgami z jakieś jednostki. Trudno powiedzieć, czy był to Wehrmacht czy Waffen-SS. Niemcy zdawali się dokładnie wiedzieć, gdzie się kierują. Prawdopodobnie namierzyli nadajnik, z którego korzystali członkowie misji. Wszystkich postawiono w stan pogotowia. Trzeba się było szybko wycofać. Płk Hudson zarządził zniszczenie radiostacji i szyfrów oraz spalenie dokumentów. Chciał się poddać Niemcom, na co nie zgodził się „Warta" argumentując, że Brytyjczycy zostaną wzięci do niewoli, ale wszyscy AK-owcy rozstrzelani. Płk Hudson uległ i podporządkował się AK-owcom. Wywiązała się walka, w której AK-owcy ponieśli straty, a członkowie misji stracili cały swój ekwipunek, zachowując jeden aparat A5. Żołnierze AK najpierw rozpoczęli ostrzał czołgów z PIAT-ów. Nie trafili, uszkodzili jednak lufę jednego z nich. Niemcy rozpoczęli szaleńczy ostrzał z karabinów maszynowych. *„Zajęliśmy stanowisko w przesiece, mając dobre pole ostrzału w kierunku zabudowań folwarcznych, gdzie znajdowały się czołgi. Karabin maszynowy umieściliśmy na małym kopczyku i stąd rozpoczęliśmy ostrzeliwanie Niemców wyskakujących z transporterów. Odległość npla ok. 80-100 m. Widziałem padających Niemców, być może zabitych lub tylko rannych. Nieprzyjaciel rozpoczął na oślep huraganowy ogień, ostrzeliwując lizjerę lasu, tam gdzie była nasza pozycja. Nagle celowniczy karabinu maszynowego, plutonowy »Newada« zsuwa się z kopczyka. Karabin wypada mu z rąk. Chcę wyręczyć celowniczego, ale widzę roztrzaskany zamek. Ściągam rannego ze stanowiska, ma rozpruty cały brzuch i tryska krwią. W tym momencie dostaję serię w okolicach pasa. Na szczęście kule bokiem rozwaliły ładownicę, nie raniąc mnie"* – relacja kpr. Mirosława Gaczkowskiego (ps. „Józef"), dowódcy drużyny AK. Niemcy strzelając z czołgów zapalili kilka sąsiednich stodół, czym właściwie przysłużyli się AK-owcom. Powstało sporo dymu, który utrudnił wrogom prowadzenie ognia, a ochronie misji pozwolił na wycofanie się. Tym razem wszystkim udało się uciec. Pamiątką

Kompania ochrony AK brytyjskiej misji „Freston". Źródło: www.leopoldokulickilegungen-komendant.blogspot.com

Jacków, leśny pomnik. Fot. Autor.

Grób kaprala „Newady" w Katarzynowie. Fot. Autor.

po tym wydarzeniu jest pomnik poległego kpr. Janusza (ps. „Newada"), który stoi w Katarzynowie.

2 stycznia misja „Freston" znalazła się w Jackowie, leśnej gajówce, która jeszcze we wrześniu 1944 r. została spalona przez Niemców. Dzisiaj po tej osadzie nie ma już śladu oprócz samotnego pomnika, który stoi w środku lasu. Prawdopodobnie w Jackowie uczestnicy misji „Freston" spotkali się z płk. Romanem Rudkowskim, szefem sztabu Wydziału Lotnictwa Oddziału III sztabu KG AK. Następnego dnia misja dotarła do leśniczówki „Zacisze" w miejscowości Popielarnia niedaleko Jackowa. Obecnie nie znajdziemy już tego budynku. Całkiem niedawno został rozebrany i przeniesiony do miejscowości Silpia, gdzie miał być powtórnie złożony, ale już do tego nie doszło. Podobno leży w częściach na podwórku człowieka, który go kupił. W Popielarni pozostał po nim tylko fundament i stara studnia. W tamtych czasach właścicielką leśniczówki „Zacisze" była p. Malewska, żona Jana Tadeusza Malewskiego (1905-1989; ps. „Strasz"). Jan był właścicielem Popielarni, gdzie Malewscy mieli swój pałacyk. Obecny budynek leśniczówki został wybudowany w 1948 roku. 3 stycznia w leśniczówce „Zacisze" doszło do spotkania członków misji „Freston" z „Niedźwiadkiem". Rozmowy trwały kilka godzin. Teren, na którym odbyło się spotkanie zabezpieczał oddział por. Karola Kutnickiego (ps. „Kruk") z 27. pp AK. Wiadomo, że gen. Okulicki zapoznał płk. Hudsona z położeniem AK, z ogólną sytuacją polityczną i antysowieckimi nastrojami oraz uzgodnił z nim dalszą współpracę. Wiadomo również, że w trakcie rozmowy płk Hudson poprosił „Niedźwiadka", aby ten odwołał planowany w Londynie zrzut, na teren krakowskiego okręgu AK, kolejnej brytyjskiej misji o kryptonimie „Flamstead". Dokładny przebieg tej rozmowy nie jest znany. Po spotkaniu z członkami misji „Niedźwiadek" przeprowadził inspekcję lokalnych oddziałów partyzanckich AK (27. pp), podczas której wręczył wiele odznaczeń. Później członkowie misji znaleźli się w Rędzinach, w Jackowie i ponownie w Rędzinach, aż trafili do Żytna. W ciągu kolejnych dni doszło do kilku starć oddziału AK „Warty" z niemieckimi oddziałami wojskowymi. Gdy 12 I 1945 r. ruszyła sowiecka ofensywa, wiadomo było, że teren działania misji dość szybko może znaleźć się w rękach Sowietów. 17 stycznia w rejonie wsi Rędziny oddział AK dowodzony przez „Wartę" został rozformowany. Prawdopodobnie stało się to zaraz po odejściu członków misji „Freston". Okoliczne obszary były już opanowane przez Sowietów. Zgodnie z nową instrukcją, uczestnicy misji „Freston" po wykonaniu swojego zadania w dniu 17 stycznia dotarli do Żytna. Tam aresztowało ich NKWD. Postąpiono inaczej niż początkowo planowano, widać Brytyjczycy właśnie takie mieli rozkazy. Prawdopodobnie premier Churchill obawiał się zarzutów ze strony Sowietów – szpiegowania ich przez SOE oraz tajnych pertraktacji z polskim prawicowym i antykomunistycznym podziemiem. Co ciekawe, członków misji było… sześciu, choć przecież zrzucono ich pięciu. Jako szóstego członka misji podano por. Szymona Zarembę z AK, zabraniając mu odzywać się do Sowietów. Tym samym Brytyjczycy przekazali Rosjanom informację o sześcioosobowej grupie skoczków.

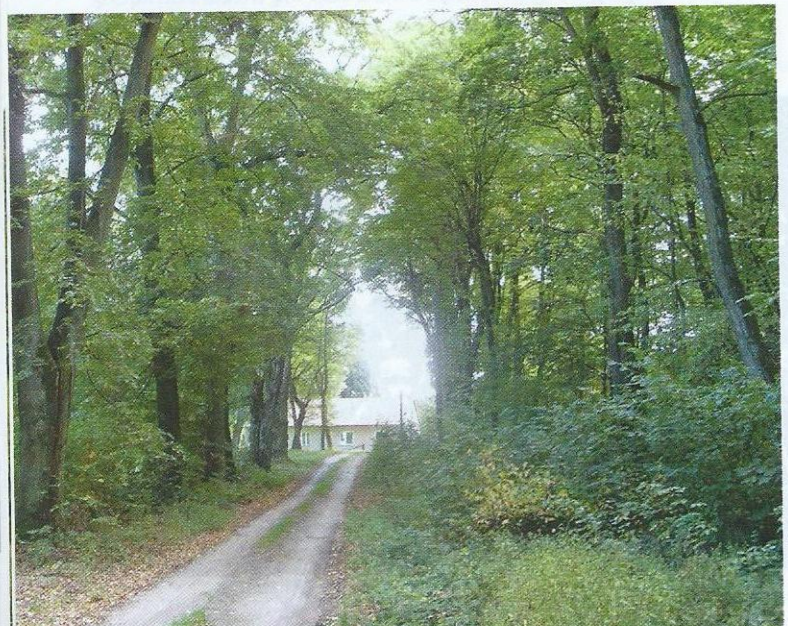

Leśniczówka w Popielarni. Fot. Autor.

25 stycznia członkowie misji trafili do częstochowskiego więzienia. Podobno umieszczono ich wraz z osadzonymi tam Niemcami, w tym z funkcjonariuszami Gestapo. Dzięki usilnym staraniom ambasady brytyjskiej w Moskwie po trzech tygodniach zostali wypuszczeni. 12 II 1945 r. przewieziono ich do Brytyjskiej Misji Wojskowej w Moskwie. Stamtąd, ze zdobytymi informacjami, przez Odessę i Bliski Wschód dotarli do Wielkiej Brytanii, ale nie zdążyli na czas, przed Jałtą. Jedynie kpt. Antoni Pospieszalski przedostał się do Londynu inną drogą w lecie 1945 roku.

Potocznie uważa się, że misja „Freston" nie miała żadnego wpływu na losy powojennej Polski. Jednakże 19 I 1945 r. w Czę-

stochowie Komendant Główny AK gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek" wydał rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej. Nie wiadomo, czy był to efekt wcześniejszej narady z członkami misji „Freston". Nie znamy dokładnej treści rozmowy gen. Okulickiego z Brytyjczykami, ale znaczenie podjętych ustaleń może być bardzo duże. Tak naprawdę nie wiadomo, co Brytyjczycy zalecali „Niedźwiadkowi" i jakie mieli pełnomocnictwa. Wiadomo, że płk Hudson zastał na miejscu oddziały AK bitne i zdyscyplinowane, ale jednocześnie słabo uzbrojone i rozproszone na małe oddziałki. Mógł wyciągnąć błędne wnioski zarówno o wartości ówczesnej AK, jak również o władzach Polski Podziemnej. Jednocześnie był świadkiem potężnego sowieckiego uderzenia, więc można się domyślić, kogo postulował poprzeć. Trudno powiedzieć, czy misja „Freston" osiągnęła swój cel. Leśnik mieszkający obecnie w nowym budynku leśniczówki „Zacisze" pamięta, że w latach 90. pojawiła się tam grupa Brytyjczyków, którzy przyjechali odwiedzić to miejsce. Wśród nich był mocno starszy pan, który mógł być uczestnikiem misji „Freston". To jednak tylko niesprawdzone hipotezy. Towarzyszył im były AK-owiec, który podobno nazywał się Kłych. Być może było to w czasie, gdy przebywająca w 1996 r. w Warszawie brytyjska królowa Elżbieta II spotkała się z żołnierzami AK – byłą ochroną misji „Freston" – i wyraziła im spóźnione wyrazy uznania za ich bohaterstwo. Czym naprawdę była misja „Freston", tego już się pewnie nie dowiemy. Co ciekawe, podobny cel miała wcześniejsza misja dr. Józefa Hieronima Retingera (1888-1960), zorganizowana przez Brytyjczyków w kwietniu 1944 roku. Niech zakończeniem tej opowieści będą słowa jej uczestnika, kpt. Antoniego Pospieszalskiego. One powiedzą nam nieco więcej: *„(...) była bardzo nieudana, źle pomyślana, za bardzo ufano sowieckim sprzymierzeńcom. Chodziło o pomoc w nawiązaniu współpracy między Armią Krajową i Sowietami, co miało wymagać brytyjskiego pośrednictwa. Pomysł absolutnie absurdalny, co okazała również praktyka"*...

Przypisy:

[1] Ang. Special Operations Executive

[2] Ur. w 1910 r. w Bromley w Kent w Południowej Afryce. Ponoć w 1939 r. rozpoczął swoją tajną służbę jako brytyjski agent. W 1941 r. wysłany przez SOE na Bałkany, gdzie utrzymywał kontakty z jugosłowiańską partyzantką. We IX 1943 r. ponownie skierowany na Bałkany. Celem misji było rozpoznanie dot. ewentualnego wsparcia czetników Michajłowicza bądź partyzantów Tity. Hudson, zwany na Bałkanach „Marko", był jedynym brytyjskim agentem, który spotkał Michajłowicza i Tito. Pod koniec 1944 r. prowadził misję w Polsce. Doradca Churchilla i jego zaufany człowiek. Po wojnie brał udział w procesach jugosłowiańskich zbrodniarzy wojennych. Wrócił do RPA i pracował w górnictwie. Zmarł 1 XI 1995 r. w Durban. Podejrzewa się, że Ian Fleming tworząc postać Jamesa Bonda wzorował się właśnie na Hudsonie.

[3] Zastępca dowódcy misji. Irlandczyk (32 lata). Dyplomata z Foreign Office, wcześniej przebywał z brytyjską misją w Jugosławii. Tłumacz j. francuskiego, hiszpańskiego i włoskiego.

[4] Brytyjczyk (32 lata). Zwiadowca i obserwator, z zawodu reporter. Walczył podczas wojny domowej w Hiszpanii po stronie gen. Franco. Żołnierz SAS. Wszedł w skład brytyjskiej misji w Jugosławii. Dobrze znał j. niemiecki i francuski.

[5] Występował w misji pod personaliami „Anthony Currie", które były prawdziwym imieniem i nazwiskiem jego szkockiego teścia. P. M. Lisiewicz w swoim opracowaniu przedstawia go jako Tony Curie. Polak, 30 lat, ur. w 1912 r. w Berlinie; tłumacz i oficer łączności. Służył w brytyjskiej armii jako łącznościowiec i wywiadowca; zwerbowany do misji przez szefa sekcji polskiej SOE płk. Harolda Perkinsa w IV Oddziale Sztabu Naczelnego Wodza. Późniejszy wieloletni redaktor polskiej sekcji BBC. Zmarł w 2008 r. w Londynie.

[6] Jego stopień jest też podawany jako st. sierż.; Szkot (23 lata) służył jako radiooperator w Królewskim Korpusie Łączności.

[7] Żyła w latach 1915-1952. Słynąca z urody polska arystokratka, współpracownica organizacji „Muszkieterzy", spokrewniona z węgierskim admirałem Horthy'm; znana ze swojej działalności we Francji w 1944 r. jako „Pauline Armand". Zamordowana przez wielbiciela-psychopatę. Prawdopodobnie Ian Fleming, którego podejrzewa się o romans z Krystyną, uwiecznił ją w postaci zabójczej agentki opisanej w „Casino Royal".

[8] W obozie w Ostuni był oficerem łącznikowym i przygotowywał do misji polskich spadochroniarzy.

[9] Przykładem może być mało znany zamach, wykonany w 1944 r. przez AK na funkcjonariusza miejscowej żandarmerii Władysławie (Julianie) Szubercie. 9 XI trzech żołnierzy AK (Stefan Karoń, „Mesjasz" i „Juhas") z oddziału „Twardego" zorganizowało zasadzkę na szosie Żarki-Złoty Potok. Zamach się udał, Schubert zginął.

[10] W Katarzynowie odbyły się rozmowy z wyższymi oficerami Komendy Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK: z kom. płk. Janem Zientarskim (ps. „Mieczysław"), d-cami 27. i 74. pp, mjr. Franciszkiem Polkowskim (ps. „Korsak") i kpt. Florianem Budniakiem (ps. „Andrzej") z obwodu AK Radomsko oraz kpt. Mieczysławem Tarchalskim (ps. „Marcin") i kpt. Aleksandrem Zielińskim (ps. „Wład") z obwodu AK Włoszczowa.

Literatura i źródła:

1. Z. Walter-Janke, „Śląsk jako teren partyzancki Armii Krajowej", Warszawa 1986
2. M. Masson, „Wojna moja miłość", Poznań 2012
3. P. M. Lisiewicz, „Bezimienni. Z dziejów wywiadu Armii Krajowej", Warszawa 1987
4. www.leopoldokulickilegungenkomendant.blogspot.com

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

W numerze styczniowym (1/168) z 2013 roku ogłosiliśmy kolejny konkurs smsowy. Tym razem pytanie konkursowe brzmiało: „Podaj imię i nazwisko porucznika, bohatera komiksu »Jeszcze Polska nie zginęła«". Otrzymaliśmy od naszych Czytelników mnóstwo prawidłowych odpowiedzi. Poprawna odpowiedź to: Jan Polaski.

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujmy za udział w tej edycji konkursu. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie, nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Oto lista laureatów konkursu styczniowego „Odkrywcy". Wszyscy wymienieni zajęli równoważne miejsca i otrzymali nagrody – polskie komiksy związane z wydarzeniami II wojny światowej.

- Maciej Wójkiewicz
- Łukasz Łęczyński
- Jarosław Ratajczak
- Zdzisław Zagórda
- Rajmund Matthes
- Piotr Kołodziejczyk
- Maciej Marek Stebach
- Tomasz Juszczak
- Grzegorz Wiśniewski
- Marek Kowalski

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Fundatorem nagród jest Wydawnictwo Zin Zin Press®

Legenda nie całkiem prawdziwej pustyni (cz. 1)

TEKST I ZDJĘCIA: TOMASZ RZECZYCKI

Największy w Europie obszar lotnych piasków wcale nie znajduje się na wschodnich przedmieściach Dąbrowy Górniczej. To w takim razie cóż tam się znajduje? Cmentarzysko niewypałów i niewybuchów porośnięte wierzbą kaspijską i przeciętnym lasem sosnowym, rosnącym na dawnych wydmach. Oto spokojny krajobraz Pustyni Błędowskiej znany tym, którzy w minionych latach wędrowali żółtym szlakiem turystycznym między Kluczami a Dąbrową Górniczą Błędowem.

To chyba jeden z największych fenomenów polskiego krajobrazu. Jest to miejsce, w którym splatają się dzieje małopolskiego górnictwa rud cynku i ołowiu z ponurym sekretem skuteczności Lisa Pustyni – feldmarszałka Erwina Rommla. Tutaj w różnych okresach dziejów można było spotkać zarówno spadochroniarzy elitarnych jednostek Wojska Polskiego, jak i znakarzy Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Tę ziemię niczyją upodobali sobie zarówno narciarze, motocykliści, jak i przyrodnicy. Jednak oprócz chronionych gatunków roślin, w tym roślin bagiennych, na pustyni łatwiej można było natrafić na zdradliwe, zardzewiałe szczątki ładunków wybuchowych. Dlatego nie da się opisać historii Pustyni Błędowskiej tylko pod kątem jej militarnych tajemnic, albo wyłącznie w aspekcie jej górniczej przeszłości, czy turystycznej teraźniejszości. Wszystkie te czynniki miały wzajemny wpływ na siebie i ukształtowały współczesny obraz tego miejsca.

Mapa poglądowa obszaru Natura 2000 „Pustynia Błędowska". Opracowanie: Marta Mróz Habitats.pl – dzięki uprzejmości gminy Klucze.

To się w Łebie nie mieści

O tym, że w granicach Dąbrowy Górniczej, około 20 kilometrów na wschód od centrum miasta zaczyna się Pustynia Błędowska, wiadomo z mapy. Tyle, że Błędowska pustynią jest już tylko z nazwy. A nazwę tę wprowadził Wacław Nałkowski (1851-1911), autor m.in. książki „Polska" (1887), stanowiącej opis geograficzny kraju. Nigdy w czasach historycznych Pustynia Błędowska nie stanowiła pustyni w sensie klimatycznym. Pod względem wilgotności i liczby opadów niewiele odbiega ona od terenów Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Po dawnych mirażach i fatamorganach została już tylko legenda pustyni.

Pamiętam, jak na początku XXI wieku do mojej skrzynki pocztowej wrzucono ulotkę pewnej firmy, organizującej wyjazdowe pokazy garnków, czy innych produktów, sprzedawanych po wygórowanych cenach na jednodniowych wyjazdach autokarowych. Tym razem firma kusiła zaproszeniem do udziału w wycieczce na Pustynię Błędowską. Ulotkę ilustrowały zdjęcia z... wydm Słowińskiego Parku Narodowego koło Łeby. Widać autorzy bibułki reklamowej uznali, że łebskie wydmy skuteczniej przyciągną klientów, niż piaszczyste pagórki porośnięte sosnowym młodnikiem...

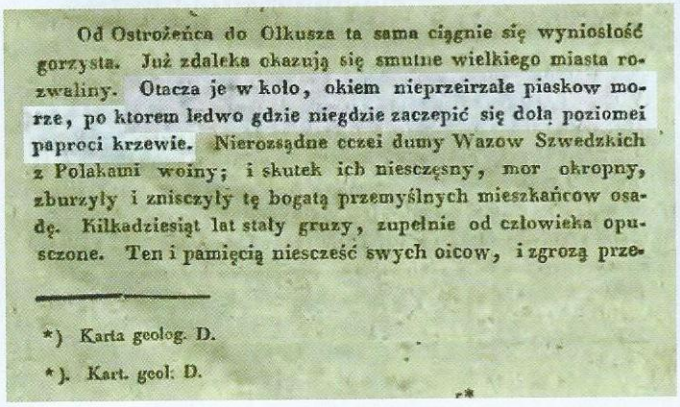

Od Ostrożeńca do Olkusza ta sama ciągnie się wyniosłość gorzysta. Już zdaleka okazują się smutne wielkiego miasta rozwaliny. Otacza je w koło, okiem nieprzeirzałe piaskow morze, po ktorem ledwo gdzie niegdzie zaczepić się dolą poziomei paproci krzewie. Nierozsądne czczi dumy Wazow Szwedzkich z Polakami woiny; i skutek ich niesczęsny, mor okropny, zburzyły i zniszczyły tę bogatą przemyślnych mieszkańcow osadę. Kilkadziesiąt lat stały gruzy, zupełnie od człowieka opuszczone. Ten i pamięcią nieszcześć swych oicow, i zgrozą prze-

*) Karta geolog. D.

*). Kart. geol. D.

Fragment dzieła Stanisława Staszica „O ziemiorództwie Karpatów i innych gór i równin polskich" z 1815 r. z informacją o Pustyni Błędowskiej.

Zanim powstała pustynia, to jakieś 2,3 mln lat temu w jej miejscu istniały głębokie doliny rzeczne w skałach dolomitowo-wapiennych. Potem, w chłodnej epoce plejstocenu, za sprawą kolejnych zlodowaceń doliny zostały stopniowo zasypane piaskiem i żwirem, aż w końcu teren został wyrównany. Powstała licząca dziesiątki kilometrów kwadratowych płaska przestrzeń, którą zaczęły modelować wiatry. Tak powstała naturalna Pustynia Błędowska. Wraz z ociepleniem klimatu, jakieś 8 tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa, ten piaszczysty teren został stopniowo opanowany przez roślinność. Wyrósł las, który istniał aż do średniowiecza – do XIII wieku. Wtedy to w rejonie Olkusza zaczęło się intensywnie rozwijać górnictwo rud ołowiu, zawierających cynk i domieszkę srebra. Rudę przera-

Październik 1993 r. Wycieczka górnośląskich licealistów odnajduje szczątki broni w północnej części pustyni.

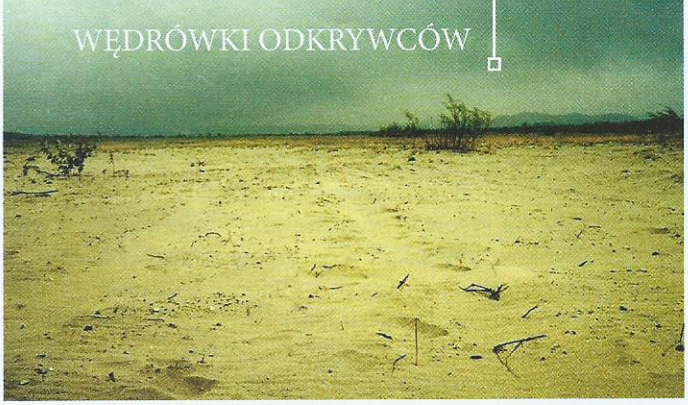

Sierpień 1998 r. Użytkowana przez Wojsko Polskie północna część pustyni bardziej przypomina step.

biano w piecach hutniczych opalanych drewnem. Drewno wykorzystywano też do obudowy sztolni odwadniających. Huty srebra i ołowiu istniały w pobliżu Olkusza do XVIII wieku. Najpierw wytrzebiono okoliczne lasy, potem sięgnięto po drzewa rosnące zarówno na północnym, jak i południowym brzegu Białej Przemszy. Tam, gdzie rzeka ta, płynąc w kierunku zachodnim, opuszcza pofałdowany teren Wyżyny Krakowsko-Wieluńskiej, dosłownie jak nożem uciął kończą się pagórki i zaczyna płaski teren Wyżyny Śląskiej. Właśnie w tym miejscu ludzie średniowiecza rozpoczęli masową wycinkę lasu. Jak się okazało, nieomal na własną zgubę... Jakby tego było mało, ówcześni mieszkańcy zachodniej Małopolski nie dość, że uprawiali gospodarkę rabunkową w – nazwijmy je tak – lasach błędowskich, to jeszcze na zrębach, zamiast prowadzić rekultywację i sadzić młodniki, wypasali bydło. Doprowadziło to do zniszczenia cienkiej warstwy gleby i odsłonięcia lotnych piasków. Pustynia Błędowska narodziła się po raz drugi. I zaczęła zagrażać okolicznym wsiom, a nawet odległemu o kilka kilometrów Olkuszowi. Stanisław Staszic w wydanym w 1815 r. dziele „O ziemiorództwie Karpatów i innych gór i równin polskich" tak opisywał Olkusz: *„Otacza je w koło, okiem nieprzeirzałe piaskow morze, po ktorem ledwo gdzie niegdzie zaczepić się doła poziomei paproci krzewie"*.

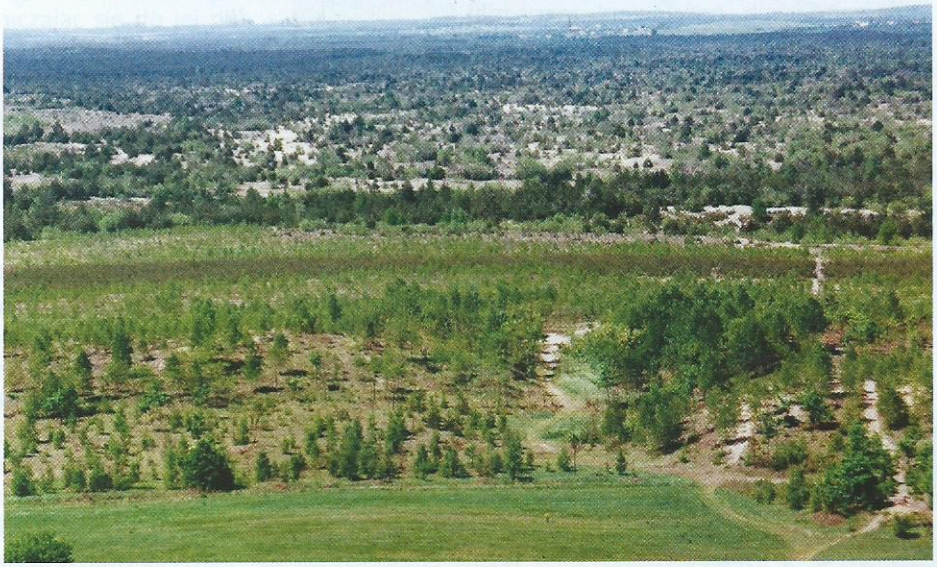

Maj 2000 r. Widok ze wzgórza Czubatka w Kluczach w kierunku zachodnim. Na horyzoncie kominy Huty Katowice w Dąbrowie Górniczej i pobliskiej Koksowni Przyjaźń. Po prawej stronie – wieża kościoła katolickiego w Błędowie.

Wizja Powstańców Styczniowych

W XIX wieku pustynia zajmowała przestrzeń rozciągniętą na osi wschód-zachód wzdłuż rzeki Białej Przemszy na długości około 8 kilometrów, między ówczesnymi wioskami: Błędowem na zachodzie i Kluczami na wschodnim krańcu. Szerokość pustyni była mniejsza i wynosiła około 4 km. Na północy kres pustyni znajdował się w pobliżu wioski Chechło. Biała Przemsza dzieli ten teren niemal w połowie szerokości na dwie części, północną i południową. Powierzchnia pustyni położona jest na wysokości około 325 m n.p.m. na wschodnim krańcu, u podnóża ostatnich wzgórz Jury. Stamtąd obniża się w kierunku zachodnim, w stronę Dąbrowy Górniczej do wysokości około 302 m n.p.m. Możemy więc mówić o lekko pochyłej pustyni. Średnia miąższość, czyli głębokość zalegania piasków określana jest na 18 metrów, z tym, że w niektórych miejscach przekracza ona 45 metrów. Kielecki geolog Piotr Przesmycki pisał w wydanym w 1908 r. „Przewodniku po Krakowsko-Wieluńskim paśmie górskim", że Pustynia Błędowska stanowi *„widok w kraju naszym nieznany: około dziesięciu wiorst kwadratowych zajmuje ta przestrzeń piasków lotnych bez śladów roślinności, jedynie środkiem pustyni wije się cienka wstęga karłowatych sosen, trzymając się brzegów Przemszy"*. Bezkresny obszar piasków w odpowiednich warunkach atmosferycznych sprzyjał powstawaniu burz piaskowych i miraży. Kapitan Maciej Konecki podczas Powstania Styczniowego (1863-1864) opisał zjawisko fatamorgany, gdy oddział uczestniczących w powstaniu Garibaldczyków ujrzał obraz maszerujących w oddali wojsk rosyjskich. Sytuacja wydarzyła się wiosną 1863 r. Oddział, którym dowodził podpułkownik Francesco Nullo, złożony głównie z żołnierzy włoskich i francuskich, musiał uznać przewagę wojsk rosyjskich i wycofać się z okolic wsi Żurada w kierunku południowym. Po dwugodzinnym marszu, już po północy, piechurzy dobrnęli – jak to określił kpt. Maciej Konecki – *„do piaszczystej laguny skąpanej światłem księżyca"*. Następnego dnia Francesco Nullo otrzymał rozkaz, aby rozdzielić swój oddział liczący 286 piechurów, tworząc w ten spo-

sób cztery kompanie. Gdy powstańcy ruszyli w kierunku Bukowna, naraz, na północno-wschodniej części horyzontu, ku ogromnemu zdziwieniu żołnierzy, zaczęły się rysować wyraźne kontury budynków mieszkalnych, drzew i ludzi maszerujących drogą przez wieś. Zjawisko występowało ze zmienną intensywnością, malejąc lub też nabierając większej wyrazistości. Maciej Konecki zachowując przytomność umysłu zidentyfikował pagórkowaty krajobraz okolic Olkusza, a w zwartym szyku ludzi maszerujących gościńcem, rozpoznał oddziały wojsk rosyjskich sunące na zachód. Natychmiast więc swoje spostrzeżenie przekazał pułkownikowi Romerowi. Dokonano zmiany rozkazów, nakazując szybszy wymarsz. I rzeczywiście, dwie godziny później jeden z oddziałów stoczył pod Grabinami potyczkę z wojskiem rosyjskim maszerującym z kierunku Olkusza w stronę Sławkowa.

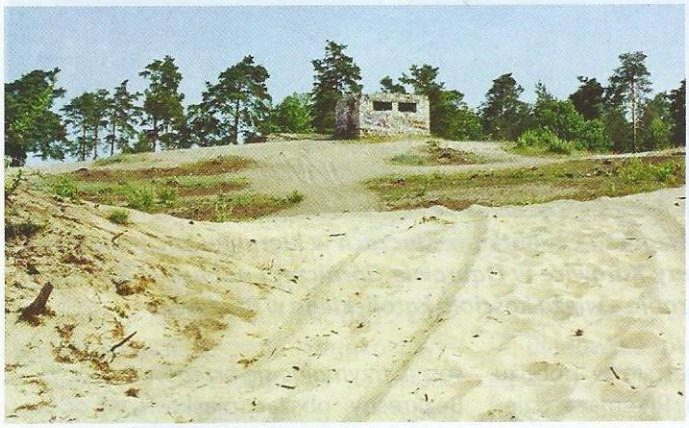

Czerwiec 2002 r. Ruiny punktu obserwacyjnego wojsk niemieckich na wzgórzu Dąbrówka na północnym skraju pustyni niedaleko Chechła.

Można więc stwierdzić, że interpretacja fatamorgany dokonana przez Macieja Koneckiego uratowała od zagłady trzon sił powstańczych, które zdążyły się w porę przegrupować. Co prawda sukces nie był pełen, bo stoczona 5 V 1863 r. bitwa pod Krzykawką koło Sławkowa (na wschód od Olkusza), w której zginął Francesco Nullo, zakończyła się przegraną powstańców – ale nie klęską absolutną.

Opisane zdarzenie było chyba pierwszym epizodem wojennym w dziejach Pustyni Błędowskiej. Wówczas jeszcze nie myślano o wykorzystaniu jej piasków do szkolenia sił zbrojnych. Przyjmuje się, że funkcję poligonu zaczęła pełnić w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku. W internetowych kompendiach wiedzy znaleźć można informację, że na początku I wojny światowej odbywał tu ćwiczenia batalion pomocniczy piechoty legionowej, przygotowując się do austriacko-rosyjskiej bitwy pod Krzywopłotami, stoczonej 17 i 18 XI 1914 roku. Kilka lat później, gdy Polska odzyskała niepodległość, teren ten zaczęła wykorzystywać do przeprowadzania ćwiczeń piechota i artyleria Okręgu Korpusu Nr V z Krakowa.

Deutches Afrikakorps nadjeżdża

Jak wynika ze wspomnień mieszkającego w Kluczach Wacława Rożniatowskiego, opublikowanych w jednym z przewodników po Ziemi Olkuskiej, przed 1939 r. odbywały się nad pustynią ćwiczenia lotnictwa wojskowego z Krakowa. Piloci ćwiczyli strzelanie do celu. Jeden z samolotów miał przyczepiony biały, płócienny rękaw, który stanowił cel do trafienia z innego samolotu. Przypuszczalnie wtedy na wzgórzu Czubatka (382 m n.p.m.) w Kluczach, zwanym też wzgórzem Jałowce, wzniesiona została dwukondygnacyjna ceglana budowla obserwacyjna, nakryta płaskim stropo-dachem. Budynek ten służył do obserwacji manewrów wojskowych.

Właściwie równocześnie z wojskowymi, pustynią zainteresowali się krajoznawcy i popularyzatorzy turystyki. Co ciekawe, to że pustynia była miejscem ćwiczeń sił zbrojnych nie przeszkadzało w organizacji wycieczek, oczywiście z zachowaniem rozwagi. *„Ważnym jest jeszcze, aby wycieczki na Pustynię Błędowską planować na niedziele i święta, gdyż w powszednie dnie służy pustynia jako teren wojskowych ćwiczeń"* – pisał Wojciech Walczak wiosną 1938 r. na łamach miesięcznika „Ziemia". Zaledwie półtora roku później Pustynia Błędowska przejściowo znalazła się pod okupacją niemiecką. Na wzgórzu Dąbrówka (355 m n.p.m.) koło Chechła, wznoszącym się na północnym skraju pustyni, stanął dosłownie na skraju piasków biały schron obserwacyjny. To zupełnie inny obiekt niż ten zbudowany na wyniosłym wzgórzu Czubatka w Kluczach, którego zbocza stromo opadają ku pustyni. Co ciekawe, zarówno obiekt na wzgórzu koło Chechła, jak i ten na wzgórzu nad Kluczami nazywano potem niekiedy „bunkrem Rommla" lub Rommlówką. Legenda mówi, jakoby z tych schronów feldmarszałek Erwin Rommel, sławny potem dowódca Deutches Afrikakorps,

Listopad 2010 r. Widok ze wzgórza Dąbrówka koło Chechła na poligon Wojska Polskiego w północnej części pustyni.

miał obserwować ćwiczenia wojsk, podczas których sprawdzano, jak poradzą sobie czołgi i pojazdy opancerzone podczas ewentualnych walk w piaskach Sahary. Faktem jest, że część niemieckich oddziałów, głównie z 3. Dywizji Pancernej, przed wysłaniem do Afryki ćwiczyło na poligonach znajdujących się w granicach obecnej Polski, a więc koło Bornego Sulinowa i Orzysza. Natomiast na Pustyni Błędowskiej przeprowadzono próby wojskowych samochodów terenowych. Trudno chyba określić datę tych manewrów. Gdyby miał w nich osobiście wziąć udział Rommel, musiały by się odbyć przed jego przybyciem do Afryki, a więc przed 12 II 1941 roku.

Choć może to wydawać się trudne do zrozumienia, to nawet w czasie II wojny światowej znajdowali się śmiałkowie, którzy nie bacząc na zagrożenie mieli odwagę zapuszczać się w niebezpieczne piaski błędowskie, by podziwiać zjawisko fatamorgany. Mieczysław Prom-Fiołek wspominał po latach: *„Pewnego dnia czerwcowego 1942 roku, po długiej, wyczerpującej wędrówce, zmuszony byłem zanocować w odosobnionej zmurszałej chatynce, położonej tuż na wertepowiskach Błędowa. Gospodarze, zgrzybiali wiekiem i nędzą staruszkowie do późna w nocy opowiadali mi niesamowitą historię tej pustyni, jak i o pojawiających się »złowróżbnych znakach na niebie« w nieokreślonych odstępach czasu zwiastujących wojny, nieurodzaje, choroby i inne plagi"*. I tak Mieczysław Prom-Fiołek zauroczony tymi opowieściami, postanowił w któryś sierpniowy dzień wybrać się w głąb pustyni. Wysiłek opłacił się. Naraz na horyzoncie zaczęły się kształtować pasma lasów i pól, porozrzucane na polanach chałupy… Autor opisu nie wspomina tym razem ani słowem o kolumnach wrogich wojsk.

Wojsko rezygnuje

Po II wojnie światowej polscy żołnierze sprawdzili duży obszar piasków pustynnych pod kątem zalegających tam niewypałów i niewybuchów, ale penetrację prowadzono płytko. Obie części pustyni nadal służyły przez dziesięciolecia za poligon wojskowy, tym razem Polskim Siłom Zbrojnym. Najwidoczniej w Akademii Sztabu Generalnego ktoś uznał, że warto przeprowadzić tu symulację spodziewanej inwazji wojsk państw-stron Układu Warszawskiego… na pustynie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jeszcze jesienią 1989 r., jak podawał magazyn „IMT", możliwe było tylko podejście na skraj pustyni, dalej wstęp był wzbroniony. W pewnym momencie Wojsko Polskie zrezygnowało z użytkowania południowej części pustyni, ograniczając się do jej północno-wschodniego fragmentu. W 1998 r. w użytkowaniu wojska było już tylko 2,4 km kw. W 1999 r. na pustyni odbyły się ćwiczenia oddziałów lotniczych i służb medycznych wojsk Paktu Północnoatlantyckiego. Pozorowano wtedy akcję ratunkową na terenie objętym klęską żywiołową. Z samolotu transportowego Herkules zrzucane były medykamenty, a helikopterem przewożono „rannych". Także w XXI wieku północna część pustyni wykorzystywana jest przez polskie formacje wojskowe, np. przez 18. Batalion Powietrznodesantowy z Bielska-Białej, którego żołnierze mieli okazję ćwiczyć tu skoki spadochronowe. Niewątpliwie, za sprawą długoletniej działalności wojska północna część Pustyni Błędowskiej zachowała charakter stepowy. Chociaż piaski zostały tam utrwalone przez trawy i krzewy, sam fakt użytkowania terenu przez żołnierzy sprawił, że las wyrósł tylko na obrzeżach północnej części pustyni. Ciąg dalszy nastąpi. ◗

PS. Uwaga! Cała Pustynia Błędowska jest obecnie niedostępna do zwiedzania. 2 stycznia 2013 r. rozpoczęło się usuwanie drzew i krzewów prowadzone w ramach realizacji projektu „Czynna ochrona kompleksu priorytetowych siedlisk napiaskowych w obszarze Natura 2000 na Pustyni Błędowskiej" współfinansowanego przez Wspólnotę Europejską ze środków Instrumentu Finansowego LIFE+ oraz Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Na Pustyni Błędowskiej trwają prace saperskie i odkrzaczanie terenu. Z tego też powodu, decyzją wójta gminy Klucze, p. Kazimierza Ściążko, do końca grudnia 2013 roku wprowadzono bezwzględny zakaz wstępu na teren pustyni. O planach i projektach rekultywacji Pustyni Błędowskiej – w kolejnym odcinku.

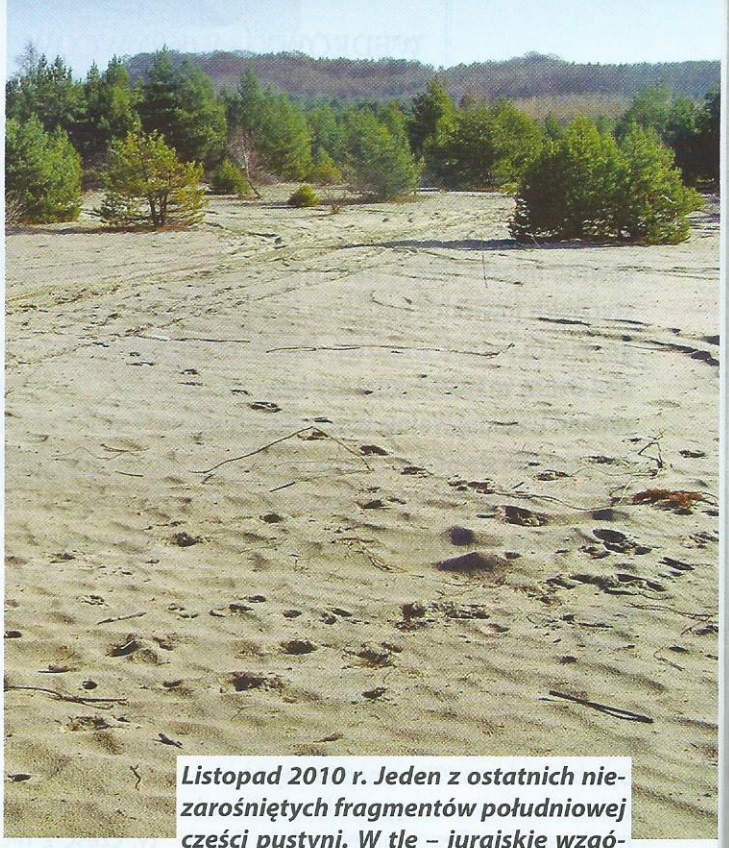

Listopad 2010 r. Jeden z ostatnich niezarośniętych fragmentów południowej części pustyni. W tle – jurajskie wzgórza koło wsi Klucze.

Literatura:

1. O. Dziechciarz, „Przewodnik po ziemi olkuskiej. T. 2", Olkusz 2002
2. J. Ledwoch, „Afrika Korps", Warszawa 1997
3. P. Przesmycki, „Przewodnik po Krakowsko-Wieluńskim paśmie górskim", Kielce 1908
4. St. Staszic, „O ziemiorództwie Karpatów i innych gór i równin polskich", Warszawa 1815, s. 35
5. „Ziemia" nr 3, marzec 1938, s. 43
6. „Dziennik Zachodni" nr 81 (2837), 4.4.1953, dodatek: „Świat i Życie" nr 13, s. II
7. „IMT" 9-10.1989
8. R. Jaworski, „Wojsko na piaskach – między Błędowem, Chechłem i Kluczami" [w:] „Echo Klucz" nr 8 (197), sierpień 2009, s. 12

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Autor książki „Góry Polskie" (2004) oraz „Podziemne trasy turystyczne Polski" cz. I i II. (2012). Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

Łowicz, w poszukiwaniu miasta etapowego

TEKST: STANISŁAW KALIŃSKI

Łowicz, miasto leżące nad Bzurą, słynie z rozpoznawalnego folkloru, charakterystycznych łowickich pasiaków, wycinanek oraz przetwórstwa owocowo-warzywnego. Warto jednak wiedzieć, iż miasta nie należy łączyć wyłącznie z historią bitwy nad Bzurą w 1939 roku. Losy Łowicza i jego mieszkańców splotły się również z epizodami Wielkiej Wojny. W wyniku ofensywy 9. Armii niemieckiej na Warszawę, miasto znalazło się pod okupacją niemiecką trwającą od grudnia 1914 do sierpnia 1915 roku. Cofnijmy się więc w czasie do jesieni 1914 roku, kiedy Łowicz znalazł się na drodze marszu grupy Mackensena, podczas ofensywy warszawsko-dęblińskiej.

Rosyjskim komendantem wojskowym miasta był w tym czasie ppłk ks. Abaszydze. 9 października wybuchła w mieście panika. Część mieszkańców w obawie przed Niemcami opuściła miasto. Kilka dni później, 11 października, z miasta wyjechały władze administracyjne. Tego samego dnia Kozacy astrachańscy wysadzili w powietrze most warszawski i wycofali się w stronę Warszawy. Po południu do Łowicza weszli żołnierze Landwehry z Brygady Wrochema[1]. Lokalna gazeta donosiła: *„11 października z samego rana wyjechały z miasta wszystkie władze administracyjne. (…) Około godziny 5-ej po południu zakotłowało się w mieście, ludzie zaczęli uciekać w różnych kierunkach, zaczęto zamykać sklepy. (…) w tym ukazało się kilkunastu Niemców na rowerach z bronią przewieszoną przez plecy, dalej kilku pieszych z bronią przygotowaną do strzału, następnie wjechał konny pojazd; niedługo po nim pułk ułanów pruskich i pułk dragonów, dalej, po niedługim czasie weszła piechota i uszykowała się na rynku w czworobok – postawiwszy broń w kozły[2]"*. Pierwsze wejście wojsk pruskich do miasta trwało zaledwie dwa dni. Niemcy opuścili je 13 października. Pionierzy rozpoczęli naprawę mostów. Oficerowie kwaterowali w prywatnych mieszkaniach, żołnierze m.in. w budynku Szkoły Realnej. Niestety, część z nich siłą zajmowała prywatne lokale, a opuszczone mieszkania były doszczętnie okradane. Mimo tych przykrych faktów pobyt żołnierzy w mieście można uznać za spokojny.

18 października wycofujący się przed rosyjskim natarciem z kier. Warszawy Niemcy, wysadzili most kolejowy na linii kaliskiej i spalili most przy ul. Mostowej. Dzień później Łowicz na krótko został zajęty przez austriacką 7. Dywizję Kawalerii. Austriackim komendantem miasta został ppłk C.K. armii baron Berlepsch. Na krótko. Do 20 października 7. DK została odparta z kolei przez rosyjską 79. DP. Tego samego dnia cofający się przez miasto Niemcy zniszczyli most kolejowy na Bzurze i spalili dworce kolejowe. Trzy dni później rosyjski 23. Korpus Piechoty oraz kawaleria gen. Nowikowa zajęły ponownie Łowicz. Chwilowy spokój był jednak pozorny. Podczas drugiej ofensywy na Warszawę, prowadzonej przez niemiecką 9. Armię dowodzoną przez Augusta von Mackensena, Łowicz znalazł się niemal na linii frontu, który przebiegał kilka kilometrów od miasta. 21 listopada miasto opuściły jego władze cywilne. Przez 3 tygodnie, przez okolice na zachód od Łowicza, przetaczał się stalowy walec działań wojennych. Okoliczne wsie ginęły w ogniu artylerii odpierającej lub wspierającej nieustanne ataki i kontrataki. Niemiecki 1. Rezerwowy Korpus, atakujący w kierunku na Łowicz, prowadził działania nękające żołnierzy 1. Armii rosyjskiej. Utrzymywani w nieustannym pogotowiu Rosjanie szybko tracili morale. Jednocześnie uwidaczniała się niemiecka przewaga w ilości zużywanej amunicji artyleryjskiej. Podczas działań wojennych Łowicz był ostrzeliwany przez baterię 30,5 cm austriackich moździerzy Škoda, należących do Steirisches Festungsartillerie Bataillon Nr 8 stacjonującego na stałe na Słowenii. Baterią moździerzy – o wdzięcznych żeńskich imionach „Grete" i „Marsca"[3] nadanych im przez obsługę – dowodził pochodzący z Giżycka Oberstleutnant Albert Langer[4] Austriackie potwory prowadziły ogień w kierunku Łowicza z odległych o 9 km Szymanowic[5]. Oprócz sławnych Mörserów miasto ostrzeliwały również baterie niemieckich moździerzy kal. 21 cm. Największych zniszczeń dokonały jednak austriackie pociski, ważące 382 kilogramy. Niszczącą siłę 30,5 cm pocisków musieli odczuć również Niemcy, już po ponownym zdobyciu miasta w grudniu 1914: *„Na rynku w Łowiczu spadł taki granat, wyrwał krater, w który pierwszej nocy po zajęciu Łowicza wpadły dwa samochody. Również Hotel Polski otrzymał ciężkie trafienie, te dwa obrazy wyraźnie pokazywały niesłychaną niszczącą siłę austriackich moździerzy[6]"*. Świadek bombardowania, mieszkaniec miasta Władysław Tarczyński opisywał w swoim pamiętniku, pod datą 16 XII 1914 r., efekt ostrzału miasta przez moździerze: *„Pociski 12-calowej średnicy sypały się rzęsiście. Miasto*

Wypalone mury fabryki chemicznej. Styczeń 1915 rok. Zdjęcie z kolekcji Autora.

Mieszkańcy Łowicza podczas przymusowych szczepień. Zdjęcie z kolekcji Autora.

jak wymarłe, na ulicy żywej duszy się nie ujrzało. Istny sądny dzień. Szum, gwizd, wycie bomb i piekielny ich trzask, łoskot walących się domów – wszystko to razem wprost odbierało zmysły. Każda chwila – zdawała się być ostatnią życia. Przy każdym pocisku upadłym na budynek, na bruk czy nawet na ziemię miękką, trzęsła się ziemia na dużej przestrzeni wokoło, a bujały się domy. Od samego przelotu pocisku – od wiru powietrza od niego i od szumu straszliwego, kominy na domach się rozwaliły, z dachów dachówki spadały i wapno się sypało[7]". Katalog zniszczeń, które można było zapisać na konto C.K. artylerzystów był pokaźny. Zniszczony został Hotel Warszawski z lokalem Resursy Obywatelskiej na rogu ulic Wjazdowej i Starego Rynku, dom Kazimierza Trawińskiego – róg Starego Rynku i ul. Warszawskiej, uszkodzono kamienicę należącą do rodziny Prochman, w której mieścił się Hotel Polski. Widok ruin Hotelu Polskiego był częstym motywem wydawanych w czasie I wojny pocztówek. Jeden z pocisków nie zdetonował, padając na dach Domu Towarzystwa Wzajemnego Kredytu znajdującego się na rogu ulic Zduńskiej i Starego Rynku. Poprzebijał natomiast wszystkie kondygnacje i zatrzymał się dopiero w piwnicy. Pociski padały na końskim targu, niszcząc sąsiadujące budynki. Od ognia moździerzy ucierpiała również znajdująca się 2 km na północ od miasta, na tzw. Kurabce Górnej, Fabryka Łowickiego Towarzystwa Przetworów Chemicznych, produkująca superfosfaty[8]. Zabudowania fabryki zostały częściowo zniszczone jeszcze w trakcie działań w październiku 1914 roku. Pozycje rosyjskie znajdujące się nieopodal fabryki, miasto, jak i sama fabryka zostały ostrzelane przez austriackie moździerze 10 XII 1914 roku[9]. Tarczyński pisał: *„Fabryka w płomieniach od rana, przez cały dzień i późną nocą jeszcze widniała łuna. Pożar powstał od pocisków nieprzyjacielskich. Zgorzała doszczętnie"*. Jej los został przypieczętowany w początkach roku 1915, wówczas to Niemcy zdemontowali urządzenia fabryczne i wywieźli w głąb Niemiec razem z gotowymi produktami.

Po trzech tygodniach ciężkich walk 17 XII 1914 r. Łowicz został zajęty przez niemiecką 72. Rezerwową Brygadę Piechoty z I. Rezerwowej Dywizji Piechoty, w skład której wchodziły 18. oraz 59. pułki rezerwowe. Łowicza bronili żołnierze VI Korpusu Syberyjskiego, składającego się z 3. i 14. Dywizji Syberyjskich. Już w nocy 16 grudnia pozycje rosyjskie zostały opuszczone przez obrońców, a niemieckie patrole zaczęły meldować o częściowym opuszczeniu pozycji. 17 grudnia trwało bombardowanie artyleryjskie miasta, do czasu zameldowania przez patrole, że miasto jest wolne od nieprzyjaciela. Tak wejście Prusaków do miasta opisał Tarczyński: *„O godzinie 3 po południu, najezdnicza armia pruska – jak lawa wulkaniczna zaczęła zalewać miasto. Po niedługim czasie całe miasto zalegli wrogowie. Nie było domu, a w domu od mieszkań do ciasnej izdebki, gdzieżby nie wtargnęli i nie rozłożyli się na noc. (...) Konie wprowadzili do stajen, komórek i wszelkich zabudowań jakie gdzie były, nawet do mieszkań par-*

Budynek Ratusza, obok trafiony 30,5 cm pociskiem Hotel Polski. Zdjęcie z kolekcji Autora.

Kwintesencja miasta etapowego. Odbiór dostaw na bocznicy kolejowej w Łowiczu. Marzec 1915 rok. Zdjęcie z kolekcji Autora.

Stary Rynek, widok w kierunku ul. 11 Listopada. Zdjęcia z kolekcji Autora.

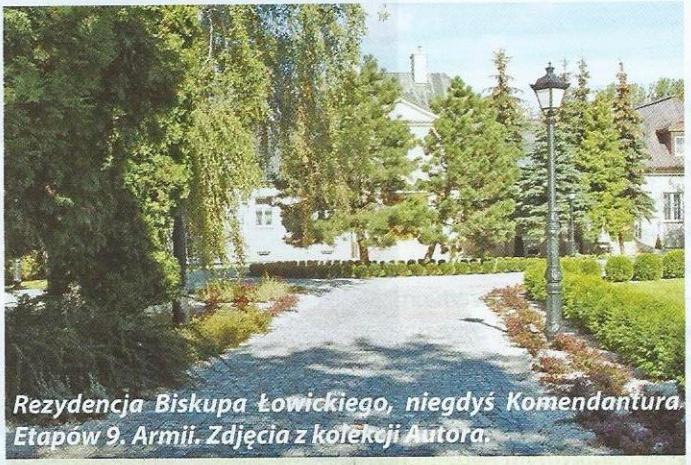

Rezydencja Biskupa Łowickiego, niegdyś Komendantura Etapów 9. Armii. Zdjęcia z kolekcji Autora.

terowych oraz do lokalu i sklepu cukierni, do szkół i ochron. (...) Miasto zmieniło się na jeden – całkowity obóz. Kwadratowego łokcia nie było nie zajętego. Ulicą żadną przecisnąć się nie było można: żołnierze, konie i niezliczone tabory i parki artyleryjskie zapychały ulice".

Miasto Etapowe

„Wszystkie potrzeby wojska walczącego muszą być stale zaspakajane; musi ono być odciążone od wszystkiego co mogło zmniejszać jego zdolność do ruchu. Tylko pod tym warunkiem wojsko będzie zdolne do najwyższego wysiłku". To krótkie zdanie z „Instrukcji o etapach w czasie wojny" ilustruje, jaki cel stawiano przed niemieckimi służbami etapowymi, mając na uwadze zaopatrzenie jednostek walczących w polu[10]. Ta sama ww. Instrukcja określała zadania służb etapowych, m.in.: zbieranie materiału potrzebnego wojskom, zamawiając go z kraju lub wykorzystując zasoby miejscowe, przyjmowanie i odsyłanie do kraju wszystkiego co wojsko oddaje, w tym zbędny sprzęt, zdobycze wojenne, jeńców i chorych. Realizacja dwóch powyższych punktów sprawiła, iż ludność Łowicza przebywająca w mieście razem z żołnierzami niemieckiej 9. Armii, chcąc nie chcąc stała się częścią systemu zaopatrzenia wojska. Dla zwykłych ludzi był to trwający blisko 8 miesięcy koszmar, wynikający ze stale pogarszających się warunków bytowania. Łowicz, na nieszczęście mieszkańców, oferował dogodne połączenie kolejowe z Niemcami, tzw. kolej Warszawsko-Bydgoską. Linia kolejowa miała europejski rozstaw torów i łączyła się przez Kutno i Toruń do Bydgoszczy, a tam z Pruską Koleją Wschodnią. Z tego m.in. powodu, jak i relatywnie niedużej odległości od frontu, 9. Armia ustanowiła w Łowiczu swoją Komendę Etapów. Komfort życia w mieście w latach 1914-15 zbliżony był do warunków znanych z wojskowych koszar. Różnica była jednak dość istotna. W koszarach panuje żelazna dyscyplina. W Łowiczu natomiast, dyscyplina ustępowała chęci zaspokojenia podstawowych potrzeb żołnierzy. Mowa tutaj o kwaterunku, wyżywieniu, opiece medycznej, nabywaniu towarów za pieniądze lub bez nich. Żołnierze szukali też w mieście damskiego towarzystwa i znajdowali je... Mieszkańcy Łowicza zostali dotknięci rekwizycjami, reglamentacją żywności, w dużej mierze pozbawieni możliwości zarobkowania. Do tego dochodziła konieczność kwaterowania nieustannie przewijającego się przez miasto wojska, w tym żołnierzy dopiero co przybywających na front, jak również odjeżdżających do Niemiec rannych i odmaszerowujących na inne fronty pułków.

Po wkroczeniu do Łowicza Niemcy, oprócz ustanowienia w mieście własnych władz wojskowych, potrzebowali również władz cywilnych. Wojskowym komendantem miasta, a dokładniej komendantem etapów, został oficer o nazwisku von Knobelsdorf, który 22 grudnia mianował prezydentem miasta Emila Balcera. Balcer, miejscowy kupiec i działacz społeczny pełnił tę funkcję do 9 VI 1915 roku. W czerwcu został aresztowany i internowany w Niemczech[11]. Kamienicę Emila Balcera możemy podziwiać dzisiaj przy Nowym Rynku w Łowiczu. Jej charakterystyczną bryłę łatwo rozpoznać. U szczytu frontu kamienicy widnieją dobrze zachowane inicjały jej właściciela *„E.B."*. Obowiązkiem władz cywilnych było m.in. dostarczanie podwód dla armii (tzw. kolumny krajowe), zapewnienie potrzebnych wojsku materiałów, leczenie i żywienie jeńców rosyjskich przebywających w mieście. Dla borykającego się z wszelkimi ograniczeniami miasta, ciężary te okazały się dość znaczne. Konie i tak rekwirowała niemiecka armia, a leczenie i żywienie rosyjskich jeńców, w mieście pozbawionym stałych dostaw żywności, zakrawało na okrutny żart okupanta. Okolicznym chłopom zabroniono wywozić ze wsi płody rolne i zwierzęta. Tylko dzięki zaradności Balcera i kilku in-

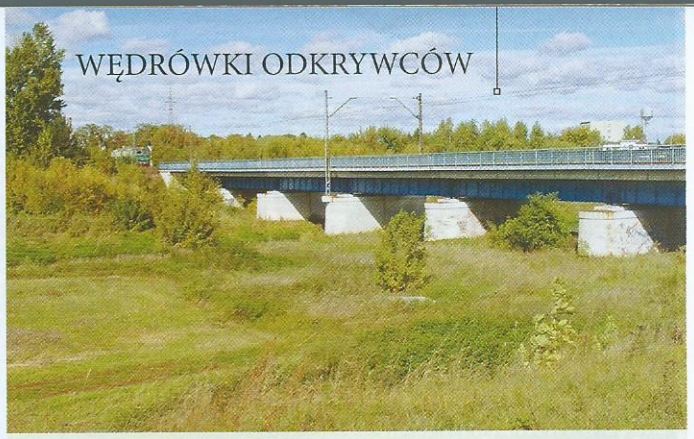

Most kolejowy w Łowiczu. Zdjęcie z kolekcji Autora.

Widok na Kościół Mariawitów od strony ul. Akademickiej, na dole defilada z okazji urodzin Cesarza Wilhelma II. Zdjęcie i pocztówka z kolekcji Autora.

nych mieszkańców miasta, udawało się zapewnić rannym opiekę, a mieszkańcom miasta, pozbawionym przez wojnę środków do życia, pomóc przetrwać w tych trudnych chwilach.

Już w 4 dni po zajęciu Łowicza Niemcy uruchomili połączenie kolejowe do Niemiec. Miasto nabrało strategicznego znaczenia pod koniec grudnia 1914 r., gdy okazało się, że rosyjskie pozycje położone wzdłuż rzek Bzury i Rawki nie zostaną przełamane z marszu. Wojsko okopywało się na zimę, a Łowicz przygotowywano do pełnienia funkcji miasta etapowego. Z pewnym uznaniem pisał Tarczyński o budowaniu przez Niemców infrastruktury w mieście: *„W niedługim też czasie zaprowadzili telefony, oświetlenie elektryczne stacji obydwu, przywrócili oświetlanie naftą miasta, urządzili pocztę – naturalnie tylko dla siebie, dawne zaś skrzynki pocztowe z ruskimi napisami pozrywali"*. Niemcy utworzyli władzę sądową dla spraw wojskowych i cywilnych, zorganizowali policję i żandarmerię. Utworzyli również kancelarie dla 6 korpusów wojskowych walczących w pobliżu miasta. Na ul. Zduńskiej założono kasyno dla oficerów, wyposażone w najlepsze meble zarekwirowane z prywatnych domów. Wojsko naprawiło drogi i mosty. Dla przeciwwagi logistycznego uporządkowania miasta, wojsko niemieckie, wg relacji Tarczyńskiego, rabowało opuszczone sklepy i mieszkania oraz składy przemysłowe. Grabieżom nie było końca. Jeśli już nabywano jakieś towary, to płacono za nie ułamek ceny. Na opał poszły sztachety ze wszystkich możliwych płotów, jak również drzwi i futryny ze zniszczonych lub opuszczonych mieszkań. Z terenu fabryki chemicznej wojsko zarekwirowało 300 korców węgla. Ze składów drewna ogromne ilości drewna budulcowego wykorzystano na opał oraz na budowę umocnień. Po większych okolicznych bitwach, jak np. po zakończeniu próby przełamania pozycji rosyjskich w dniach 31 I – 2 II 1915, opróżniono wiele gmachów miejskich przeznaczając je na szpitale dla rannych. Wojsko zrabowało również zbiory łowickiego Muzeum Starożytności. Inną kwestią była kulejąca dyslokacja przybywających do Łowicza uzupełnień. Pociągi z uzupełnieniami przyjeżdżały przeważnie nocą. Kilkuset żołnierzy musiało szukać na chybił trafił noclegu w prywatnych mieszkaniach, zanim następnego dnia trafili do swoich pułków. Powodowało to nieprzyjemne i niebezpieczne sytuacje, gdyż wojsko siłą otwierało mieszkania ku przerażeniu zaspanych mieszkańców. Pomiędzy 19 a 24 grudnia Wł. Tarczyński odnotował: *„Przechody wojsk. Przeciągające tabory – jednocześnie w jedną i drugą stronę – po godzinie i dłużej jednym sznurem, że na poprzek ulicy przejść nie było można. A od rumoru, trzasku lawet armatnich, ciągłego ruchu wojska pieszego i konnego, świt oficerów, setek samochodów najdziwaczniejszych i olbrzymich z trąbieniem przelatujących w różne strony, wprost dostawało się zawrotu głowy*[12]". Właśnie tak wyglądał przeciętny dzień w mieście etapowym.

Niegdyś Łaźnia Miejska, dzisiaj elegancka restauracja, ul. Tkaczew 8. Fot. Autor.

Ratusz miejski i zgromadzeni przed nim rosyjscy jeńcy. Zdjęcia z kolekcji Autora.

XVII-wieczna kamienica przy Nowym Rynku. Zdjęcia z kolekcji Autora.

Kolejnym problemem powstałym wraz z zamianą miasta w centrum przyfrontowej logistyki była prostytucja: „[Niemcy] *znieprawili mnóstwo dziewcząt i kobiet zamężnych niższego stanu, w dużej części żony powołanych do wojska, niemniej dziewczyny i kapeluszowe panny Żydówki. Wabią pieniędzmi suto płaconymi, prezentami i łakociami, z uboższych kobiet jednają sobie żywnością obficie im udzielaną. (...) Takie upodlenie bardzo się rozwielmożniło, upadłe dziewczęta widuje się w biały dzień przez oficerów prowadzone, kobiety-matki nawet na ulicy bzdyczą się do żołdaków, na migi się porozumiewają itp.*" – pisał Władysław Tarczyński jednocześnie zauważając, iż nierządem trudniły się dziewczynki 15-letnie, jak i dojrzałe 60-latki. Do maja 1915 r. damskie towarzystwo znaleźć można było na wielu ulicach miasta. W maju kwestia ta została uregulowana: „*Obecnie z miasta wydalone zostały* [prostytutki] *do domów przy stacji kaliskiej*" – pisał zgorszony Tarczyński.

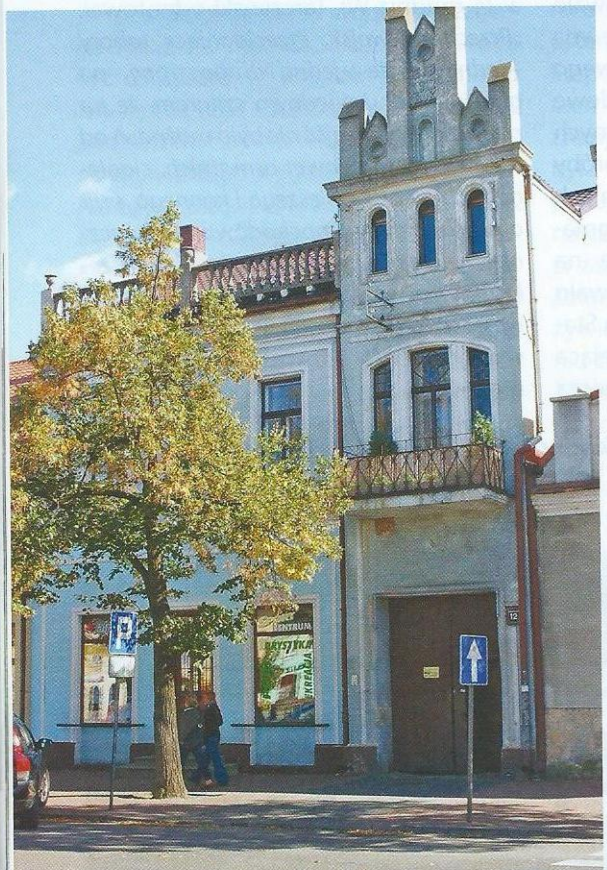

Kamienica Emila Balcera przy Nowym Rynku. Fot. Autor.

27 stycznia przypadały urodziny Cesarza Wilhelma. Ten dzień świętowano niezwykle uroczyście. Wojsko wzięło udział w mszy świętej, odbywającej się na placu, na tyłach kościoła mankietników (dzisiaj Mariawitów – Mariawiccy księża zawijali mankiety). Następnie odbyła się wielka defilada, będąca później częstym motywem pocztówek wydawanych w Łowiczu.

Dla utrzymania higieny w mieście reaktywowano łaźnię miejską. Łaźnia powstała w 1902 r. przy dawnej ul. Stodólnej (obecnie Tkaczew 8). Aktualnie w jej budynku mieści się elegancka restauracja. Podczas pobytu w mieście wojsk niemieckich, na podstawie zarządzenia niemieckich służb sanitarnych, łaźnia stała się miejscem przymusowych kąpieli dla jeńców rosyjskich oraz mieszkańców miasta. Nie był to bynajmniej przejaw niemieckiej kurtuazji, czy chęć ulżenia doli jeńców i mieszkańców miasta. Powód był pragmatyczny, brud i zawszenie oznaczały choroby, a choroby i epidemie były dla wojska zagrożeniem. Podobne przesłanki przyświecały akcji wielkiego sprzątania miasta, ogłoszonej w lutym 1915 roku przez komendanta miasta. Sprzątanie Łowicza zanieczyszczonego dosłownie tonami nawozu końskiego, naniesionego przez niekończące się potoki taborów przejeżdżających przez miasto, przypadło w obowiązku jego mieszkańcom. Nie dano im jednak do dyspozycji ani koni, ani narzędzi. W marcu powtórzono akcję oczyszczania miasta, tym razem wykorzystując w większości mieszkańców Łowicza żydowskiego pochodzenia. Do miasta sprowadzono również niemiec-

kich kupców. Luty upłynął wojsku pod znakiem napraw ulic, domów nadających się jeszcze do zamieszkania, elektryfikacji szpitali, koszar a nawet stajni. Koszary zajmowane niegdyś przez 39. Tomski Pułk Piechoty, zostały wystawione na sprzedaż na kilka miesięcy przed wybuchem I wojny[13]. W budynkach jeszcze w trakcie wojny Niemcy urządzili elektrownię. Dzisiaj mieści się tam Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 im. 10. Pułku Piechoty – który stacjonował w carskich koszarach do 1939 roku. W marcu mieszkańców miasta poddano przymusowym szczepieniom na ospę i cholerę. Takie same szczepienia otrzymywali również żołnierze niemieccy w polu. Jak łatwo się domyślić, nie był to gest dobroczynności, ale znowu wyraz pruskiej pragmatyczności. 25 IV 1915 r. rozpoczęła się budowa charakterystycznego elementu Starego Rynku. Mowa o pomniku w kształcie trapezu, który stanął naprzeciwko łowickiej kolegiaty[14]. Pomnik nie oparł się próbie czasu i dzisiaj możemy go zobaczyć jedynie na popularnych w tym okresie pocztówkach i prywatnych zdjęciach. Pomnik poświęcony został poległym w bitwie o Łowicz w 1914 r., a odsłonił go Leopold Wittelsbach, książę bawarski, który właśnie w kwietniu objął dowództwo nad 9. Armią, zastępując na tym stanowisku von Mackensena. Tarczyński, mimo iż doceniał pruską organizację i jej pewne logistyczne sukcesy, nie krył swojego oburzenia przebiegiem okupacji. Wraz z przedłużającym się pobytem Niemców w mieście rosło jego rozgoryczenie: *„Nie wojsko to armii narodu jakiegoś ucywilizowanego, ale horda dzikich zbójów, bandytów, złodziei i hersztów. Nic bowiem nie uszanują, nie ma dla nich nic świętego: kościoła, zabytków historycznych, dzieł sztuki, czci kobiety ni poszanowania starszego wieku. Nie ma tego czego by nie skradli, nie zrabowali, nie spustoszyli doszczętnie"*. Niemcy, uważający się za głównych lokatorów w Łowiczu, zupełnie inaczej postrzegali i wykorzystywali swoją obecność. Mieszkańcy Łowicza i ich tradycje byli dla nich tematem do ciekawych fotografii (łowickie pasiaki), czy źródłem pozyskiwania pamiątek (odcinali na pamiątkę guziki i wysyłali do Vaterlandu łowickie sukmany). Jak różniło się spojrzenie Niemców na ich pobyt w mieście od rzeczywistości, ilustrują dwa poniższe cytaty: *„Łowicz, jest około 12-tysięcznym miastem. Etapy mają tutaj sklep markietański oraz specjalną kantynę dla oficerów. Można tu było dostać dobre, niemieckie piwo i niezły posiłek, który jednak trzeba było odebrać samemu z kuchni, cóż, w warunkach wojennych obsługa gości była ograniczona do minimum*[15]*"* – pisał oficer 5. Rezerwowej Dywizji. Z kolei oficer z 5. Pułku Grenadierów wspominał w lekko patetycznym tonie: *„Dla wielu z nas dnie spędzone w Łowiczu znajdują specjalne miejsce w pamięci. Nie tylko dlatego, że można było tu od czasu do czasu odpocząć, doprowadzić się do porządku i nacieszyć oczy kolorowymi obrazami, ale można było obserwować płynące tu beztrosko życie, znajdujące się w nieustannym ruchu. W Łowiczu rozpoczynały się etapy i tutaj wykonywały swoją ciężką pracę, by dostarczyć wszystkiego czego wymagało prowadzenie wojny. Tu kończyła się kolej, tutaj łączyła ojczyzna z frontem. Tu zaczynała się droga rannych i urlopowanych*[16]*"*.

Spacerując po Łowiczu, możemy zobaczyć sporo miejsc niemal takimi, jakimi widzieli je żołnierze niemieccy czy rosyjscy. Szczególnie jeśli chodzi o stary i nowy rynek oraz łączące je ulice. Możemy zobaczyć, co prawda zza drzew, budynek niemieckiej komendantury etapów. Dzisiaj mieści się tam Dwór Biskupa Łowickiego. W okolicy Starego Rynku nastąpiło chyba najmniej zmian w architekturze, stąd można tu odnaleźć budynki ze stuletnich fotografii. Zmieniły się kolory fasad, tu i ówdzie przybyły nowe szyldy i reklamy, zmieniły się dachy na budynkach. W wielu miejscach urokliwe kocie łby zostały zastąpione asfaltem lub kostką brukową, ale nie brakuje uliczek o starej nawierzchni z kamiennymi rynsztokami. Nie ma już wprawdzie pomnika poświęconego zmaganiom o Łowicz w 1914 r. i placu na tyłach kościoła Mariawitów, ale miastu to raczej nie przeszkadza. Rany jakie zostawił ostrzał z 30,5 cm austriackiego moździerza już dawno zostały zabliźnione. Porównując wyblakłe fotografie sprzed 90 lat ze współczesnymi widać, że miasto posiada zdolność do regenerowania się i trwa dalej. Namawiam Was więc drodzy odkrywcy do odwiedzenia Łowicza i szukania w nim śladów przeszłości.

Przypisy:

[1] „Życie Gromadzkie" nr 7/1933

[2] „Łowiczanin", No 42, 16.10.1914

[3] F. Wertheimer, „Im Polnischen Winterfeldzug mit der Armie Mackensen", Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart, Berlin 1915, s. 129

[4] www.weltkriege.at, oraz H. von Behr „Bei den Fünften Reserve-Division im Weltkriege", Ernst Siegfried Mittler und Sohn, Berlin 1919 s. 76

[5] K. von Morgen, „Meiner Truppen Heldenkampfe", Ernst Sigfried Mittler und Sohn, Berlin 1920, s. 44

[6] F. Wertheimer, *op. cit.* s.130

[7] Wł. Tarczyński, „Kronika dziejów Łowicza z pierwszych dziewięciu miesięcy wielkiej wojny 1914-1915", Łowicz bd, mps w Bibl. Miejskiej w Łowiczu.

[8] R. Kołodziejczyk red. „Łowicz – dzieje Miasta", Warszawa 1986, s. 261

[9] Kurt von Morgen, *op. cit.* s. 44

[10] „Kriegs Etappen Ordnung 12.III.1914" [w]: G. Łowczowski „Organizacja Etapów Wojska Niemieckiego i Administracja Terenami Okupowanemi na froncie wschodnim podczas wojny 1914-1918", Warszawa 1933

[11] R. Kołodziejczyk, *op. cit.* s. 309

[12] Wł. Tarczyński, *op. cit.*, rękopis w Bibl. Miejskiej w Łowiczu.

[13] R. Kołodziejczyk, *op. cit.*, s. 257

[14] Wł. Tarczyński, *op. cit.*

[15] H. von Behr, *op. cit.* s. 63

[16] A. Seydel, „Das Grenadier-Regiment König Friedrich I. (4. Ostpreussisches) Nr 5 im Weltkriege", Verlag Gerhard Stalling, Berlin 1926, s. 121

Stanisław Kaliński

Pasjonat, autor książki: „Ataki gazowe w bitwie pozycyjnej 9. Armii Niemieckiej nad Bzurą i Rawką 1914-1915", wyd. Fort 2010

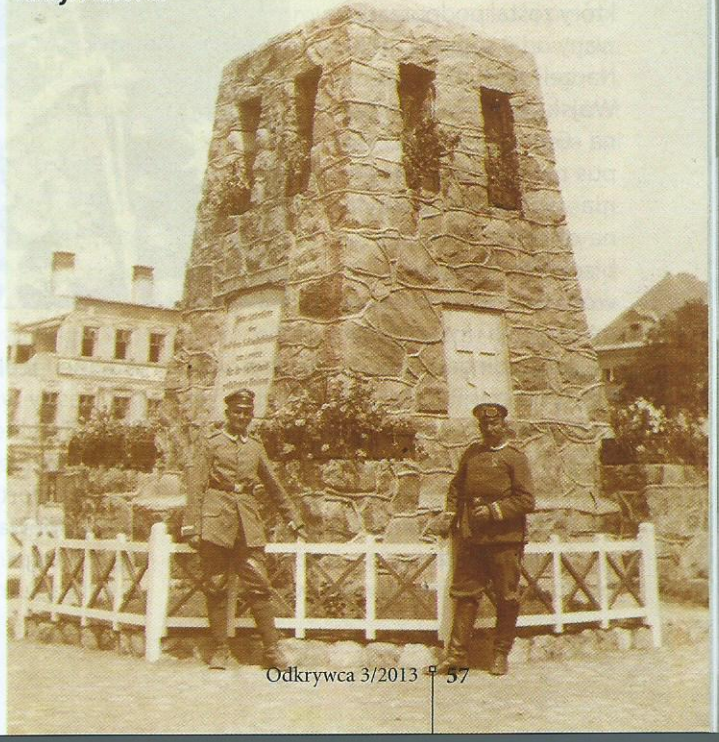

Zbudowany w kwietniu 1915 r. pomnik walk o Łowicz w 1914 roku. Znajdował się na przeciwko Kolegiaty (Bazyliki Katedralnej) na Starym Rynku. Zdjęcie z kolekcji Autora.

Francuski Medal Pamiątkowy Górnego Śląska 1920-1922

TEKST: GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

W Europie po I wojnie światowej istniało szereg kwestii spornych, dotyczących przynależności ludności i obszarów do poszczególnych państw. Wówczas to zasada samookreślenia narodów zwyciężyła nad legalistyczną doktryną prawno-państwową o formalnej przynależności obszarów. Zasada ta stanowiła także podstawę zastosowania rozwiązań plebiscytowych.

Przedstawione Niemcom warunki pokoju zakładały m.in. przekazanie Polsce Górnego Śląska. Obszar ten zamieszkany był w większości przez ludność polskojęzyczną, co zostało potwierdzone w pruskim spisie ludności w roku 1910. Na mocy art. 88 Traktatu Wersalskiego i umowy francusko-niemieckiej z 9 stycznia 1920 r. została utworzona na Górnym Śląsku Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa. Podstawowym jej zadaniem było nadzorowanie prawidłowego przebiegu kampanii plebiscytowej i samego głosowania. W styczniu 1920 r. Rada Najwyższa Konferencji Pokojowej podjęła decyzję o wysłaniu na Górny Śląsk alianckiego korpusu ekspedycyjnego, który został podporządkowany od 9 stycznia 1920 r. Naczelnemu Dowództwu Wojsk Sprzymierzonych na Górnym Śląsku. Korpus miał realizować zadania wojskowo-policyjne na obszarze objętym plebiscytem. Naczelne Dowództwo Wojsk Sprzymierzonych na Górnym Śląsku podlegało z kolei Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej. Dowódcą korpusu, od 15 listopada 1919 r., był francuski gen. Jules Gratier. Szefem sztabu, mianowany 18 listopada 1919 r., francuski płk d'Alayer de Costemore. Tymczasową siedzibą sztabu korpusu był Pałac Inwalidów w Paryżu.

Płk Adrien Henry (1888-1963). Wśród wielu nadanych francuskich i polskich orderów i odznaczeń, był również uhonorowany Medalem Pamiątkowym Górnego Śląska. Kolekcja: B. Sublet (Francja).

Sprawa utworzenia alianckiego korpusu ekspedycyjnego budziła duże kontrowersje, dotyczące głównie jego liczebności. Brytyjczycy opowiadali się za wystawieniem grupy złożonej z obserwatorów wojskowych, mającej symboliczny charakter, natomiast Francuzi – za skierowaniem na Górny Śląsk formacji przedstawiającej bardzo realną siłę bojową, która w każdej chwili mogła wejść do działań bojowych. Zwyciężył francuski punkt widzenia. Zgodnie z pierwotnym planem aliancki korpus ekspedycyjny miał się składać z osiemnastu batalionów piechoty, w tym: czterech amerykańskich, trzech brytyjskich, sześciu francuskich i pięciu włoskich. W końcu jednak oddziały amerykańskie nie weszły w skład alianckiego korpusu ekspedycyjnego wysłanego na obszar objęty plebiscytem na Górnym Śląsku.

Transport francuskiego kontyngentu zgrupowanego w Nancy, rozpoczął się 1 lutego 1920 r. i odbywał się koleją przez: Landau, Moguncję, Frankfurt n. Menem, Głogów, Wrocław, Opole. 3 lutego 1920 r. dotarł do Gliwic. Pierwszy transport włoskich oddziałów przybył na Górny Śląsk dopiero 14 lutego 1920 roku. Sztab korpusu został umiejscowiony na terenie Gliwic. Od lutego do sierpnia 1920 r. Naczelnemu Dowództwu Wojsk Sprzymierzonych na Górnym Śląsku podlegały: francuska 46. Dywizja Strzelców Alpejskich i włoski 135. Pułk Strzelców Alpejskich. Trzon francuskich sił stanowiły dwie brygady: 91. Brygada Strzelców – sztab w Katowicach – obejmowała (wg stanu z 19 V 1920 r.):

» 6. batalion (Gliwice i Rybnik),
» 23. batalion (Katowice i Pszczyna),
» 24. batalion (Bytom, Królewska Huta[1] i Tarnowskie Góry).

92. Brygada Strzelców – sztab w Kluczborku – obejmowała:

» 7. batalion (Śląsk Cieszyński),
» 13. batalion (Opole i Pokój),
» 27. batalion (Bytom, Gliwice, Kluczbork i Opole). Oprócz oddziałów strzeleckich w skład tej dywizji wchodziły:
» 12. Pułk Huzarów (Gliwice, Opole i Krapkowice),
» 218. Pułk Artylerii: 1. bateria (Tarnowskie Góry), 2. bateria (Opole), kompania łączności (Gliwice), kompania inżynieryjno-saperska (Opole), pluton kolarzy (Gliwice), oddział administracyjno-gospodarczy (Gliwice) oraz wojskowy szpital polowy (Opole).

W skład włoskiego kontyngentu wchodził 135. Pułk Strzelców Alpejskich z dyslokacją:

» 1. batalion (Strzelce Opolskie i Głogówek),
» 2. batalion (Koźle),
» 3. batalion (Głubczyce i Opole),
» 4. batalion (Racibórz i Krzanowice) oraz dywizjon artylerii (Koźle). Do sierpnia 1920 r. jedna włoska kompania stacjonowała na terenie Śląska Cieszyńskiego.

Naczelne Dowództwo Wojsk Sprzymierzonych na Górnym Śląsku miało do swojej dyspozycji kompanię wozów bojowych, złożoną z trzech plutonów (Katowice, Bytom i Opole), posiadającą na swoim stanie: 26 czołgów i 18 samo-

chodów pancernych. Łącznie siły francusko-włoskie, w sierpniu 1920 r., szacuje się na ok. 16 tys. żołnierzy. Dowódcą francuskiego kontyngentu był gen. Sauvage de Brantes, a włoskiego płk Francesco Salyioni. Na początku marca 1921 r. aliancki korpus ekspedycyjny został wzmocniony dodatkowymi siłami: włoskim batalionem strzelców oraz czterema batalionami brytyjskimi. Dowódcą brytyjskiego kontyngentu, którego liczebność ocenia się na ponad 4 tys. żołnierzy, był gen. Arthur Wauchope, następnie gen. William Heneker. W momencie wybuchu III Powstania Śląskiego, aliancki korpus ekspedycyjny liczył ponad 18 tys. żołnierzy, w tym: 10 400 Francuzów, 3 979 Włochów i 4 tys. Brytyjczyków. W okresie Powstania, celem wzmocnienia włoskiego kontyngentu, przysłano z Włoch kolejny batalion strzelców. Łączna liczebność alianckiego korpusu wyniosła wówczas ok. 20 tys. żołnierzy.

Obszar plebiscytowy w czasie III Powstania Śląskiego był podzielony na trzy strefy dyslokacji:

» brytyjska – powiaty: kluczborski, oleski, lubliniecki, tarnogórski i część namysłowskiego,

» francuska – powiaty: katowicki, bytomski, toszecko-gliwicki i opolski,

» włoska – powiaty: rybnicki, raciborski, strzelecki, kozielski, głubczycki i prudnicki.

Z obszaru plebiscytowego kontyngenty wojskowe były wycofywane stopniowo. Ostatnim oddziałem opuszczającym teren plebiscytowy, była jednostka francuska, która wyjechała z Opola 10 lipca 1922 roku.

Na wniosek Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej na Górnym Śląsku, 5 września 1921 r. rząd francuski ustanowił nowe odznaczenie o charakterze pamiątkowo-kombatanckim o nazwie „Medal Pamiątkowy Górnego Śląska" (Médaille Commémorative de Haute-Silésie). Inicjatywę utworzenia tego odznaczenia historycy przypisują dwóm francuskim generałom: Jules Gartier[2] i Stanislas Naulin[3]. Opinie na temat autorstwa tego projektu są podzielone i nie można jednoznacznie przypisać tej koncepcji z całą pewnością jednej z wymienionych osób. Medal Pamiątkowy Górnego Śląska był nadawany przez Prezydenta Republiki Francuskiej na wniosek:

Odmiana odznaczenia, medal pozłacany z okuciem Haute-Silesie (Górny Śląsk). Wykonany na indywidualne zamówienie odznaczonej osoby. Kolekcja: M. Smythe (Wielka Brytania).

Medal Pamiątkowy Górnego Śląska (awers i rewers). Odznaczenie wykonane na zamówienie francuskiego rządu. Kolekcja: B. Sublet (Francja).

Gouvernement Interallié de Haute-Silésie.

MÉDAILLE COMMÉMORATIVE

Le Diplôme de la Médaille Commémorative de Haute-Silésie, instituée le 5 septembre 1921, est conféré à

M.[redacted]

Chasseur au 15e Bataillon de chasseurs (Troupes françaises)

Le Président,

Dyplom nadania 22 III 1922 r. Medalu Pamiątkowego Górnego Śląska żołnierzowi z 15. Batalionu Strzelców Alpejskich. Kolekcja: B. Sublet (Francja).

» Ministra Obrony – w odniesieniu do: jednostek wojskowych, żołnierzy i urzędników wojskowych,

» Ministra Spraw Zagranicznych – w odniesieniu do urzędników korpusu cywilnego i cudzoziemców,

» Ministra Spraw Wewnętrznych – w odniesieniu do funkcjonariuszy Policji.

Zgodnie z przepisami wykonawczymi z 22 września 1921 r. prawo do otrzymania tego odznaczenia miały formacje, jak i osoby:

1. Jednostki wojskowe od szczebla batalionu wzwyż, które pełniły co najmniej 2 miesiące służbę na terenie objętym plebiscytem,
2. Oficerowie, żołnierze oraz urzędnicy wojskowi, którzy pełnili co najmniej 2 miesiące służbę na terenie objętym plebiscytem,
3. Pracownicy korpusu cywilnego, którzy pełnili co najmniej 2 miesiące służbę na terenie objętym plebiscytem,
4. Funkcjonariusze Policji, którzy pełnili co najmniej 2 miesiące służbę na terenie objętym plebiscytem,
5. Oficerowie, żołnierze, urzędnicy wojskowi i cywilni, policjanci, niezależnie od okresu pełnienia służby, którzy polegli, zmarli w wyniku doznanych ran, zostali ranni lub kontuzjowani,
6. Cudzoziemcy, którzy współpracowali lub wspomagali Międzysojuszniczą Komisję Rządzącą i Plebiscytową.

Uhonorowana osoba musiała pokryć koszt odznaczenia, z tego obowiązku zwolnione były rodziny osób poległych, zmarłych oraz cudzoziemcy[4]. Natomiast koszt dyplomu nadania odznaczenia był pokrywany z budżetu państwa.

Pierwsze nadanie miało miejsce 22 marca 1922 r. w siedzibie Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej w Opolu. Wśród 150 odznaczonych[5] oficerów i żołnierzy znaleźli się m.in.: gen. Henri Le Rond, gen. Jules Gratier, gen. Paul Sauvage de Brantes, gen. Stanislas Naulin, mjr Roland (?) Petitpas. Wśród uhonorowanych pośmiertnie był mjr Bernard Montalegre[6].

Medal Pamiątkowy Górnego Śląska wykonany jest w brązie, metodą bicia, o średnicy 30 mm, zawieszany na uszku

ozdobionym gałązkami z liśćmi dębu. Na awersie umieszczona jest tarcza heraldyczna ze stylizowanym orłem śląskim. Tarcza została ułożona na gałęzi z liśćmi dębu, nad tarczą znajduje się szarfa z napisem „HAUTE SILESIE" (Górny Śląsk) wykonana stylizowanymi dużymi literami łacińskimi. Na środku rewersu umieszczono daty wykonane cyframi arabskimi: „1920-1922". Wokół dat, w okręgu, widnieje napis wykonany dużymi literami łacińskimi: „COMMISSION INTERALLIEE DE GOUVERNEMENT ET DE PLEBISCITE" (Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa). Odznaczenie jest zawieszone na wstążce o szerokości 37 mm w kolorze niebieskim z żółtym pasem o szerokości 12 mm umieszczonym na środku wstążki.

Sztandar 7. Batalionu Strzelców Alpejskich odznaczony Medalem Pamiątkowym Górnego Śląska. Kolekcja: 7e Bataillon de Chasseurs (Francja).

Dużą ciekawostką kolekcjonerską jest pozłacana odmiana medalu, która, ponadto, na wstążce ma umieszczone pozłacane okucie: „HAUTE-SILESIE"[7]. Ten rodzaj medali wykonywano na indywidualne zamówienia uhonorowanych osób. Obecnie nieliczne kolekcje muzealne i prywatne mogą poszczycić się ich posiadaniem.

Z wysokim prawdopodobieństwem odznaczenie posiadało etui. Jednak w materiałach, do których miałem dostęp, nie było fotografii czy opisu słownego takiego przedmiotu. Zgodnie z wymogami przepisów wykonawczych, odznaczona osoba powinna była nosić Medal Pamiątkowy Górnego Śląska w pełnej formie w trakcie: uroczystych obchodów świąt narodowych i wojskowych, wręczania orderów i odznaczeń oraz innych uroczystości, stosownie do zaleceń zawartych w zaproszeniu.

Medal Pamiątkowy Górnego Śląska winien być umieszczony na lewej piersi, zgodnie ze starszeństwem posiadanych orderów i odznaczeń francuskich. W przypadku noszenia baretki na umundurowaniu typu wojskowego, powinna ona posiadać wymiary: 10×37 mm. Baretkę umieszcza się na lewej piersi, nad górną kieszenią kurtki mundurowej, zachowując kolejność starszeństwa nadanych orderów i odznaczeń.

Na koniec muszę wspomnieć, że we Francji pod koniec roku 1923 zostało utworzone Stowarzyszenie Amicale des Medailles de Haute Silesia, które skupiało weteranów armii francuskiej pełniących służbę na Górnym Śląsku w okresie 1920-1922 i uhonorowanych Medalem Pamiątkowym Górnego Śląska. Po II wojnie światowej, po reaktywacji, Stowarzyszenie działało pod nową nazwą: Association Nationale des Anciens de Haute Silesie 1920-1922[8]. Obecnie historycy szacują, że Medalem Pamiątkowym Górnego Śląska zostało uhonorowanych ok. 13 tysięcy osób.

Przypisy:

[1] Od roku 1934 nazwę miasta zmieniono na Chorzów.

[2] Jules Victor Gratier (1863-1956), gen. francuski, Naczelny Dowódca Wojsk Sprzymierzonych na Górnym Śląsku (19 II 1919-VII 1921).

[3] Stanislas Naulin (1870-1932), gen. francuski, Naczelny Dowódca Wojsk Sprzymierzonych na Górnym Śląsku (23 .VIII 1921-10 VII 1922).

[4] W materiałach brytyjskich oraz włoskich nie natrafiłem na żadne wzmianki o nadaniu tego odznaczenia obywatelom tych państw. Co do Polaków, również nie udało się potwierdzić informacji krążącej w środowisku kolekcjonerskim i muzealniczym, że w latach 1922-1924, odznaczenie miało być nadawane w Ambasadzie Francji w Warszawie.

[5] Łącznie w tym dniu uhonorowano ponad 2500 osób. Medal Pamiątkowy Górnego Śląska wręczano we wszystkich jednostkach wchodzących w skład francuskiego kontyngentu wojskowego.

[6] Bernard Montalegre, oficer francuski, d-ca 27. Batalionu Strzelców Alpejskich (X 1920 – 4 VII 1921), zastrzelony w 1921 przed bytomskim kasynem wojskowym przez niemieckich bojowców. W latach 1920-1922 na terenie Górnego Śląska w trakcie służby poległo 71 żołnierzy francuskich. Najwięcej, bo aż 30 zginęło 9 IV 1922 w trakcie wnoszenia do samochodów materiałów wybuchowych, ukrytych przez niemieckich bojowców w grobowcu hr. Einsiedela na Cmentarzu Hutniczym w Gliwicach, gdzie doszło do niekontrolowanej eksplozji.

[7] Okucie na wstążkę z napisem „Haute-Silesie" jest inicjatywą samozwańczą, która nie ma usankcjonowania w przepisach wykonawczych dot. Medalu Pamiątkowego Górnego Śląska.

[8] Za Z. Gołasz, Muzeum Miejskie w Zabrzu: Eksponat kwietnia 2011 – Medaille de Haute Silesie (Medal Górnego Śląska) MZ-12435/H

Literatura:

1. G. Grześkowiak, J. Mikitin, „Powstania Śląskie 1919-1920-1921", 2012
2. „Encyklopedia Powstań Śląskich", red. F. Hawranek, 1982
3. B. Malec-Masnyk, „Plebiscyt na Górnym Śląsku", 1989
4. N. Nawrocka, R. Kiper, „Francja i Francuzi na Śląsku. La France et les Français en Silésie", 2010
5. M. Patelski, „Generał Henry Le Rond oraz jego związki z Polską, Śląskiem i Opolem" [w:] „Primum vivere deinde philosophari. O ludziach czynu w dziejach Europy Środkowej i Wschodniej", 2009
6. K. Popiołek, „Historia Śląska. Od pradziejów do 1945 roku", 1984
7. J. Przewłocki, „Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa na Górnym Śląsku w latach 1920-1922", 1970
8. H. Schulze, „Freikorps und Republik", 1969
9. T. Wilson, „Frontiers of violence. Conflict and identity in Ulster and Upper Silesia 1918-1922", 2010

Grzegorz Grześkowiak

Pasjonat historii Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska i Policji Województwa Śląskiego II RP. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Polska biżuteria patriotyczna w XIX wieku

Znaki dumnej pokory

TEKST: PIOTR GALIK

Nie zawsze potrzeba słów, by wyrazić swoje poglądy. Zwłaszcza, gdy swobodna wypowiedź jest w myśl prawa przestępstwem. Z taką opresją musieli zmierzyć się mieszkańcy ziem zaboru rosyjskiego, gdzie w myśl obowiązującego od czasów stłumienia Powstania Listopadowego prawa wojennego, cenzura skutecznie kneblowała publiczną dyskusję na temat wolności obywatelskich i statusu Polaków jako poddanych rosyjskiego cara. Przejawem cichego buntu przeciw dyskryminacji i represjom politycznym tego okresu stała się specyficzna forma biżuterii, zwanej patriotyczną, emblematyczną czy żałobną. Noszenie tych celowo skromnych, wręcz ubogich ozdób było śmiałą deklaracją polityczną: „jestem Polką", „jestem patriotą"... Wystarczył jeden rzut oka, aby stwierdzić, z kim się ma do czynienia. Tak oto, zwłaszcza w czasach po wygaśnięciu Powstania Styczniowego, żałobne, pełne pokory pierścienie, brosze czy dewocjonalia stały się dumnym wyzwaniem rzuconym wszechmocnym, lecz w sferze ducha bezsilnym Moskalom...

Zaczęło się od ryngrafu i tabakierki

Biżuteria patriotyczna opatrzona symbolami narodowymi, państwowymi czy wojskowymi, stała się popularna w Rzeczypospolitej w schyłkowym okresie jej niepodległości. Konfederaci Barscy i ich sympatycy chętnie demonstrowali swoje przywiązanie do staropolskich tradycji oraz oddanie zasadom wiary katolickiej. Warto dodać, że klasyczny sarmacki ubiór męski (żupan, kontusz, konfederatka) nazywany był strojem narodowym, w odróżnieniu od kosmopolitycznych fraczków i peruk zapożyczonych z Europy zachodniej i z upodobaniem noszonych przez środowiska dworskie, często utrzymujące się dzięki funduszom operacyjnym obcych ambasad. Tak więc u schyłku I Rzeczypospolitej styl ubrania, a nawet zarost (lub jego brak), był wówczas jednoznaczną deklaracją – za Polską czy przeciw niej, za Konstytucją, czy za Targowicą...

Jednym z najpowszechniej spotykanych w drugiej połowie XVIII w. typem patriotycznego emblematu był ryngraf, czyli ozdobna tarczka z symbolami religijnymi i narodowymi, używany zwykle w charakterze naszyjnika. Ryngraf pochodził w prostej linii od elementu zbroi rycerskiej, toteż stał się ozdobą typowo męską, zakładaną jako dodatek do ubioru wojskowego. W tej roli zrósł się z tradycją niepodległościową tak bardzo, że bywał noszony dwa wieki później, przez antykomunistycznych partyzantów, nazywanych obecnie Żołnierzami Wyklętymi. W okresie rozbiorów i wojen napoleońskich powstało jednak wiele innych rodzajów – by użyć współczesnej terminologii – gadżetów patriotycznych. Niektóre z nich zgrabnie łączyły walory dekoracyjne, ideowe i użytkowe – wystarczy przypomnieć osobliwą tabakierkę mickiewiczowskiego księdza Robaka, ozdobioną wizerunkiem cesarza Napoleona. Podobną rolę dyskretnej propagandy pełniły damskie wachlarze, opatrzone portretami bohaterów i postaci historycznych. Z czasem asortyment patriotycznych ozdób znacznie się poszerzył, gdyż przedsiębiorczy jubilerzy, świadomi tendencji rynkowych i popytu, wytwarzali mniej lub bardziej kosztowne dewizki do zegarków, spinki do koszul, brosze, klamry do pasów, a przede wszystkim pierścionki i sygnety opatrywane napisami czy emblematami o treści politycznej. Apogeum popularności patriotycznej biżuterii przypadło jednak na początek lat 60. XIX w., czyli okres przed, w trakcie, i po Powstaniu Styczniowym.

Ryngraf uczestnika Konfederacji Barskiej, Hetmana Wielkiego Litewskiego, księcia Michała Kazimierza Ogińskiego (1730-1800) ze zbiorów Muzeum w Tarnowskich Górach, to znakomity przykład emblematu patriotycznego, łączącego symbolikę religijną i militarną.

Złota, emaliowana tabakiera z portretem Napoleona I, wyrób paryski ok. 1812 roku. Na ziemiach polskich pod zaborami takie przedmioty nabierały rangi symbolu patriotycznego.

Gdy smutek był zakazany...

W latach 1860-1862 wielkim zainteresowaniem społecznym cieszyły się liczne nabożeństwa żałobne, organizowane dla uczczenia znaczących rocznic oraz bohaterów walk o niepodległość i całość Rzeczypospolitej. Uroczystości religijne często przeradzały się w demonstracje polityczne. Stało się tak w czerwcu 1860 r. podczas pogrzebu wdowy po gen. Sowińskim, legendarnym obrońcy Woli, poległym niemal 30 lat wcześniej („Odkrywca" nr 2/2012). Kolejne uroczystości rocznicowe, które miały miejsce w lutym 1861 roku (30-lecie bitwy o Olszynkę Grochowską), zakończyły się surowymi represjami policyjnymi i przelewem krwi. Tragiczna śmierć uczestników pokojowej manifestacji, zamordowanych przez rosyjskie wojsko, wywołała wielkie oburzenie opinii publicznej. Jednym z przejawów woli zademonstrowania niezgody na „moskiewskie porządki w Warszawie", było pismo biskupa Melchiora Fijałkowskiego, ogłoszone 3 III 1861 roku. Warszawski hierarcha zalecał rodakom uczczenie pamięci ofiar brutalności władzy przez noszenie ubrań żałobnych. Inicjatywę tę podjęło opiniotwórcze, zwłaszcza wśród pań, czasopismo „Magazyn Mód": *„W przekonaniu naszym, odzież żałobna powinna być nacechowana wielką prostotą i powagą. Jeżeli wdzięk niezbędny jest warunkiem w ubiorze kobiety, żałoba nawet wyłączać go nie może, ale wszak wdzięk nie polega na sztucznych wymysłach i ozdobach, od których powinna być wolną odzież wyrażająca głębokie cierpienie"*. Wkrótce nie tylko w warszawskich salonach, ale także w prowincjonalnych dworkach noszono na co dzień skromne, ciemne ubiory. Kobiecą garderobę zdominowały czarne suknie z białymi kołnierzami i mankietami, zwykle uzupełniane szalem lub chustą na ramionach. Wymyślne fryzury ustąpiły miejsca – stosownie do wieku i stanu – warkoczom, koczkom i innym prostym uczesaniom. Panom zalecano pełną żałobę. Także odzież dziecięca wykonywana była z tkanin w barwach ciemnych lub różnych odcieniach szarości. Surowość i powagę ubioru podkreślać miała także specyficzna, czarna biżuteria. Złoto zastępowane było srebrem, a nawet żelazem, miejsce kamieni szlachetnych zajęły ozdoby wykonywane z lawy wulkanicznej, gagatu, onyksu, hebanu, rogu, laki czy czarnego szkła. W szczególnie kosztownych przedmiotach wykorzystywano także perły i czarną emalię. Biżuteria utrzymana w tym stylu wręcz uderzała swoją dumną pokorą, raziła Rosjan i ich polskich kolaborantów jak wyrzut sumienia. Zaborcy postanowili zatem zabronić prawnie takich milczących demonstracji. „Kurjer Warszawski" z 2 XI 1863 r. opublikował instrukcję generała Fiodora Berga, który rozporządzał, że pod groźbą kary (pisownia oryginalna): *„kapelusz powinien być kolorowy, jeżeli zaś będzie czarny to ma być ubrany kwiatami lub też wstążkami kolorowymi, lecz pod żadnym pozorem nie białymi. Pióra czarne i białe przy czarnych kapeluszach są zabronione. Kaptury mogą być czarne na podszewce kolorowej, lecz nie białej. Wzbronione jest używanie: czarnych woalek, rękawiczek, równie jak parasolek czarnych i czarnych z białym, jak niemniej takichże szalów, chustek, szalików i chusteczek na szyję oraz sukien zupełnie czarnych jako też czarnych z białym. Salopy, burnusy, futra, palta i inne wierzchnie ubrania mogą być czarne, lecz bez białego. Dla mężczyzn pod żadnym pozorem żałoba miejsca mieć nie może"*. Natomiast oficjalny komunikat w numerze 7 „Ogłoszeń Łódzkich – Lodzer Anzeiger" z roku 1864 wymieniał wśród zakazanych elementów stroju także „niepoprawną politycznie" biżuterię (pisownia oryginalna): *„Przypominając powtórnie mieszkańcom miasta Łodzi, ażeby nie nosili żałoby zabronionej pod surową odpowiedzialnością, pociągająca za sobą karę pieniężną, zarazem objaśniam, czego mianowicie kobiety nosić nie powinny:*

1) Sukien czarnych, oraz czarnych z białym, a nawet i kolorowych obszytych czarną taśmą – z wyjątkiem jedwabnych czarnych, których używać dozwala się tak jak i w innych kolorach.

2) Rękawków czarnych z białym, kołnierzyków białych lub chusteczek z czarnym obszyciem, kapeluszy czarnych z białymi przyborami.

3) <u>Znaków emblematycznych, popiersi na broszkach, spinkach itp. kobiecych strojach, jak najmniej przy łańcuszkach i paskach.</u> Pomimo bowiem wyraźnego zakazu, niektóre kobiety pozwalają so-

Jednym z rodzajów męskiej biżuterii były ozdobne klamry pasów powstańczych z lat 1863-64. Prezentowany eksponat ze zbiorów MWP wykonano z mosiądzu, a wśród roślinnych motywów dekoracyjnych umieszczona jest kotwica – znak nadziei. Wymiary: 65×113 mm.

Broszka z czarnego szkła i srebra z lat 1861-62. Centralnym jej elementem jest kompozycja trzech symboli: krzyża (wiary), kotwicy (nadziei) i orła w koronie. Odwrotna strona broszki opatrzona została agrafką. Eksponat ze zbiorów MWP.

Żelazny sygnet z symbolami cnót ewangelicznych w miejscu, gdzie w pierścieniach zwykle umieszczano herb rodowy posiadacza. Wybór materiału nie jest przypadkowy – nawiązuje do fragmentu z „Kroniki" Marcina Kromera: „Idź złoto do złota. My Polacy bardziej się w żelazie kochamy i żelazem bronić będziemy". Zbiory MWP.

Patriotyczny krzyżyk wykonany z drewna pochodzącego z Olszynki Grochowskiej. Końcówki ramion oraz centralne spojenie okute złotą blaszką, wymiary: 52×33 mm. Inskrypcja „Z Olszynki"/„dnia 25 lutego 1831 r." upamiętnia to wydarzenie historyczne, którego 30. rocznicę uroczyście obchodzono w Warszawie. Eksponat ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego.

bie sprzeciwiać się przepisom. Dla tego oświadczam: że jeżeli mimo ogłoszenia niniejszego, dostrzec się dadzą które z wymienionych przedmiotów, osoba posiadająca lub nosząca takowe, bez względu na jej stan, obok surowej kary pieniężnej, ulegnie aresztowi. Panowie zaś będą odpowiedzialni i za służących, gdyby ci zatrzymani zostali w ubiorze żałobnym (...). W Łodzi d (9) 21 stycznia 1864. Policmajster Miasta Łodzi: Major Kaliński".

Miarą wspaniałomyślności okupantów była decyzja, że odzież żałobną pozwolono nosić osobom, które mogły wylegitymować się urzędowym aktem zgonu ojca, matki lub współmałżonka, okazywanym na wezwanie policji lub wojska. W obliczu rygorystycznie egzekwowanych przepisów policyjnych, podziemny Rząd Narodowy zwolnił specjalnym dekretem rodaków z obowiązku noszenia żałoby, aby nie narażać ich na represje. Pomimo to, swoisty styl żałoby narodowej przyjął się w środowiskach patriotycznych poza zaborem rosyjskim, a szczególnie był kultywowany w Galicji. W roku 1864 we Lwowie opublikowana została broszura Domicjana Mieczkowskiego „Reforma stroju Polek z uwzględnieniem okoliczności teraźniejszych", zalecająca przestrzeganie tej formy manifestacji poglądów politycznych (pisownia oryginalna): *„Gdzie noszenie żałoby narodowej nie napotyka gwałtownego oporu, i nie naraża na doskwierne prześladowanie, tam niechaj jej stale dochowują Polacy i Polki podług właściwego tej barwy ducha i znaczenia: mianowicie z jednoczesnym wdrażaniem się i hartowaniem w przestrzeganiu skromności, prostoty, oszczędności, samozrzeczenia osobistego, i chwalebnej w popieraniu wyższych celów gorliwości. Gdzie zaś wróg najezdniczy, biorąc oznakę noszonego przez krajowców stroju żałobnego za hasło do wściekłych ze swej strony napadów (...), wystawa poczciwych obywateli i zacne obywatelki na igrzysko swej przewrotności i podłości; tam zaiste musi być zwleczona żałoba stroju; wszakże powinna pozostać żałoba serca".*

Już po upadku Powstania Styczniowego upowszechniły się narodowe dewocjonalia. Były to zazwyczaj metalowe krzyżyki, na których umieszczano orła polskiego w koronie oraz inskrypcje, takie jak *„BOŻE ZBAW POLSKĘ"*. Bardzo częstym motywem, zaczerpniętym z Nowego Testamentu, były połączone wyobrażenia korony cierniowej lub krzyża, serca i kotwicy, symbolizujące ewangeliczne cnoty Wiary, Nadziei i Miłości, zapowiadające zmartwychwstanie Ojczyzny. Oczywistą aluzją do niewoli narodowej były bransolety wzorowane na kajdanach zesłańców i naszyjniki stylizowane na łańcuchy katorżników.

Specyficznym przejawem przestrzegania zasad patriotycznej żałoby było pojawienie się charakterystycznego typu karabel kostiumowych, wytwarzanych przede wszystkim w warsztatach Krakowa i Lwowa, a noszonych jako obowiązkowe uzupełnienie stroju narodowego, czyli kontuszowego, praktykowane w zaborze austriackim. Warto dodać, że staropolski kostium szlachecki był oficjalnie uznawany na dworze wiedeńskim za właściwy, dopuszczalny ubiór galowy podczas uroczystości i świąt państwowych. Typowa czarna karabela, odpowiadająca kanonom żałoby narodowej, oprawiona była w czernione srebro lub oksydowaną stal, okładki rękojeści często wykonywano z hebanu, czarnego dębu lub rogu, pochwa obszyta była czarną skórą lub aksamitem, a okucia pokrywano czarną emalią lub czerniono chemicznie. Częstym, choć niekoniecznym, elementem zdobniczym takich szabel były portrety dawnych władców lub dowódców polskich.

Tradycja zobowiązuje

Biżuteria patriotyczna jako sposób dyskretnej, lecz jasnej ekspresji politycznych przekonań, nie odeszła do lamusa historii z końcem XIX wieku. Towarzyszyła Polakom oddanym sprawie wolności i niepodległości Kraju podczas wojen światowych, a ponowną popularność zyskała w okresie „karnawału Solidarności" lat 1980-81 i „nocy jaruzelskiej" po pamiętnym 13 grudnia. Szczególnie charakterystycznym emblematem tamtych czasów był drobny element elektrotechniczny, czyli opornik, noszony w klapie marynarki jako znak woli oporu przeciwko znienawidzonej władzy. Choć nie ogłoszono formalnego zakazu noszenia oporników, „bijące serce partii" (ZOMO, ORMO, MO, SB itp.) szykanowało posiadaczy takiego „antysocjalistycznego" gadżetu wzorem swoich poprzedników w służbie Rosji sprzed stu siedemdziesięciu lat... ◗

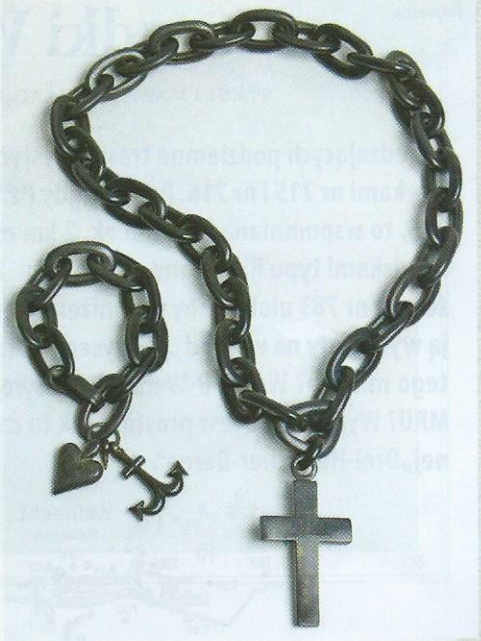

Przechowywane w Muzeum Historycznym Miasta Stołecznego Warszawy naszyjnik z krzyżykiem i bransoleta z sercem i kotwicą stanowią przykład kompletu damskiej biżuterii patriotycznej. Wykonane zostały z czarnej laki.

Literatura i ilustracje:
1. G. Kieniewiczowa, „Pamiątki Powstań Narodowych", Warszawa 1988
2. W. Bigoszewska, „Polska biżuteria patriotyczna", Warszawa 2003
3. Wł. Kwaśniewicz, „Dzieje szabli w Polsce", Warszawa 1999
4. Katalogi zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Krakowie oraz Muzeum Miasta Stołecznego Warszawy.

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

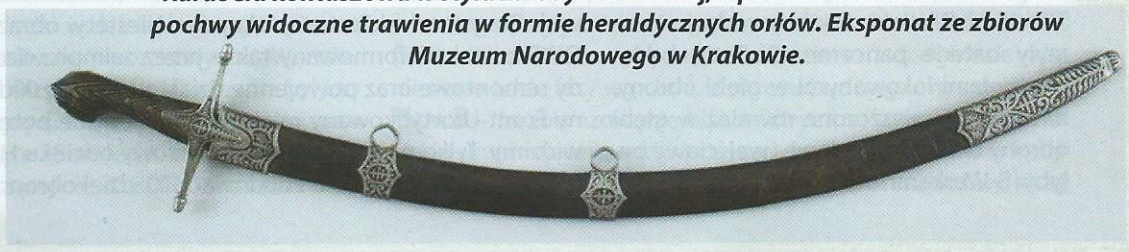

Karabela kontuszowa w stylu żałoby narodowej, 2 poł. XIX wieku. Na okuciach pochwy widoczne trawienia w formie heraldycznych orłów. Eksponat ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.

Zagadki Werkgruppe Drei-Herrscher-Berge

TEKST I MAPY: JERZY SADOWSKI; ZDJĘCIA: MARCIN DUDEK

Zwiedzających podziemne trasy turystyczne na MRU zaskakuje zagadkowa luka w obronie, rozciągająca się pomiędzy pancerwerkami nr 715 i nr 716. Podczas gdy Pz.W. 716 od Pz.W 717 dzieli ok. 500 m i podobny dystans jest pomiędzy Pz.W 714 i Pz.W. 715, to wspomniana luka ma ok. 2 km rozpiętości. Pośrodku tej luki leży rozległe wzgórze ufortyfikowane kilkoma tylko stanowiskami typu Ringstand z 1944 roku. Jedyny schron bojowy, należący do Frontu Ufortyfikowanego, to niewielki obiekt wejściowy nr 783 ulokowany w obniżeniu terenu, wręcz na dnie niewielkiej kotliny. Natomiast otaczające go „zęby smoka" formują wysunięty na wschód „półwysep" o długości ok. 700 m i wspinają się na wschodni brzeg kotliny. Jak więc zamierzano bronić tego miejsca? Wszak B-Werk 783 ze swojego dołka niewiele mógłby zwojować, a Ringstandy to inna epoka w fortyfikacjach MRU? Wyjaśnienie jest proste: brak tu całego zespołu najpotężniejszych dzieł Festrungsfront OWB, czyli Werkgruppe nazywanej „Drei-Herrscher-Berge".

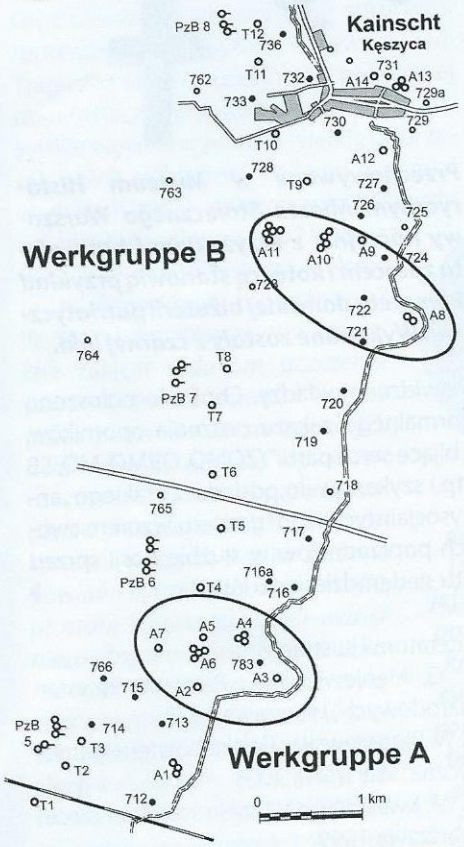

Rozmieszczenie Werkgruppe na centralnym odcinku Frontu Ufortyfikowanego.

Schemat ideowy organizacji pozycji ufortyfikowanej typu Festungsfront przewidywał trzy rodzaje dzieł bojowych służących bezpośredniej obronie oraz trzy formy ich rozmieszczenia na fortecznym polu walki. Te budowle obronne, służące do bezpośredniego zwalczania przeciwnika, miały stanowić A-Werki, T-Werki i B-Werki. Osobny rodzaj tworzyły baterie pancerne (Pz.Batt.) będące dziełami lokowanymi w głębi obrony, natomiast umieszczone również w głębi obrony obiekty wjazdowe i wejściowe byłyby B-Werkami dostosowanymi do potrzebnej funkcji. Poszczególne budowle obronne w tym teoretycznym planie miały być rozmieszczone następująco:

Główne ośrodki obrony miały stanowić zespoły A-Werków, czyli Werkgruppe, ulokowane około 4 km od siebie. Teoretyczna Werkrguppe miała posiadać własną przeszkodę okrężną oraz zajmować teren liczący ok. 500 m w linii frontu i ciągnący się ok. 1500 m w głąb obrony. Tworzyłoby ją 6-7 A-Werków, w tym przeważająca część z nich byłaby wyposażona w kazamaty pancerne dla armat do ognia bocznego. W terenie pozwalającym na budowę podziemi każdy z A-Werków mógł obejmować od 1 do 5 obiektów naziemnych, o zróżnicowanym uzbrojeniu: od broni maszynowej, poprzez miotacze ognia i moździerze, po armaty 5 i 10 cm (50 i 105 mm). W zakresie komunikacji i zaopatrzenia, zaplecza technicznego, magazynowego, socjalnego i dowodzenia byłyby to autonomiczne dzieła. Można więc stwierdzić, iż każdy z takich A-Werków mógł z osobna stanowić dzieło nazywane „grupą warowną", a cała Werkgruppe w istocie miała być czymś w rodzaju „zgrupowania grup warownych".

Pierwszą linię obrony, wypełniającą międzypola Werkgruppe, miały stanowić B-Werki rozmieszczone co ok. 400-500 m w terenie otwartym i ok. 200-300 m w terenie zadrzewionym lub pofałdowanym. B-Werki obrony przeciwpancernej miały towarzyszyć przeszkodzie głównej i otrzymać armaty umieszczone w wieżach lub kazamatach pancernych. Można ją określić jako B-Werklinie.

Drugą linię obrony, biegnącą na międzypolach A-Werkgruppe, ok. 700-1000 m za B-Werklinie, miały tworzyć T-Werki (odporności A) rozmieszczone podobnie do B-Werków i prawdopodobnie zawsze wyposażone w wieżę z armatą 105 mm (skrót T-Werk może więc oznaczać np. Turm-Werk). Tę drugą linię schronów bojowych można określić jako T-Werklinie. Ponadto w głębi obrony miały być rozmieszczone baterie pancerne, z haubicami 149 mm lub dalekonośnymi armatami 105 mm, prowadzące ogień kierowany przez obserwatorów. Dla wzmocnienia ważnych miejsc w obronie przewidywano także budowę pojedynczych, samodzielnych A-Werków lub ich małych grup. Miały być lokowane głównie w linii B-Werków, lecz także w głębi obrony, w miejscach, gdzie uzbrojenie T-Werków byłoby niewystarczające. Również dodatkowe B-Werki miały stanowić wzmocnienie różnych miejsc na fortecznym polu walki i lokowano je w całej głębokości obrony, natomiast na terenach zalesionych mogły tworzyć drugą i kolejne B-Werklinie, zastępując T-Werki.

Fortyfikacje, które obecnie możemy zobaczyć w rejonie Skwierzyny, Międrzyrzecza i Świebodzina, a określamy jako MRU, to stare budowle obronne Linii Nierosłysz-Obra oraz fragmenty B-Werklinie, jeden rozpoczęty A-Werk i jedna rozpoczęta bateria pancerna planowanego Festungsfront OWB. Towarzyszą im różne budowle hydrotechniczne oraz wielokilometrowa sieć torowisk kolei budowlanej. Na ten szkielet przedwojennych umocnień w 1944 r. nałożono setkę stanowisk Ringstand i kilometry okopów. Niestety, obraz nieukończonych fortyfikacji OWB został zdeformowany także przez zaimprowizowane w podziemiach zakłady remontowe oraz powojenne działania zwycięskich wojsk. Natomiast planowany Front Ufortyfikowany miał być wielokrotnie potężniejszy od tego, co obecnie widzimy. Tylko na przyjętym za wzorcowy odcinku Hochwalde, czyli tzw. „odcinku centralnym", zamierzano zbudować 111 dzieł obronnych (Werke). Ponieważ część

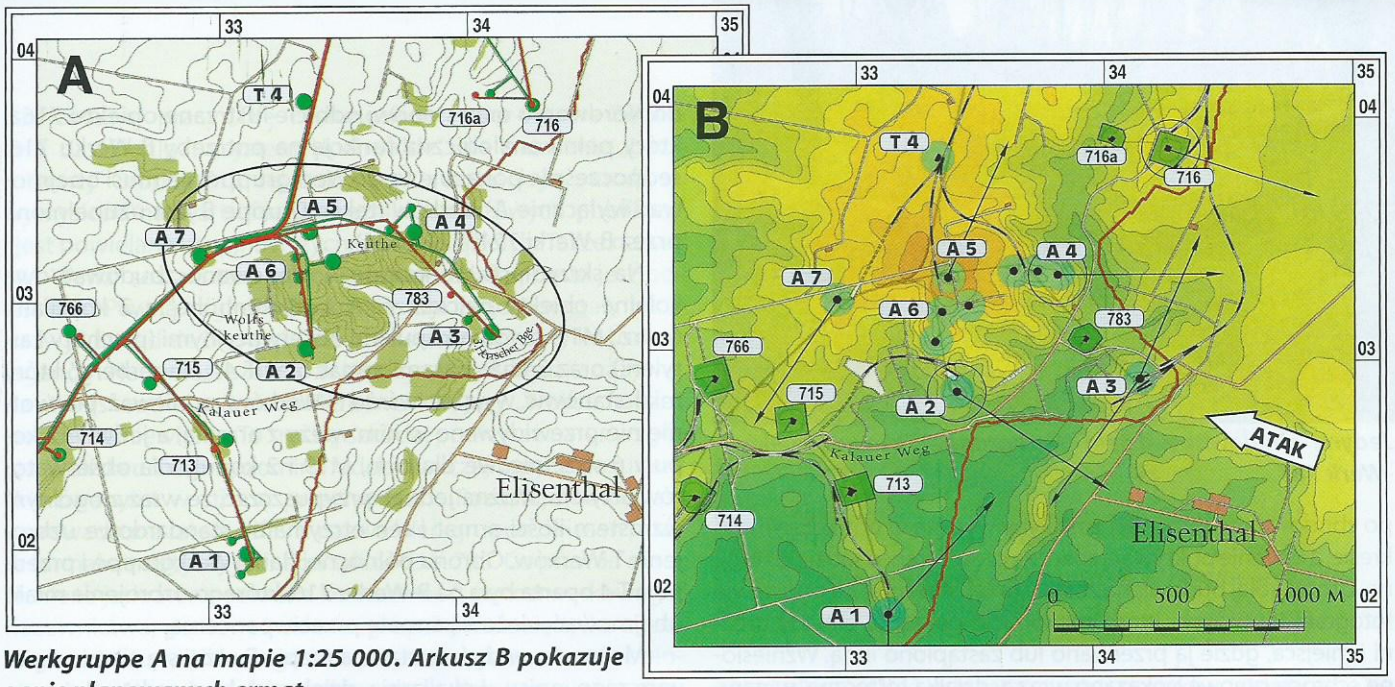

Werkgruppe A na mapie 1:25 000. Arkusz B pokazuje ognie planowanych armat.

miała być wieloelementowa (nawet do 6), to schronów bojowych, w sensie obiektów naziemnych, planowano około 144-152. Na całym Festungsfront OWB miało być takich dzieł trzy raz więcej, czyli ok. 330. Można więc szacować, że osobnych budowli obronnych, czyli pojedynczych schronów byłoby *circa* 450. Jak wiadomo, w trakcie 2,5 roku budowy OWB powstało ok. 15 procent planowanych schronów, aczkolwiek wykonano prawie cały główny podziemny system komunikacyjny Odcinka Wysoka (Hohlgangsystem Hochwalde).

Na odcinku Hochwalde, z uwagi na jego niewielką długość oraz urozmaicony teren w północnej części, planowano tylko dwie grupy A-Werków oznaczone jako A i B. W literaturze południowa Gruppe A została nazwana „Drei-Herrscher-Berge", natomiast planowana w rejonie Kęszycy północna Gruppe B w dokumentach określana jest jako „Russenberge". Uwaga: zwyczaj ówczesnych niemieckich saperów fortecznych, polegający na oznaczaniu wszystkiego literami alfabetu, może prowadzić do błędnego wniosku, że Gruppe B stanowią B-Werki. Lecz litery A, B, itd. mogą oznaczać zarówno odporność, jak i funkcję czy przynależność. Dzięki dokumentowi prezentującemu planowaną w 1935 r. wojenną obsadę Frontu Ufortyfikowanego (Kriegsbesatzung des Abschnit des Hochwalde) i mapie z projektem stref wentylacji podziemnego systemu komunikacyjnego z roku 1936, wiemy, że grupa A była bliższa schematowi teoretycznemu, bo liczyć miała 6 dzieł, podczas gdy grupa B tylko 4. Dodatkowo plan wentylacji pokazuje ile szybów (czyli dzieł naziemnych) wówczas planowano. Stąd wiadomo, że A-Werki mniejszej grupy B miały liczyć 13 obiektów naziemnych, podczas gdy w grupie A planowano 11 takich obiektów. Lecz ilość wielkich elementów pancernych chroniących uzbrojenie lub obserwatorów, przeważać miała w grupie A (40 szt. wobec 38 szt. planowanych w grupie B), z czym łączy się także liczebność planowanej obsady, wynosząca 584 ludzi w dziełach grupy A oraz 519 ludzi w dziełach grupy B. Dodać należy, że planowana liczebność załogi pozostałych A-Werków zawierała się w przedziale od 90 do 200 ludzi, oraz że były to naprawdę bardzo wstępne plany. Otóż wcześnie projektowane B-Werki miały mieć załogi liczące 38-46 ludzi, podczas gdy zbudowane wymagały obsady liczącej ok. 20-30 ludzi dla dzieł małych (722, 728), standardowo ok. 60-80 ludzi (717 i podobne), a duże nawet ponad 100 ludzi (814, 817, Schill). Przypuszczać więc można, że podobnie jak liczebność załóg mogły zmieniać się planowane dzieła główne, czyli A-Werki – aczkolwiek przypuszczenia te to jedynie subiektywna hipoteza. Co prawda rozpoczęta budowa A-Werka nr 8 „Tannenberg" wskazuje, iż został nieco „zredukowany" przez zmniejszenie liczby obiektów naziemnych z trzech do dwóch, lecz ogólnie planowano wzmocnienie uzbrojenia, a więc i wzrost liczebności załogi, wszystkich dzieł. Dobitnie widać to na przykładzie dokumentu „Kriegsbesatzung...", w którym dla B-Werków nie przewidywano jakichkolwiek armat, podczas gdy z badań wynika, że wiele miało je otrzymać, a niektóre nawet dwie. Ponadto późniejsze wytyczne dla organizacji obrony przeciwpancernej pozycji typu front ufortyfikowany przewidywały w B-Werkach także armaty 10 cm. Podobnie rosło uzbrojenie A-Werków, ponieważ w roku 1935 dla A 3 przewidywano tylko jedną armatę w kazamacie pancernej, a sytuacja jaką widzimy obecnie w terenie jednoznacznie wskazuje na to, że ten czołowy obiekt musiał być zdolny do prowadzenia ognia na obie flanki. Także sąsiednie A 2 oraz A 4 musiały mieć możliwość obrony międzypola i wsparcia A 3 ogniem armat, podczas gdy plany z roku 1935 przedstawiają A-Werk nr 2 jako dzieło tylko z uzbrojeniem piechoty. Jak więc widać, całość planowanego uzbrojenia to jedna z głównych zagadek, nie tylko tytułowej Werkgruppe, lecz całego MRU...

Kolejną taką zagadką jest ilość zaprojektowanych obiektów naziemnych, a sytuację ilustrują złączone mapy:

Mapa A – pokazuje przebieg podziemnych chodników komunikacyjnych i lokalizację dzieł wg projektu wentylacji z 1936 r. (kolor zielony) w zestawieniu z wykonanymi podziemiami i przeszkodą z „zębów smoka" (kolor czerwony). Przedstawia również konflikty przeszkody z drogami, których przebieg zobrazowano wg przedwojennych map Messtischblatt 1:25 000 (siatka kilometrowa tych map podana jest na marginesie). Naniesiono także lasy wg stanu z okresu budowy umocnień.

Mapa B – to zobrazowanie hipsometryczne, które najlepiej ilustruje dominujące punkty terenu wybrane pod budowę fortyfikacji (poziomice poprowadzono co 5 m). Pominięto lasy, które

Jedyne zbudowane dzieło Werkgruppe A to niewielki B--Werk 783.

po zbudowaniu umocnień zostałyby wycięte w potrzebnym zakresie, a obecnie pokrywają znaczną część terenu i sadzi się kolejne. Drogi i kolej budowlana zostały przedstawione na podstawie fotografii lotniczych, które znakomicie pokazują zmiany drożni i miejsca, gdzie ją przerwano lub zastąpiono inną. Wzniesione schrony bojowe pokazano wraz z „działką forteczną" w narysie kontrskarpy, natomiast dzieła planowane podkreślają okręgi ilustrujące zasięg hipotetycznej przeszkody okrężnej. Podkreślić należy, iż nie jest to obraz ukończonego Frontu Ufortyfikowanego, lecz stan z 1938 r. „zamrożony" przez historię i uzupełniony przez autorskie opracowanie dostępnych informacji. Aczkolwiek jest to miejsce, gdzie dzięki projektowanym i wykonanym podziemiom można zobrazować potęgę fortyfikacji, które zdaniem niemieckich sztabów były niezbędne do skutecznego zatrzymania spodziewanych ataków Wojska Polskiego.

Jak wiemy, tytułowa Werkgruppe miała obejmować sześć A-Werków, które mogły prezentować się następująco:

A 2 „Gruppe A Süd", to jeden obiekt naziemny mający za zadanie obronę przedpola A 3 i międzypola do A 1, z 2 kopułami 6-strzelnicowymi dla ckm, M19, kopułą obserwatora piechoty oraz wieżą armaty,

A 3 „Gruppe A Elisenthal", to dzieło czołowe, przeznaczone do ognia flankującego wzdłuż linii przeszkody głównej, które tworzyć mógł jeden lub dwa obiekty naziemne wyposażone w 3 kopuły 6-strz., M19, kopułę obserwatora artylerii oraz 2 kazamaty armat 10 cm,

A 4 „Gruppe A Ost", tworzyłby trzy obiekty naziemne posiadające łącznie 3 kopuły 6-strz., 1 moździerz M19, 2 kopuły obserwacyjne (piechoty i artylerii) oraz wieżę z armatą,

A 5 „Gruppe A Kernwerk", stanowiłby jeden obiekt naziemny mieszczący stanowisko dowódcy Werkgruppe i wyposażony w 2 lub 3 kopuły 6-strz., M19, 2 kopuły obserwatorów (piechoty i artylerii) oraz w kazamatę armaty 10 cm,

A 6 „Gruppe A Mitte", to centralnie położony trójelementowy obiekt mieszczący baterię moździerzy 10 cm (leHT), z 3 kopułami 6-strz. i 2 kazamatami ckm,

A 7 „Gruppe A West", to jeden obiekt naziemny mający za zadanie obronę zapola Werkgruppe A z 2 lub 3 kopułami 6-strzelnicowymi dla ckm, M19, kopułami dla obserwatora piechoty i obserwatora artylerii oraz kazamatą armaty 10 cm.

Ponadto w czołowej części Werkgruppe A zbudowano uzupełniający ją B-Werk 783, który towarzyszy A-Werkowi 3, mającemu powstać w bardzo eksponowanym miejscu. Można więc przyjąć, iż 783 stanowiłby technicznie obiekt wejściowy dla A 3, a funkcjonalnie „furtę wypadową", podobnie jak Nordwerk w baterii pancernej nr 5. Jest zresztą podobny do Nordwerku oraz stanowi odbicie lustrzane obiektu 716a, który pełnił analogiczną funkcję na potrzeby B-Werku 716. Jednocześnie pokazuje to, że Werkgruppe nie musi obejmować wyłącznie A-Werków (także Gruppe B jest uzupełniona przez B-Werki 721, 722 i 724).

Na skrzydłach Werkruppe A planowano zbudować dwa kolejne obiekty najcięższe: A 1 „Birkenhöhe" z 2 kopułami 6-strz., M19, dwoma kopułami obserwacyjnymi (piechoty i artylerii) oraz 2 kazamatami armat oraz T 4 „Fingerberg", który miał stanowić wyjątek wśród T-Werków, ponieważ pierwotnie nie przewidywano w nim wieży z armatą, a jedynie 2 kopuły 6-strzelnicowe dla ckm, M19 i 2 kopuły dla obserwatorów artylerii. Można jednak przypuszczać, że wraz z ogólnym wzrostem ilości armat i ten otrzymałby standardowe uzbrojenie T-Werków. Obrona północnej flanki Werkgruppe i przedpola T 4 oparta była na B-Werku 716, którego uzbrojenie miało obejmować wieżową armatę przeciwpancerną.

Można zauważyć, że stan na mapie B różni się nieco od powyższego opisu. Lokalizacja dzieł została przedstawiona na podstawie planu z 1936 r., odgałęzień wykonanych w podziemnych tunelach oraz rzeźby terenu, a to dane dalece niewystarczające. Dlatego w części jest to domniemanie, ponieważ niektóre z odgałęzień mogły być przeznaczone dla komór amunicyjnych. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że takie przeznaczenie mogło mieć odgałęzienie na zachodnim końcu dworca IDA oraz na południe od B-Werka 766. Dlatego istnieje wiele wątpliwości, szczególnie w przypadku dwóch obiektów naziemnych przylegających do odgałęzień leżących po innej stronie chodnika komunikacyjnego, niż główny obiekt dzieła. Na omawianym odcinku podziemi dotyczy to południowego obiektu w A 6 oraz zachodniego w A 4 – oba te A-Werki mogły zostać zredukowane do dwóch części naziemnych, analogicznie do A 8. Podobne wątpliwości dotyczą A 3 oraz A 1. W przypadku A-Werku nr 3 planowaną część z wejściem zastąpiono B-Werkiem 783, lecz brak poszlak by stwierdzić, czy po tej zmianie nie rozdzielono by planowanego obiektu głównego na dwa mniejsze (zdaniem autora pozostałby jeden duży schron, więc taki stan pokazuje mapa ilustrująca tekst). Analogiczna zagadka dotyczy A-Werku nr 1, który projektowano w 1936 r. jako trójelementowy, natomiast miejsce, w którym kończy się podziemny chodnik, sugeruje redukcję tego dzieła, nawet do jednego tylko obiektu naziemnego.

Werkgruppe A zajmować miała dwa wzgórza, bardzo różniące się wysokością i wielkością. Mniejsze, które dało jej tytułową nazwę, na przedwojennych mapach oznaczone jest skróconą nazwą „3.Herrscher Beg.", a obecnie „Kikot" i miało posłużyć do budowy tylko jednego A-Werka, nr 3 „Elisenthal". Pozostałe pięć A-Werków rozlokowano na wzniesieniu z punktem wysokościowym 142,9 m n.p.m. (obecnie 142,6 m, wg. Kronsztad) i wysokości ponad 145 m n.p.m. Ten masyw przewyższa o 27 m wzgórze Kikot (wys. 118 m/117,5 m), lecz obecnie jest bezimienny. Niegdyś nazywano go Keuthe lub Wolfskeuthe, co można przetłumaczyć jako Wilcze Jamy. Tu niezbędna jest dygresja o pochodzeniu tytułowej nazwy Drei-Herrscher-Berge (Wzgórze Trzech Władców), która obecnie jest powszechnie używana. W przeciwieństwie do nazwy położonego pod wsią Kęszyca wzniesienia Russenberge, nazwa Drei-Herrscher-Berge nie jest wymieniana w „Kriegsbesatzung...". Wprowadzono ją w opublikowanej w 1988 r. fun-

damentalnej pracy „Die Festungsfront Oder-Warthe-Bogen und das Hohlgangsystem Hochwalde", dla nazwania „bezimiennej" Gruppe A. Z tej pracy, oraz z notatek jej autora, ta wymyślona nazwa trafiła do wszelkich możliwych publikacji i jest powielana w najnowszych nawet książkach. Także nazwa „A1-Werki" została tam wprowadzona i analogicznie jest powielana. Pewną zagadką pozostaje, dlaczego powstały takie nazwy? Bo ładnie brzmią? Dziś obie stanowią już tylko „urban legends". Natomiast szansa, że Werkgruppe A będzie nazywana „Wolfskeuthe", na podobieństwo kwatery „Wolfsschanze", jest chyba niewielka. To trochę szkoda, ponieważ narys wzgórza Wolfskeuthe przypomina odcisk wilczej łapy, z pazurami skierowanymi w stronę przeciwnika... Pozostaje natomiast wprowadzona latem 1939 r. nazwa Werkgruppe „Friesen", która formalnie dotyczy jednego tylko Pz.W. 783. Co prawda określenie to jaskrawo podkreśla kuriozalność „pancerwerkowego" nazewnictwa, ponieważ cała ta „grupa" składa się tylko z jednego obiektu wejściowego (towarzyszą mu trzy schrony polowe z żelbetowych prefabrykatów, ale trudno nazywać je pancerwerkami). A może jest tu ziarenko prawdy i nazwę „Friesen" nadano w kontynuacji wcześniejszych zamiarów? Natomiast „Gruppe A" było tylko określeniem roboczym? Wówczas wypadałoby używać nazw: A 2 Friesen-Süd, A 4 Friesen-West, itd.

Wracając do ukształtowania terenu należy zwrócić uwagę, iż wzg. 142,6 od wzgórza Kikot oddziela dolina, której dno w rejonie B-Werka 783 znajduje się na wys. około 100 m n.p.m. Przewyższenie osiąga więc 45 m, co odciska piętno na zagłębieniu chodników oraz znacznej wysokości mających tu powstać szybów. Informacje o poziomie spągu w podziemnych chodnikach znajdziemy na wydanej w ubiegłym roku ciekawej mapie turystycznej MRU, wykorzystującej jako tło mapy topograficzne w skali 1:10.000. Według autorów mapy, podziemia w rejonie B-Werka 783 wydrążono na wysokości 81 m n.p.m., co oznacza, że szyb tego schronu ma niecałe 15 m głębokości. Natomiast na przeznaczonym do obsługi Werkgruppe A dworcu I [IDA] podziemia biegną 10 m wyżej niż pod 783, wobec czego A-Werk 5 miałby szyb o głębokości ok. 50 m, czyli 20 pięter. Jest to znacznie więcej niż w B-Werku 726 (ok. 30 m) lub w B-Werku 730, czy planowanym A-Werku nr 10 (ok. 40 m). Lecz czy A 5 miałby najgłębszy szyb na MRU? Tego niestety nie wiadomo. Jednocześnie kolejną zagadką jest odwodnienie podziemi w rejonie schronu nr 783. Podziemny chodnik silnie tu opada, gdyż przechodzi pod kotliną na zapolu A 3. Jednak mimo braku odwodnienia chodnik nie jest zalany. Dlaczego? Czy są tu jakieś nieznane tunele?

Jak łatwo zauważyć podczas analizy możliwego wyglądu MRU, stale napotykamy na różne zmiany w projektach fortyfikacji i zaskakujące przekształcenia terenu. Można wręcz powiedzieć, że ciągnące się w nieskończoność zmiany to cecha MRU, ponieważ dotyczyły także stanowisk typu Ringstand (śledząc prace budowlane prowadzone jesienią 1944 r. daje się zauważyć, iż np. przygotowane wykopy zlikwidowano i stanowiska te zbudowano w zupełnie innych miejscach). Dlatego bardzo ciekawym zagadnieniem są także te zmiany projektów, które dotyczą zbudowanych B-Werków. Takim przykładem jest przesunięcie schronu 716a w głąb obrony (na zachód) oraz podobna zmiana w przypadku A 3 West, ale połączona z zastąpieniem go przez B-Werk 783. Zastanawiając się z czego wynika ta zmiana można przyjąć, iż wymusił ją

Rozwidlenie podziemnych korytarzy w rejonie jednego z niezbudowanych A-Werków.

układ terenu. Otóż w lokalizacjach z projektu datowanego na rok 1936 oba schrony by się nie „widziały", a więc nie mogłyby wspierać się ogniowo oraz obserwować sytuacji, np. w razie szturmu. Z uwagi na ulokowanie A 3 West na dnie doliny w obserwacji przeszkadzałby stok wzniesienia, na którym zbudowano B-Werk 716. Oczywiście stok ten można było zniwelować, lecz może z uwagi na to, że jest to odcinek głównej linii walki (HKL), zmieniono ustawienie dzieł na widoczne obecnie. Dzięki temu schrony 716a oraz 783 zyskały możliwość wzajemnej obrony i obserwacji, a także lepsze warunki obrony kotliny rozciągającej się pomiędzy wzgórzem Wolfskeuthe a Drei-Herrscher-Berge. Jednakże przesunięcie schronu 783 na północ spowodowało, że stracił łączność wzrokową ze schronem nr 713, gdyż na tej linii znalazł się jeden z „wilczych pazurów", czyli południowo-wschodnia część zbocza Wolfskeuthe. Aby zachować kontakt wzrokowy i ogniowy pomiędzy schronami 713 i 783, postanowiono więc usunąć przeszkadzającą część wzgórza. Jak postanowiono, tak zrobiono, i dzisiaj nieco na wschód od miejsca wybranego pod budowę A 2 jest wysoka piaszczysta skarpa, zwieńczona stanowiskiem Ringstand. Skarpa ta jest równoległa do linii łączącej 713 i 783, a ponadto na przedwojennych mapach w tym miejscu jest stok, u podstawy którego przechodzi Kalauer Weg (Droga Kaławska). Co zrobiono z urobkiem, który można liczyć w tysiącach metrów sześciennych? Gdzie trafił? To kolejna z zagadek Wekgruppe A, gdyż brak tu odgałęzienia kolei budowlanej. Wymyślone przez entuzjastów „latające pociągi" należy raczej wykluczyć, użycie taczek i podobnych rozwiązań także. Prawdopodobnie wykorzystano polową kolejkę wąskotorową, czyli rozwiązanie typowe dla prac ziemnych o takiej skali. Urobek spożytkowano zapewne do kształtowania terenu, np. do zasypania zbędnych niecek lub formowania nasypów i stoków dzieł bojowych. To zagadnienie dotyczy już szeregu innych prac ziemnych związanych z Frontem Ufortyfikowanym, które można nazwać architekturą krajobrazu fortecznego. Lecz przekształcenia te, to temat na osobny artykuł o zagadkach i tajemnicach MRU.

Jerzy Sadowski

Redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, kustosz Skansenu Fortyfikacji w Jastarni. Założyciel wielu stowarzyszeń, działacz Stowarzyszenia „Fortiso".

Zapomniane bohaterki Powstania Styczniowego

Wzorem sarmackich wojowniczek...

TEKST: PIOTR GALIK

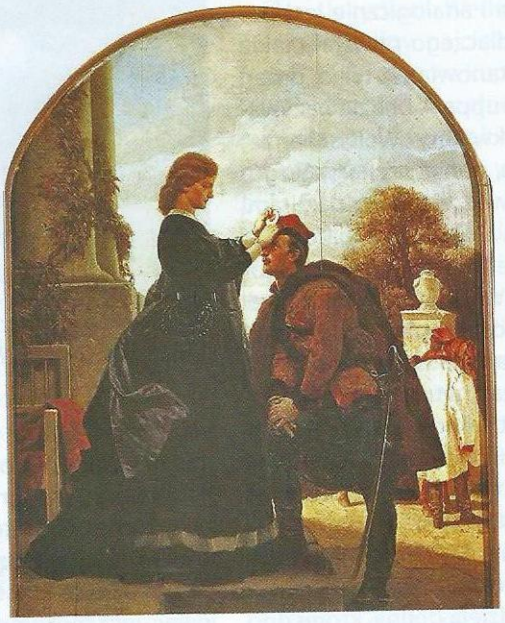

Według jednego z najważniejszych polskich mitów narodowych, pochodzimy podobno od wojowniczych Sarmatów, konnych koczowników, którzy w starożytności przemierzali bezmiar równin Eurazji, gromiąc wszelkich napotkanych przeciwników. Badania naukowe, w tym wykopaliska archeologiczne, wskazują, że specyficzną cechą kultury sarmackiej była wysoka pozycja społeczna kobiet, które na równi z mężczyznami uczestniczyły w wyprawach wojennych. Podobno młoda Sarmatka mogła wybrać sobie męża dopiero po własnoręcznym zgładzeniu wroga na polu walki... Uwzględniwszy ten tkwiący w naszej najdawniejszej przeszłości czynnik kulturowy nie możemy czuć się zaskoczeni, że Polki brały udział w walkach zbrojnych o wolność i niepodległość Ojczyzny także w czasach znacznie nam bliższych, a i obecnie zasilają szeregi profesjonalnych sił zbrojnych III RP...

Komendantowa, markietanka i hrabianka, czyli najsłynniejsze polskie Amazonki

Wśród niewiast wsławionych godną podziwu odwagą wskazać można Annę Dorotę Chrzanowską, która w roku 1675 przyczyniła się swoim uporem i determinacją do obrony oblężonej przez Turków Trembowli. Jako żona komendanta twierdzy zagroziła podpaleniem prochowni, jeśli załoga warowni złożyłaby broń. Dzielna komendantowa skutecznie przekonała męża i jego podwładnych do dalszej walki. W końcu oddziały nieprzyjacielskie odstąpiły od murów miasta, a pani Chrzanowska uczczona została w Trembowli pomnikiem.

Znacznie większy rozgłos (za sprawą bardzo popularnych niegdyś powieści historycznych Wacława Gąsiorowskiego) zyskały czyny Joanny Żubrowej, pierwszej kobiety nagrodzonej Orderem Virtuti Militari. Późniejsza bohaterka wojen napoleońskich pochodziła z Berdyczowa, a jej ojciec, Jan Pasławski herbu Jastrzębiec, był oficerem w przedrozbiorowym wojsku Rzeczypospolitej. W wieku 16 lat Joanna poślubiła por. Jana Domusławskiego, a po jego śmierci związała się z Maciejem Żubrem herbu Sas. W roku 1806, na wieść o klęsce Prus i formowaniu polskich oddziałów wspierających armię francuską, małżonkowie sprzedali majątek na Żytomierszczyźnie i przekradli się przez granicę zaboru rosyjskiego do Warszawy, by wstąpić do Wojska Polskiego. Joanna – wbrew panującej później opinii – początkowo wcale nie została markietanką (zaliczaną do stanu oddziału wojskowego handlarką zaopatrującą żołnierzy w żywność i alkohol), lecz szeregowym piechurem w męskim przebraniu. Jako „młodszy brat" Macieja Żubra, zaciągnęła się wraz z nim do 4. kompanii 2. batalionu 2. pułku piechoty Księstwa Warszawskiego. Wzięła udział w walkach z Austriakami w roku 1809, a podczas szturmu Zamościa zasłynęła odwagą w walce o jeden z bastionów, gdzie przyczyniła się do zdobycia nieprzyjacielskiej armaty. Za swoje bohaterskie czyny Joanna z Pasławskich Żubrowa nagrodzona została Krzyżem Kawalerskim Orderu Virtuti Militari jako pierwsza kobieta w dziejach tego odznaczenia. Sierżant Joanna (pierwsza w Wojsku Polskim kobieta w tej randze!) już jako markietanka, uczestniczyła także w kampanii 1812 roku, przeżyła odwrót spod Moskwy, późniejsze walki w Niemczech i Francji, kończąc karierę wojskową dopiero wraz z kapitulacją Napoleona w 1814 roku. Po demobilizacji osiadła wraz z mężem w okolicy Wielunia, gdzie zmarła w połowie XIX wieku.

Najbardziej jednak znaną bojowniczką o niepodległość stała się – za sprawą romantycznej legendy i niezwykle popularnego wiersza Adama Mickiewicza – hrabianka Emilia Plater. Potomkini zamożnego i wpływowego rodu arystokratycznego z Litwy wyróżniała się wśród dziewcząt swojej sfery dość niezwykłymi zainteresowaniami. Emilię fascynowała raczej historia niż nowości mody, a jazda konna, szermierka i strzelectwo zajmowały ją bardziej, niż tańce i życie towarzyskie. Trudno zatem dziwić się, że uważana była za osobę ekscentryczną. Gdy w grudniu 1830 r. na Litwę dotarły wieści o warszawskiej „nocy listopadowej", hrabianka Platerówna

Joanna Żubrowa, pierwsza kobieta-podoficer Wojska Polskiego, z dumą nosiła insygnia Orderu Virtuti Militari, także po zakończeniu służby.

Emilia hrabianka Plater herbu własnego, wg ryciny z epoki.

znalazła się wśród zwolenników zbrojnego powstania przeciw zaborcom. Gdy rozpoczęły się walki partyzanckie, Emilia niezwłocznie przyłączyła się do jednego z oddziałów. Młoda kobieta z krótko ściętymi włosami, w męskim stroju, uzbrojona w broń palną i białą, budziła spore emocje wśród powstańców. Jedni zachwycali się jej determinacją i patriotyzmem, upatrując w arystokratce swojskiego odpowiednika świętej Joanny d'Arc, inni gorszyli się działalnością „sprzeczną z naturą", a na pewno z przyjętymi normami społecznymi. Trzeba przyznać, że pomimo niechęci wielu osób, Emilia Plater zdołała zgromadzić pod swoją komendą kilkusetosobowy oddział powstańców, który walczył z Rosjanami w szeregu potyczek, ponosząc ciężkie straty. Niepowodzenia w walkach przyniosły rozproszenie partyzanckiego batalionu hrabianki, która wraz z częścią podwładnych dotarła do swojego kuzyna, Cezarego Platera, kierującego inną grupą bojową, a następnie przyłączyła się do oddziału „wolnych strzelców wiłkomierskich". W czerwcu 1831 r. z rąk legendarnego bohatera wojen napoleońskich, gen. Dezyderego Chłapowskiego, Emilia przyjęła stopień kapitana (pierwsza kobieta – oficer w dziejach Wojska Polskiego?) i dowództwo kompanii w 1. pułku piechoty litewskiej. Na czele swojego oddziału kpt. Plater odniosła sukces zajmując miejscowość Rosienie na Kowieńszczyźnie. Zwycięstwo to było jednak tylko epizodem bez strategicznego znaczenia. Rosjanie przeszli do zdecydowanych działań ofensywnych. Emilia wykazała się raz jeszcze odwagą i zdecydowaniem podczas niepomyślnych walk pod Szawlami. Gdy powstańcy postanowili przekroczyć granicę Prus i złożyć tam broń, by uniknąć klęski z rąk Rosjan, kpt. Plater podjęła próbę dotarcia do Królestwa Kongresowego, by kontynuować walkę z zaborcą. Trudy pieszej wędrówki okazały się jednak zbyt wielkie. Emilia, trawiona gorączką i wyczerpana nadmiernym wysiłkiem, znalazła schronienie we dworze rodziny Abłamowiczów w Justianowie. Tam też zmarła już po upadku Powstania Listopadowego, przechodząc do panteonu polskich (ale także litewskich!) bohaterów narodowych. Zapewne to właśnie losy tych dzielnych kobiet – żołnierzy, bojowniczek niepodległości, miały niebagatelny wpływ na decyzje przedstawicielek kolejnego pokolenia patriotek, już za czasów Powstania Styczniowego.

Anna Pustowójtówna w życiu prywatnym...

... i jako Michał Smok, adiutant generała Langiewicza.

„Adiutant Michał Smok", czyli Anna Pustowojtówna

Najbardziej znaną naśladowczynią i kontynuatorką walki Emilii Plater stała się Anna Henryka Pustowójtówna, a właściwie Anna Trofimowna Pustowojtowa, córka polskiej szlachcianki i rosyjskiego oficera o węgierskich korzeniach. Jak to często bywało w rodzinach wieloetnicznych, kwestia przynależności narodowej późniejszej bohaterki Powstania Styczniowego była wynikiem jej osobistego wyboru. Wychowywana przez babkę, Brygidę Kossakowską herbu Ślepowron, Anna Trofimowna czuła się Polką, podczas gdy jej rodzony brat uważał się za Rosjanina i z zaangażowaniem zwalczał polskość na Kijowszczyźnie. Wyedukowana w elitarnej katolickiej szkole żeńskiej Sióstr Wizytek oraz w puławskim Instytucie Kształcenia Panien, Anna wcześnie zaangażowała się w działalność patriotyczną i już w 1861 r. zwróciła na siebie uwagę władz rosyjskich udziałem w demonstracjach i obchodach rocznic narodowych w Lublinie. Ze względu na stanowisko i wpływy ojca, niepokorna Anna ukarana została dość nietypowo – miała wyjechać do prawosławnego klasztoru w Rosji, by tam „przejść reedukację" i stać się posłuszną poddaną cara. Anna Trofimowna nie dotarła jednak na wyznaczone miejsce pobytu – udała się na emigrację do Księstwa Mołdawii, gdzie pozostawała aż do 1863 roku. Gdy dowiedziała się o wybuchu walk powstańczych, opuściła kraj swojego azylu i powróciła na ziemie polskie. Już 14 II 1863 r. 25-letnia Anna zameldowała się w oddziale gen. Mariana Langiewicza, mianowanego komendantem wojsk powstańczych w rejonie świętokrzyskim. W męskim przebraniu i pod pseudonimem Michał Smok, Anna podjęła służbę adiutancką przy sztabie Dionizego Czachowskiego, a później samego Langiewicza. Dzielna ochotniczka nie poprzestawała na tłumaczeniu korespondencji czy prowadzeniu kancelarii dowódcy, wzięła udział w kilku bitwach błyskotliwej, lecz krótkiej „kampanii Langiewicza". Obecność młodej kobiety u boku niestarego komendanta (Langiewicz miał wówczas 36 lat) powodowała wiele plotek i podejrzeń, że łączą ich więzy nie tylko służbowe... Cóż byłoby w tym dziwnego, skoro oboje byli pełnoletni i stanu wolnego? Jednak w owej epoce romans tego rodzaju dyskwalifikował towarzysko kobietę (mężczyźnie uchodziło wówczas dużo więcej), zatem sympatycy „Michała Smoka" usilnie dementowali niepokojące pogłoski. Gdy powstańcy zmuszeni zostali groźbą okrążenia do przekroczenia granicy zaboru austriackiego, Pustowójtówna została internowana, podobnie jak pozostali żołnierze oddziału. Uniknęła wprawdzie dłuższego uwięzienia, lecz

nie mogąc w obawie przed represjami powrócić do zaboru rosyjskiego, wyemigrowała przez Czechy i Szwajcarię do Paryża. Po kilkuletnim okresie życia cywilnego, kiedy to utrzymywała się dzięki umiejętności komponowania efektownych bukietów kwiatów, żołnierskie powołanie Anny dało o sobie znać raz jeszcze. Podczas wojny francusko-pruskiej wstąpiła ochotniczo do wojskowej służby sanitarnej i niosła pomoc rannym. Jej zaangażowanie zostało nagrodzone odznaczeniem i dyplomem dziękczynnym. W czasie swojej drugiej służby wojskowej Pustowójtówna związała się z polskim lekarzem Stanisławem Loewenhardtem, którego znała jeszcze z czasów powstańczych. Parę weteranów połączył wkrótce ślub. Anna Henryka z Pustowojtowych Loewenhardtowa zmarła w Paryżu w roku 1881 i spoczywa na cmentarzu Montparnasse.

„Styczniowa Sarmatka", czyli Maria Piotrowiczowa

Wśród uczestniczek Powstania Styczniowego najbardziej tragiczny los przypadł w udziale Marii Piotrowicz, która wzorem antycznych Sarmatek z bronią w ręku walczyła i zginęła na polu chwały. A miała wówczas zaledwie 24 lata… Córka zamożnych ziemian Rogolińskich, entuzjastka jazdy konnej, szermierki i strzelectwa, w wieku 17 lat poślubiła ubogiego społecznika, nauczyciela Konstantego Piotrowicza. Jej mąż poświęcił się całkowicie idei edukacji ludu, związany był także z niepodległościową konspiracją. Maria zaangażowała się także w działalność patriotyczną, co było w jej rodzinie oczywistością (ojciec Marii był uczestnikiem walk 1831 r., a wuj – spiskowcem jeszcze przed „nocą listopadową"). Po wybuchu Powstania Styczniowego małżonkowie razem wyruszyli do walki. Dołączyli do oddziału Józefa Dworzaczka. Maria, która nie ukrywała swojej tożsamości, ze względów praktycznych ścięła długie włosy i ubierała się po męsku, by kobiece szaty nie krępowały jej ruchów. Początkowo ograniczała swoją działalność do służby pomocniczej, jednak wobec narastającego zagrożenia ze strony Rosjan postanowiła walczyć z nimi na równi z mężczyznami, ramię w ramię z mężem. Oddział partyzancki Dworzaczka szybko, bo po miesiącu walk, został wytropiony przez nieprzyjaciela. Lekkomyślność dowódcy, który nie zadbał o wystawienie wart i ubezpieczeń, sprawiła, że 24 lutego Moskale otoczyli powstańców w okolicy wsi Dobra i zaatakowali ich wykorzystując przewagę zaskoczenia.

Polacy zdołali odeprzeć dwa kolejne szturmy, lecz podczas trzeciego natarcia ulegli przewadze i rozpierzchli się. Część partyzantów uniknęła śmierci czy niewoli, lecz Maria i Konstanty Piotrowiczowie pozostali na stanowiskach. Po tym, jak jej mąż padł ciężko ranny, Maria kontynuowała desperacką obronę, odrzucając propozycję złożenia broni. Walcząca samotnie kobieta nie miała jednak szans w konfrontacji z nieprzyjacielem. Padła pod gradem ciosów Kozaków, którzy nie poprzestali na uśmierceniu Marii, lecz w bojowym amoku kłuli i rąbali jej stygnące zwłoki. Gdy opadła furia bitewna, dokonano oględzin ciał poległych. Okazało się wówczas, że zawzięta wojowniczka była w zawansowanej ciąży… Oprócz szlachcianki Marii Piotrowiczowej w walce poległy trzy inne ochotniczki: służąca Weronika Wojciechowska, robotnica Antonina Wilczyńska i znana tylko z imienia Katarzyna. Konstanty Piotrowicz zmarł na atak serca, gdy po odzyskaniu przytomności poznał prawdę o losie żony. Opowieść na miarę antycznej tragedii…

Okrutna śmierć Marii Piotrowiczowej spowodowała, że konspiracyjny Wydział Wojny Rządu Narodowego wydał w kwietniu 1863 r. formalny zakaz przyjmowania kobiet do powstańczych partii, pozostawiając ochotniczkom jedynie służbę pomocniczą, poza polem walki. Jednak nie wszędzie respektowano to rozporządzenie. Być może nigdy już nie poznamy losu innych uczestniczek walk, które w męskim przebraniu walczyły i zginęły za Ojczyznę.

„Kobiecy legionik", czyli walka bez oręża…

Walka ze znienawidzonym zaborcą nie ograniczała się do akcji zbrojnych, które w myśl powszechnie przyjętych norm społecznych, pozostawały wyłączną domeną mężczyzn. Poza odosobnionymi wyjątkami, większość patriotek, zaangażowanych w czynną walkę z Moskalami, pełniła służbę pozaliniową, co nie znaczy bezpieczniejszą ani łatwiejszą.

Niezbędna, lecz niepozorna i niedoceniona rola kurierki, łączniczki, agentki wymagała nieraz większej determinacji niż udział w bitwie. Stan ciągłego zagrożenia, konieczność nieustannej czujności, by uniknąć dekonspiracji, były wielkim wyzwaniem i obciążeniem dla młodych zwykle konspiratorek. Jedynie niewielu z nich, jak Teresie Ciszkiewiczowej, która jako piętnastolatka pełniła powstańczą służbę kurierską, sądzone było doczekać odrodzenia niepodległej Polski. Wśród tego licznego, lecz pozostającego z natury rzeczy w cieniu „kobiecego legioniku" znalazła się także Eliza z Korwin-Pawłowskich Orzeszkowa, która miała w latach późniejszych zostać jedną z najsłynniejszych pisarek polskich i kandydatką do literackiej Nagrody Nobla. W roku 1863, 22-letnia zaledwie Eliza ukrywała w swoim dworze Romualda Traugutta, a następnie przemyciła go do granic Królestwa Kongresowego, przekonując napotkany rosyjski patrol, że przewozi chorego kuzyna do lekarza… Zapłaciła za to okrutną cenę. Służba dworska zawiadomiła o tych wydarzeniach Rosjan, co zaowocowało aresztowaniem i zesłaniem męża oraz utratą majątku. Wątki związane z Powstaniem Styczniowym pojawiały się później wielokrotnie w dziełach literackich dawnej konspiratorki.

Kobiety uczestniczyły w Powstaniu najliczniej w roli tradycyjnie najbardziej „niewieściej" – jako opiekunki rannych i chorych. Jednak wydaje się, że największy wpływ na dalsze losy Kraju miały matki i wychowawczynie „pokolenia mścicieli", tych którzy dzięki wpojonym już w dzieciństwie zasadom po półwieczu niewoli stanęli do zwycięskiej walki o wolną Rzeczpospolitą. Była wśród nich także Maria z Billewiczów Piłsudska, o której jej syn Józef napisał później: *„Matka, nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu, zawodów z powodu upadku powstania, owszem, wychowywała nas, robiąc nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny"*…

Literatura, ilustracje:
1. M. Bruchnalska, „Ciche bohaterki. Udział kobiet w powstaniu styczniowym", Miejsce Piastowe, 1933
2. S. Kieniewicz, A. Zahorski, Wł. Zajewski, „Trzy powstania narodowe: kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe", Warszawa 1994
3. „Powstanie styczniowe 1863-1865. Wrzenie, Bój. Europa. Wizje", Warszawa 1990

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Hans-Ulrich Rudel „Pilot sztukasa", opr. miękka, str. 296, wyd. Replika. Cena: 30,50 zł

Książka zawiera wspomnienia Hansa-Ulricha Rudela – jednego z najskuteczniejszych pilotów bombowych wszechczasów. Jego statystyki muszą robić wrażenie – odbył 2530 lotów bojowych, zniszczył ponad 500 czołgów, zlikwidował 150 stanowisk ogniowych i zatopił 4 okręty. Jeszcze większy szacunek wzbudza fakt, że Rudel, mimo iż został zestrzelony 32 razy, za każdym razem wracał do służby. Stalin wyznaczył nagrodę za jego pojmanie – 100 tys. rubli. Hitler natomiast odznaczył go specjalnie utworzonym Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego ze Złotymi Liśćmi Dębu, Mieczami i Brylantami. Tuż po ceremonii zabronił Rudlowi latać, bojąc się, że śmierć może ponieść pilot, który już za życia stał się legendą. Niemiecki as przestworzy nie zastosował się do rozkazu i latał aż do końca wojny. W ostatni lot wyruszył jeszcze 8 maja, tuż przed kapitulacją III Rzeszy.

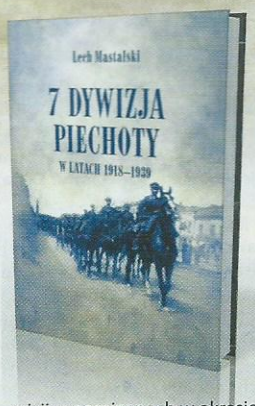

Lech Mastalski „7 Dywizja Piechoty w latach 1918-1939", opr. twarda, str. 522, Wydawnictwo Instytutu Tarnogórskiego. Cena: 125 zł

Niniejsza praca jest pierwszym całościowym ujęciem dziejów 7. DP. Autor w poszczególnych rozdziałach przedstawia kolejne etapy funkcjonowania Dywizji. Pierwszy, poświęca jednostkom z regionu częstochowskiego, które poprzedzały jej powstanie. W drugim omawia okoliczności sformowania 7. Dywizji i jej strukturę w początkowym okresie istnienia. Kolejna część omawia jej szlak bojowy w czasie wojen z Ukraińcami i bolszewikami. Rozdział czwarty dotyczy funkcjonowania 7. Dywizji w garnizonach w okresie pokoju, od 1921 do 1939 r. Ostania część natomiast dotyczy jej udziału w kampanii wrześniowej, w tym walk toczonych pod Janowem koło Częstochowy. Praca wydrukowana została w 300 numerowanych egzemplarzach.

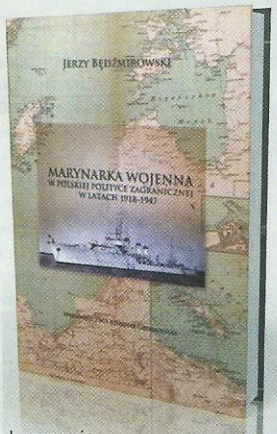

Jerzy Będźmirowski „Marynarka Wojenna w polskiej polityce zagranicznej w latach 1918-1947", opr. miękka, str. 310, wyd. Athenae Gedanenses. Cena: 42 zł

Autor podjął próbę przedstawienia zależności między polską polityką zagraniczną a rozwojem i zadaniami Marynarki Wojennej, a także udziału polskiej floty wojennej w realizacji polityki zagranicznej państwa. Poruszona problematyka jest obszerna, ukazuje relacje Polski z państwami nadbałtyckimi, w tym z Niemcami i Rosją (ZSRR), a także z Wielką Brytanią i Francją. Autor analizuje wpływ naszych sojuszników i potencjalnych wrogów na koncepcje i rozwój PMW. Jeden z rozdziałów traktuje o idei powołania do życia Związku Bałtyckiego, organizacji polityczno-militarnej.

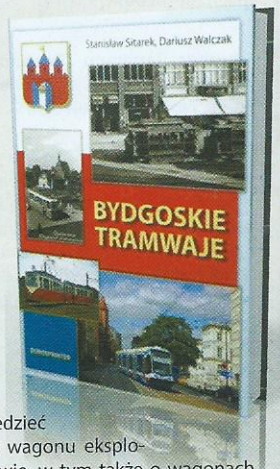

Stanisław Sitarek, Dariusz Walczak „Bydgoskie tramwaje", opr. twarda, str. 350, wyd. Eurosprinter. Cena: 99 zł

To pierwsza tak obszerna monografia poświęcona historii bydgoskich tramwajów od ich zarania aż do czasów współczesnych. Materiał monografii podzielono na 3 części. Pierwsza opowiada o tramwajach konnych. Druga stanowi rys historyczny, ukazujący dzieje trakcji elektrycznej, począwszy od pierwszego pojazdu o tym napędzie, aż do czasów obecnych. Trzecia poświęcona jest taborowi. Podzielono ją na cztery rozdziały. Z pierwszych trzech rozdziałów będzie można dowiedzieć się prawie wszystkiego o każdym typie wagonu eksploatowanego w bydgoskim przedsiębiorstwie, w tym także o wagonach gospodarczych i historycznych. Integralnym elementem tej części jest kronika taboru pasażerskiego. Największe atuty albumu, to tak jak w przypadku innych książek Eurosprinter: wysoka jakość publikacji i duża ilość niepublikowanych dotąd fotografii, które poza tramwajami, przedstawiają zmieniającą się przez lata Bydgoszcz.

„Mobilizacja marcowa 1939", opr. miękka, str. 592, seria: „Wojskowe Teki Archiwalne", wyd. Tetragon. Cena: 79,80 zł

W drugim tomie Wojskowych Tek Archiwalnych opisano przebieg mobilizacji Wojska Polskiego w marcu 1939 roku. W publikacji zamieszczono bardzo różnorodne materiały: 14 instrukcji Sztabu Głównego; 52 dokumenty, w tym rozkazy, wytyczne i sprawozdania; 64 relacje żołnierzy z 9., 20., 26. i 30. Dywizji Piechoty. W publikacji zamieszczono również fotografie tych jednostek i aneks opisujący ich obsadę personalną. **W ostatnim czasie z serii „Wojskowe Teki Archiwalne" ukazały się także: „Polska obrona przeciwlotnicza 1939", cz. 1 – cena: 72 zł oraz „Polska obrona przeciwlotnicza 1939" cz. 2 – cena: 62,90 zł.**

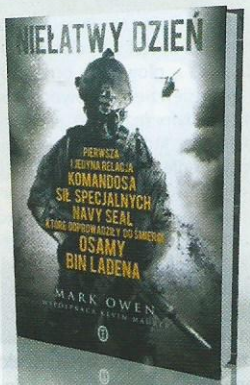

Mark Owen „Niełatwy dzień", opr. miękka, str. 344, Wydawnictwo Literackie. Cena: 39,90 zł

Mark Owen, komandos sił specjalnych Navy Seals relacjonuje akcję, która doprowadziła do śmierci Osamy Bin Ladena. Książka zawiera opis wymagających niezwykłej kondycji przygotowań do operacji „Włócznia Neptuna" – morderczych treningów, wyboru wyposażenia, planowania strategii, ogromnego wysiłku psychicznego i fizycznego, konieczności utrzymania tajemnicy nawet przed najbliższymi. Najważniejszą część publikacji stanowi relacja z przebiegu samej misji: od wypadku śmigłowca Black Hawk z komandosami na pokładzie, aż po zabicie Osamy Bin Ladena w nocy z 1. na 2. maja 2011 roku i komunikat radiowy potwierdzający śmierć założyciela Al-Kaidy.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź

na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

„Życie prywatne esesmanów w Auschwitz", oprac. P. Setkiewicz, opr. miękka, str. 136, wyd. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. Cena: 35,20 zł

Publikacja ta jest zupełnie nowym spojrzeniem na sprawców zbrodni popełnionych w obozie Auschwitz z innej, mało znanej i często zaskakującej, perspektywy. Książka zawiera wybór relacji Polek, które podczas wojny pracowały w domach oficerów i podoficerów SS z załogi KL Auschwitz. We wspomnieniach kobiety opowiadają m.in. o swoich obowiązkach, czy o tym, jak kaci z Auschwitz przemieniali się w swoich domach w troskliwych mężów i ojców. Każdy tekst to barwy opis życia rodzinnego oraz stosunków panujących w domach esesmanów.

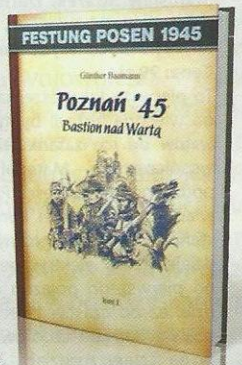

Gunther Baumann „Poznań 45. Bastion nad Wartą" tom I, opr. twarda, str. 272, seria: Festung Posen 1945, wyd. Pomost. Cena: 42 zł

Pierwszy tom pracy, będącej w założeniu próbą monografii walk o Twierdzę Poznań w 1945 r. Wobec znikomej ilości źródeł archiwalnych, autor, jeden z obrońców Poznania, oparł się w dużej mierze na wspomnieniach niemieckich uczestników walk. Nie brakuje tutaj dramatycznych opisów prób wydostania się z oblężonego miasta lub dołączenia do własnego oddziału. Autor opisuje m.in. jak ranny w łydkę leżał w krzyżowym ogniu, wiedząc, że niemal w każdej części Poznania są już Rosjanie i w całym mieście toczą się walki.

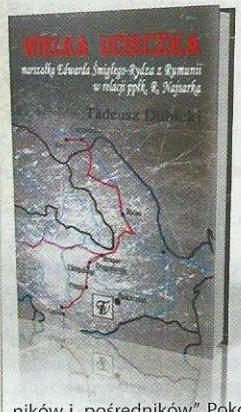

Tadeusz Dubicki „Wielka ucieczka marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza z Rumunii w relacji ppłk. Romualda Najsarka", opr. miękka, str. 238, wyd. Taurus. Cena: 35 zł

Publikacja opisuje ucieczkę marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza z Rumunii na Węgry. Książka oparta jest na relacji ppłk. Romualda Najsarka – głównego organizatora całego przedsięwzięcia. Powodzenie akcji uzależnione było m.in.: od pomocy różnych osób, bez których niemożliwe byłoby przechytrzenie rumuńskiej policji i żandarmerii oraz Gestapo. W ucieczkę marszałka zaangażowanych było również kilku znajomych Rumunów, lokalnych przemytników i „pośredników". Pokonanie trasy z Dragoslavele przez Braşov, Arad, Nădlac, Segedyn do Budapesztu, nie byłoby możliwe bez zorganizowanych działań dezinformacyjnych, licznych łapówek i korzystnych zbiegów okoliczności. Praca zawiera także notę biograficzną Najsarka, opis internowania Śmigłego-Rydza w Rumunii, komentarz Józefa „Korala" Lebedowicza do wspomnień Najsarka oraz ponad 20 stron aneksów w postaci zdjęć i dokumentów.

„Tajemnice Blizny", red. R. Wnuk, R. Zapart, opr. twarda, str. 268, wyd. Oskar. Cena: 36,50 zł

Książka jest próbą opisania niezwykle istotnego aspektu działań wywiadowczych AK –spenetrowania niemieckiego ośrodka doświadczalnego „Artilleriezielfeld-Blizna". Na jego terenie testowane były rakiety V-2 i bomby latające V-1. Na publikację składa się kilka tekstów dobranych w taki sposób, aby ukazać dzieje niemieckich prób na poligonie Blizna, a także działania wywiadu AK w szerszym kontekście i z uwzględnieniem różnych aspektów zagadnienia, takich jak technika czy geografia historyczna. Opisano tu m.in.: działania pomorskiej konspiracji w walce z bronią V w latach 1943-1944; ślady prób wykorzystania tej broni na Podlasiu; struktury wywiadowcze Podokręgu Rzeszów AK i zawartość raportów Inspektoratu AK Rzeszów dotyczących niemieckich doświadczeń z bronią V; przebieg operacji „Wildhorn III" – „Most III", w wyniku której elementy bomb V-1 i rakiet V-2 wywieziono z okupowanej Polski; dokonaną przez Brytyjczyków ocenę działalności polskiego wywiadu oraz ewolucję broni rakietowych od czasu stworzenia V-2 do współczesności.

Stepan Stebelski Chrin „Przez śmiech żelaza", opr. miękka, str. 240, wyd. Mireki. Cena: 29,90 zł

Wspomnienia Stepana Stebelskiego ps. Chrin, dowódcy sotni UPA, która w starciu pod Jabłonkami zabiła gen. Karola Świerczewskiego. Opisuje on okres 15 miesięcy, począwszy od 1944 r., kiedy to kurował się w rejonie birczańskim po ucieczce z niemieckiego więzienia Montelupich w Krakowie. Po wyzdrowieniu włączył się aktywnie w działania UPA, m.in. brał udział w największej bitwie z wojskami sowieckimi pod Leszczawą Górną. Przede wszystkim czytamy o walkach z polskimi oddziałami, spaleniu i wymordowaniu mieszkańców Nowosielc oraz ataku na Borownicę.

„Zagłada Żydów na polskiej prowincji", red. A. Sitarek, M. Trębacz, E. Wiatr, opr. twarda, str. 536, wyd. IPN. Cena: 34,90 zł

W ostatnich latach zainteresowanie naukowców problemem Zagłady zostało skierowane na pozostającą dotąd na uboczu badań polską prowincję. Wyrazem tego była konferencja naukowa „»Nie masz już żydowskich miasteczek…«. Zagłada Żydów na polskiej prowincji. Ofiary. Sprawcy. Świadkowie", zorganizowana w 2011 r. w Łodzi staraniem IPN oraz UŁ. Praca zawiera teksty autorów związanych z różnymi ośrodkami naukowymi, zarówno polskim, jak i zagranicznymi. Ponadto zamieszczone w niej artykuły reprezentują różne ujęcia badawcze: od antropologicznego poprzez literaturoznawcze, aż po prace historyczne, a nawet analizy statystyczne. Praca podzielona została na 6 części: Sztetl; Ofiary; Sprawcy; Świadkowie; Pamięć i upamiętnienie; Uzupełnienie, a wśród autorów m.in.: Barbara Engelking, Ingo Loose, Marek Czyżewski i Rafał Stobiecki.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

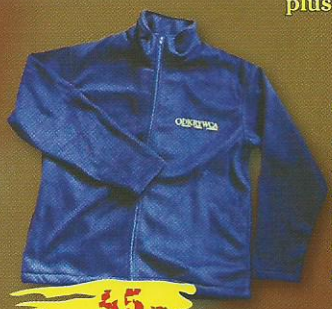

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

przód

tył

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

tył

przód

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny w rozmiarach: M, L, XL. Kolor oliwkowy w rozmiarach: M, L, XL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 3/170

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

ARCHIWUM „ODKRYWCY” – TAK TANIO JESZCZE NIE BYŁO!

UWAGA! OSTATNI MIESIĄC OFERTY

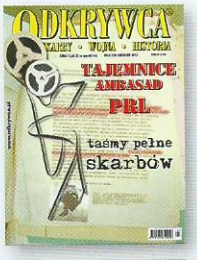

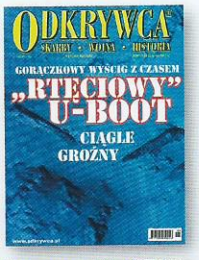

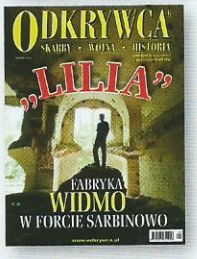

Dla naszych Czytelników przygotowaliśmy specjalną ofertę zakupu egzemplarzy archiwalnych. Przez okres od **1 XII 2012** roku do **31 III 2013** roku (liczy się termin złożenia zamówienia) proponujemy Wam zakup archiwalnych numerów „Odkrywcy” **po rewelacyjnie niskiej cenie 5 zł za egzemplarz.**
Oferta dotyczy wszystkich dostępnych numerów, a szczególnie numerów z lat 2006-2011 (od nr 1/84 do 12/155), których regularna cena to 8 lub 9 złotych oraz numerów z pierwszego półrocza 2012 roku (od nr 1/156 do 6/161), których regularna cena to 11,55 zł.

Dodatkowe warunki promocji dotyczące numerów od 1/84 do 6/161 opłaconych przed odbiorem:

- przy zamówieniu minimum 10 dowolnych numerów, Zamawiający nie ponosi żadnych dodatkowych kosztów
- przy zamówieniu od 5 do 9 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 6,30 zł
- przy zamówieniu od 3 do 4 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 4,80 zł
- przy zamówieniu 2 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 2,70 zł
- przy zamówieniu 1 numeru, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 1,90 zł

Wpłaty należy kierować na nasze konto – numer:
98 2490 0005 0000 4520 6153 2533
dla IBHiK sp. z o.o., ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin.

Prosimy pamiętać o podaniu swoich danych **(imię, nazwisko i adres)** niezbędnych do realizacji zamówienia. W tytule przelewu prosimy o wpisanie jakich numerów dotyczy zamówienie.

Przykłady:
1. Zamawiam rocznik (12 numerów) z 2008 roku – cena stara 96 zł – **cena nowa 60 zł**
2. Zamawiam 10 numerów z lat 2006-2011 – cena stara od 80 do 90 zł – **cena nowa 50 zł**
3. Zamawiam 5 numerów z roku 2012 – cena stara 57,75 zł – **cena nowa 50 zł***

Przy zamówieniach opłaconych przy odbiorze, czyli „za pobraniem”, do wartości zamówienia, poza ewentualnym kosztem przesyłki, doliczamy dodatkowo 3 zł za usługę pobrania.

Dodatkowe informacje możecie Państwo uzyskać pod numerem telefonu 71 329 71 71 lub e-mailem prenumerata@odkrywca.pl

Zapraszamy do uzupełnienia swojego archiwum po wyjątkowo preferencyjnych cenach!

Przypominamy, że numery z lat 2001-2005 są do nabycie zawsze w cenie 5 zł/egz., natomiast numery od 7/162 do aktualnego są do nabycia w obniżonej cenie wydawniczej 11,55 zł/egz. razem z wysyłką.

Najprościej dokonując wpłaty
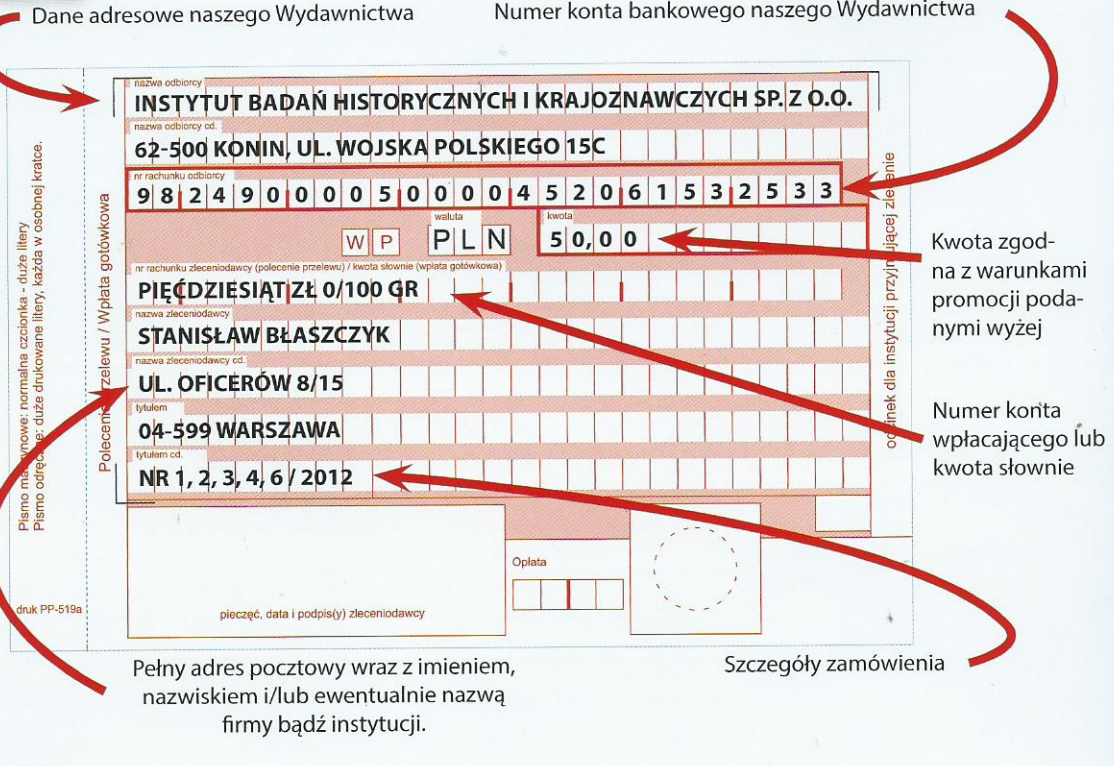
*) przykład graficzny